DYWERSANT KRAMEK
JAK Z MARZEŃ PUTINA

GONTARCZYK
MANIPULACJE W „DALEJ JEST NOC"

KINDZIUK
TAKI BYŁ PRYMAS WYSZYŃSKI NA CO DZIEŃ

GÓRNY
CZY FRANCISZEK ABDYKUJE?

ROKITA
PO JUŻ JAWNIE ANTYRELIGIJNA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 36 (458) 2021
6–12 września 2021
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

POSPIESZALSKI W OGNIU PYTAŃ

JANKU, CO SIĘ Z TOBĄ STAŁO? – PYTAJĄ ANDRIJANIĆ I KARNOWSKI.

– TO ŚWIAT WARIUJE, JA IDĘ PROSTĄ ŚCIEŻKĄ – ODPOWIADA PUBLICYSTA I ARTYSTA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

wSIECI HISTORII

Setny numer w kioskach!

Setny numer
Aż 100 stron pasjonujących tekstów o historii!

100 lat po...
Wielkie wydarzenia oceniane 100 lat później

SB w sporcie
„Smutni panowie" na olimpijskim szlaku

Makłowicz senior
Barwna postać Włodzimierza Makłowicza

Partner wydania:

MUZEUM ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH I WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH PRL

Zamów e-wydanie wSIECI HISTORII i SIECI na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

- tylko **1 zł za pierwszy miesiąc** (następnie 9,99 zł) lub **89,99 zł za 12 miesięcy** z książką w prezencie
- do czytania na komputerze, smartfonie, tablecie

eprasa.pl 484cb83f52

Kto, jeśli nie my?

Słowa Adama Michnika na temat naszych dziejów wypowiedziane w czasie „kolonii Trzaskowskiego", czyli Campusu Polska Przyszłości, zasługują na utrwalenie, na zapisanie w kronikach naszego państwa. Są przecież zgrabną i esencjonalną definicją pedagogiki wstydu, którą środowisko „Gazety Wyborczej" próbuje narzucać Polsce już od ponad trzech dekad. Tak precyzyjnie nie ujął tego jeszcze żaden z lewicowo-liberalnych kapłanów nowego świata:

„Próbują nam wmówić, że historia Polski to historia ludzi niewinnych, zawsze niesprawiedliwie krzywdzonych, a wszyscy inni mają Polaków przepraszać, a Polacy mają te hołdy przyjmować i jeszcze domagać się finansowej rekompensaty. To jest złe myślenie, które zawsze wychodzi bokiem".

Adam Michnik wypowiedział te słowa 1 września, w dniu rocznicy niemieckiej napaści na Polskę. W dniu wybuchu II wojny światowej, która przyniosła naszemu narodowi niewypowiedziane cierpienia, zadane z nieznanym w historii świata sadyzmem. Która – niewiele brakowało – mogła przerwać sztafetę naszych pokoleń. Stanęliśmy przecież na skraju biologicznego przetrwania. Gdyby Niemcy wygrali, Polacy byliby niewolnikami przesiedlonymi gdzieś za Ural.

Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej" nie mógł wybrać gorszej daty. Bo trzeba być ślepcem albo mieć wyjątkowo złą wolę, by w takim dniu wypominać Polakom realne bądź domniemane słabości. Bo przecież Polska zachowała się wówczas wzorowo: nie dała się skusić żadnemu z totalitaryzmów i od pierwszego do ostatniego dnia walczyła ze złem, broniąc człowieczeństwa, wolności, kultury, humanizmu. Walczyła wszędzie, gdzie dało się walczyć. Z ogromnym poświęceniem. I z czystym sercem. A na końcu została cynicznie oszukana przez sojuszników.

Nie wszystko w naszej historii było idealne, bywały zdarzenia, z których nie możemy być dumni. Pamiętamy o nich nawet przesadnie. To jednak nigdy nie był główny nurt naszych dziejów, naszego działania, naszego myślenia. I dlatego trzeba powiedzieć jasno: jeśli któryś naród ma prawo do domu z własnej historii, zwłaszcza tej najnowszej i nowszej, to właśnie Polacy. Jeśli nie my, to kto? Kto w Europie, kto na świecie zachował się lepiej, uczciwiej, dzielniej, odważniej, konsekwentniej? Otóż możliwa jest tylko jedna odpowiedź: nikt.

Jeśli chce się batożyć poszczególne narody za ich historyczne winy, to Polaków trzeba zostawić na sam koniec. I tak wcześniej trzeba przed nimi chylić czoła, składając hołdy i wypłacając rekompensatę. To ostatnie jest sprawą elementarnego zadośćuczynienia. I zbudowania uczciwej podstawy do dobrych relacji z Niemcami w przyszłości. Jeśli nie zapłacą, nasze relacje zawsze będą zatrute.

Oczywiście lewica chce batożyć i batoży wszystkie narody po to, by złamać dumę, wyrugować tożsamości, zniszczyć przeszłość i na końcu zbudować „nowy świat" oraz „nowego człowieka". Niektóre słusznie, inne mniej słusznie. W przypadku Polski nie ma jednak wielu argumentów. To są puste, fałszywe zarzuty. I stąd być może idzie to tak słabo.

Bądźmy jednak czujni – wypowiedź Michnika to ostrzeżenie, że nie rezygnują z prób utytłania naszych dziejów we własnych neurozach i w kłamstwie.

Swoją wypowiedź naczelny „GW" uzupełnił o taki passus: „Rusofobia, germanofobia, czechofobia, antysemityzm – to wszystko są gwoździe do pozytywnego myślenia o Polsce, to jest zamykanie polskiego myślenia w ciasnej trumnie głupoty, ciemnoty i prymitywizmu".

Jeśli ma to być portret Polaków, to jest on wyjątkowo zakłamany, po prostu nieprawdziwy. Dziś „polskiemu myśleniu" zagraża raczej realna polonofobia, z takim zapałem uprawiana i przez liczne ośrodki zagraniczne, i przez dużą część polskiego establishmentu.

Jacek Karnowski

Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

eprasa.pl 434cb83f52

SIECI

spis treści

31 *Politycy z TikToka* *Konrad Kołodziejski*

55 Broń jądrowa w Polsce? Pora zacząć działać *Marek Budzisz*

73 XXX Forum Ekonomiczne *dodatek specjalny*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **DOCIERAĆ DO WIDZA Z PRAWDĄ O POLSCE**
Relacja z urodzinowej gali wPolsce.pl

10 **RANDKA Z JACHIRĄ**
Krzysztof Feusette

11 **NADCIĄGA POLSKA PRZYSZŁOŚCI**
Dorota Łosiewicz

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **PROGRAM PO: PIŁOWANIE I LIKWIDACJA**
Jan Pietrzak

14 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

15 **ZAGŁADA JEST OK**
Bronisław Wildstein

16 **WALIZKA KONRADA SKOLIMOWSKIEGO**
Michał Korsun

18 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

19 **WAŻNE DLA KUPUJĄCYCH MIESZKANIA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

20 **HEROSTRATES UKRYTY**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

27 **Z JANEM POSPIESZALSKIM**
rozmawiają Goran Andrijanić i Michał Karnowski

KRAJ

28 **OLSZTYŃSKA TWARZ PLATFORMY**
Jan Rokita

31 **POLITYCY Z TIKTOKA**
Konrad Kołodziejski

34 **ILE WAŻY TRZASKOWSKI?**
Stanisław Janecki

36 **ŚLEPI WYZNAWCY BIDENA**
Jakub Augustyn Maciejewski

38 **MANIFEST DYWERSANTA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

41 **ŚWIĘTY UŚMIECHNIĘTY, CZYLI PRYMAS WYSZYŃSKI NA CO DZIEŃ**
Milena Kindziuk

OPINIE

45 **WOLNOŚĆ DEBATY NAUKOWEJ NIE DLA WSZYSTKICH**
Piotr Gontarczyk

49 **LAMENT POLONISTY**
Sławomir Bobowski

ŚWIAT

52 **MIĘDZY FRANCISZKIEM, BENEDYKTEM A PRZYSZŁYM PAPIEŻEM**
Grzegorz Górny

55 **BROŃ JĄDROWA W POLSCE? CZAS ZACZĄĆ DZIAŁAĆ**
Marek Budzisz

HISTORIA

58 **Z PROF. ANDRZEJEM BETLEJEM**
rozmawia Piotr Słabek

61 **KAWĄ I MIECZEM**
Wojciech Lada

SIECI KULTURY

65 **WESELNY ROLLERCOASTER**
Jolanta Gajda-Zadworna

68 **DUCHOWE YO-YO**
Robert Tekieli

69 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

70 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

72 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

83 **Z GEORGE'EM „ADAMEM" HODGESEM**
rozmawia Andrzej Rafał Potocki

KUCHNIA

98 **MOJE SZLAKI: MAGDALENA WOLIŃSKA-RIEDI**
Jolanta Gajda-Zadworna

99 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

100 **MEDIA NA WOJNIE HYBRYDOWEJ**
Hanna Karp

102 **SPOJRZENIE NA POLSKĘ**
Alina Czerniakowska

103 **FELIETONY**
Lech Makowiecki, Piotr Cywiński

104 **PRELUDIUM SIERPNIOWE**
Leszek Długosz

105 **WARTO POROZMAWIAĆ**
Wiktor Świetlik

106 **NOWA GODNOŚĆ GŁUPOTY**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 75/0721/F

eprasa.pl 484cb83f52

ORLEN

CLUB VITAY

Zainstaluj korzyści w Twoim telefonie

Poznaj wszystkie możliwości aplikacji **ORLEN VITAY**

Co dobrego daje nasza aplikacja?

- Zyskaj wirtualną kartę VITAY
- Płać bezgotówkowo z funkcją ORLEN PAY
- Zbieraj punkty na nagrody z Katalogu VITAY
- Oszczędzaj dzięki kuponom promocyjnym
- Nawiguj do najbliższej stacji ORLEN

Pobierz ORLEN VITAY

Pobierz w App Store

GET IT ON Google Play

eprasa.pl 484cb83f52

Sygnalista nadaje

Leszek Balcerowicz przemówił do platformerskiej młodzieży uczestniczącej w Campusie Polska Przyszłości, wzywając ją do internetowego czynu: „Nie ma w internecie jeszcze narastającej listy tych pseudodziennikarzy z imionami, nazwiskami i wizerunkami. To jest do zrobienia. [...] Trzeba zrobić konkurs na najbardziej haniebne wystąpienie. Znacie ze średniowiecza pręgierz? Zróbcie internetowy pręgierz. To jest o wiele łatwiej". W sumie ciekawy pomysł, taki pręgierz. Rozliczanie trzeba jednak zacząć od początku III RP, czyli od transformacji.

Balcerowicz przemawiał w Olsztynie. Nie odwiedził okolicznych wiosek, którym nieprzemyślane, a nawet okrutne reformy przyniosły wielką zapaść, z której dopiero teraz się podnoszą. A gdy jedna z uczestniczek Campusu zapytała prelegenta o to, jak zwalczać nierówności majątkowe w Polsce, ten odpowiedział: „A przepraszam bardzo, a obecnie nierówności majątkowe są problemem?". Doktrynerstwo, gdy raz wejdzie w człowieka, to często już na zawsze.

Gospodarz olsztyńskiej imprezy ***Rafał Trzaskowski*** postawił na inny przekaz: „Po tym wszystkim, co obserwujemy przez ostatnie lata, po tej niebywałej pogardzie, którą widzieliśmy w Sejmie wobec osób z niepełnosprawnościami, chyba każdemu się serce łamało. [...] Żeby nie wykazać się choć na chwilę empatią, to po co być politykiem. Jeżeli ktoś nie ma w sobie ani odrobiny empatii, to won z życia publicznego!". Można tylko przypomnieć tytuł w jednym z tabloidów sprzed kilku lat: „Trzaskowski dał potrzebującej 20 gr, a sam kupił 4 ciastka za 44 zł".

Podczas konferencji prasowej piłkarskiej reprezentacji Polski jeden z dziennikarzy zapytał Roberta Lewandowskiego, czy podobnie jak jego koledzy, np. Manuel Neuer, założyłby tęczową opaskę kapitana na mecz kadry narodowej. „Wiem, że były później po wystąpieniach, chyba Manuela Neuera, jakieś »ale«. Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale myślę, że nie miałbym problemu" – odparł kapitan Biało-Czerwonych. Jak mówił: „Każdy z nas jest człowiekiem, każdy z nas ma emocje, jest osobą, którą warto i trzeba wspierać, więc pod tym względem myślę, że dla mnie nie byłoby z tym większego problemu". Cóż, biorąc pod uwagę reguły globalnej gry, pewnie inaczej nie mógł odpowiedzieć, ale entuzjazmu w głosie nie było. Tęczowi totalitaryści zażądają więcej.

Generalnie Campus okazał się wydarzeniem cennym poznawczo. Zarysowano podstawowe punkty programu. Np. marszałek Senatu Tomasz Grodzki wezwał do likwidacji większości szpitali w Polsce, mówiąc: „Mamy prawie tysiąc szpitali, ale powinno być około 130 szpitali na 40 mln mieszkańców". Przywołał przykład Danii, gdzie obecnie jest 16 szpitali na 5 mln mieszkańców. „Personel jest zadowolony, a pacjenci plasują medycynę duńską na trzecim miejscu w świecie" – przekonywał. Platforma już raz obiecywała Irlandię, a budowała Amerykę Łacińską, z Danią skończyłoby się tak samo. Likwidować umieją, budować już nie.

Największym echem odbiła się wypowiedź Sławomira Nitrasa, któremu przeszkadza Kościół: „Katolicy staną się realną mniejszością, nie będą większością i muszą się z tym nauczyć żyć. [...] Dobrze żeby stało się to, mówiąc uczciwie, w sposób nie gwałtowny, racjonalny, a nie na zasadzie pewnej zemsty, ale na zasadzie – to jest uczciwa kara za to, co się stało, musimy was opiłować z pewnych przywilejów. Dlatego, że jeżeli nie, to znowu podniesiecie głowę, jeżeli się cokolwiek zmieni". Ostatnie zdanie jest kluczowe: chodzi o takie przeoranie Polski, by

eprasa.pl 484cb83f52

strona chrześcijańska i patriotyczna zarazem już nigdy nie zdobyła wpływu na państwo. To program budowy domkniętego monopolu.

Tusk z kolei mówił tak: „Tak naprawdę przyjechałem tutaj [do Polski] po to, żeby wziąć na siebie ten obowiązek i ten ciężar, bo mam głębokie przekonanie, że wiem, jak pogonić tych wszystkich, którzy z polskiej polityki czynią takie piekło dla nas nie do zniesienia. To potrwa dwa, maksimum trzy lata, jestem o tym przekonany. Jestem tutaj nie po to, żeby komukolwiek miejsce zająć, tylko żeby miejsca się zwolniły". E tam, już widać, że nie wie, jak wygrać. Bo stare sztuczki i stare grepsy, które Tusk tak desperacko reanimuje, dziś wyłącznie śmieszą.

„Kolonie Trzaskowskiego" przyniosły opozycji więcej zysków niż strat. „Jesteśmy wdzięczni prezydentowi Trzaskowskiemu za zorganizowanie tego wydarzenia, bo po raz pierwszy usłyszeliśmy, jaki program dla Polski ma PO, jak chce rządzić Polską. To będzie władza ideologicznych wojen" – mówił wicepremier Jacek Sasin. Niestety, trzeciego dnia zawieszono transmisje z wydarzeń, a płynące z prawej strony apele o ich przywrócenie nie przyniosły skutku. Ale i tak: Danke für alles!

W Olsztynie nie pojawiła się Swiatłana Cichanouska, która ostatecznie skorzystała jednak z dobrej, mądrej rady wicemarszałka Ryszarda Terleckiego. Liderka białoruskiej opozycji, choć niemal do końca figurowała w programie jako uczestnik panelu, ograniczyła się do krótkiej wypowiedzi z telebimu. W swoim wystąpieniu wspomniała m.in. o kryzysie imigracyjnym, który rozpętał Łukaszenka. „To narzędzie do wywołania kryzysu z Polską i Litwą oraz sprowokowania Unii Europejskiej"– powiedziała. W sumie skończyło się dobrze. Białoruska opozycja zawróciła znad przepaści. W ostatniej chwili, ale jednak.

Lech Wałęsa o Straży Granicznej broniącej granic Rzeczypospolitej przed prowokacją: „Hitlerowcy też wykonywali rozkazy i co, sądzimy ich? Zastanówmy się, jakie rozkazy hitlerowcy mogli przyjmować". Dziennikarka Beata Lubecka: „Ale hitlerowcy mordowali ludzi". Wałęsa: „A czy tu nie dojdzie do morderstwa?! Poczekajmy, ja przewiduję, że dojdzie. I co wtedy powiemy? Rozkazy wykonywaliśmy". Mówi to były zwierzchnik sił zbrojnych w przededniu rocznicy niemieckiej napaści na Polskę.

Jakim cudem nasze państwo przetrwało już trzy dekady?

I czy przetrwa? Sąd Rejonowy w Sokółce nie uwzględnił wniosku prokuratury o trzymiesięczny areszt dla 13 osób, wśród nich Bartosza Kramka z Fundacji Otwarty Dialog, którzy próbowali zniszczyć zasieki z drutu kolczastego na wschodniej granicy. Sam Kramek rzecz skomentował następująco: „Nie mamy żadnych ograniczeń i możemy planować kolejne akcje". Może czas przestać udawać, że wyroki wydawane są „w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej"? Nasze państwo bardzo często firmuje aktywność w istocie mu wrogą.

W kwestii imigrantów Tusk wyraźnie kluczy: z jednej strony mruga do lewicy, z drugiej atakuje rząd za rzekomo... niedostateczną ochronę granic. Gdy w jednym z oświadczeń użył sformułowania: „Wszyscy jesteśmy zaniepokojeni sytuacją na naszej wschodniej granicy", nawet media opozycyjne zarzuciły mu nijakość przekazu. Odpowiedziała była dziennikarka TVN Karolina Hytrek-Prosiecka: „Oświadczenie Tuska było na miarę raczej przywódcy europejskiego, a nie polskiego politycznego pospólstwa intelektualnego". Tak, Tusk coraz mniej do nas pasuje.

Adam Bielan ocenił, że wybór dr. hab. Marcina Wiącka na rzecznika praw obywatelskich – także głosami posłów PiS – „był od początku błędem", a dziś jest on „de facto rzecznikiem opozycji". „Najbliższy współpracownik Donalda Tuska, pan Maciej Berek, który był bliskim współpracownikiem Tomasza Grodzkiego, zostaje dyrektorem biura pana Wiącka. Jego związki, linki z opozycją [wiążą go] przede wszystkim z Platformą Obywatelską i to jest pozostałość po obecności Jarosława Gowina w naszym obozie" – mówił lider Republikanów. Tak, wynik tych eksperymentów nigdy nie jest pozytywnym zaskoczeniem.

Jarosław Gowin nie zaskoczył i zgodził się na spowiedź w „Wyborczej", co jest obowiązkiem każdego porzucającego PiS. Tytuł rozmowy: „Jarek, oszukałeś mnie", okazał się jednak manipulacją, bo Gowin użył tego sformułowania w kontekście jednego z głosowań, a nie tak szeroko, jak to zasugerowała redakcja. W każdym razie Gowin wciąż ma o sobie dobre zdanie: „Dla obozu PiS stałem się osobą trędowatą. Wiedzą dobrze, że jeśli odbiorę im nawet 2–3 proc., to utrata władzy przez PiS będzie praktycznie przesądzona". No bez żartów. Co najwyżej 0,2 proc.

Fot. praszkiewicz / Shutterstock, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl 484cb83f52

Docierać do widza z prawdą o Polsce

Telewizja wPolsce.pl obchodziła swoje czwarte urodziny. Z tej okazji nagrodziła statuetkami Złotych Kamer kolejnych laureatów. W tym roku zostali nimi: Grzegorz Puda, Olga Semeniuk, Piotr Müller, Aleksandra Szczudło oraz dr Karol Nawrocki

Jubileuszowa gala, którą poprowadzili Dorota Łosiewicz i Marek Pyza, rozpoczęła się od podziękowań redaktor naczelnej telewizji wPolsce.pl Agaty Rowińskiej widzom stacji. „Chciałam bardzo państwu podziękować, że znajdują państwo czas, a przede wszystkim mają ochotę oglądać nasz kanał. To jest dla nas bardzo ważne, ponieważ dzięki państwu możemy realizować misję naszej konserwatywnej telewizji, która pokazuje dumną i odważną Polskę" – powiedziała. Mówiąc o profilu i priorytetach telewizji wPolsce.pl, podkreśliła: „Walczymy o prawdę, walczymy o to, by nie szkalowano naszego kraju na arenie międzynarodowej, by pamiętano o naszych przodkach. Nasza antena to codziennie po kilkanaście ważnych pytań o Polskę, w których gościmy naszych wspaniałych ekspertów".

Życzenia urodzinowe telewizji wPolsce.pl złożył Jarosław Kaczyński. Okolicznościowy list odczytał dyrektor gabinetu politycznego prezesa PiS Michał Moskal. „Po tej niecałej połowie dekady trudno sobie wyobrazić rodzimy system medialny bez państwa stacji, tak mocno wpisała się ona przez te cztery lata w nasze życie. Jej istnienie, tak jak działalność pozostałych podmiotów grupy, stanowi niezbity dowód na to, jak piękne owoce może zrodzić talent, połączony z ideowością, determinacją i ciężką, systematyczną pracą. Stanowi też wspaniałe zaprzeczenie tezy o niemożności przełamania monopolu liberalno-lewicowego mainstreamu" – stwierdził prezes PiS. „Z całego serca gratuluję państwu tego wielkiego sukcesu. I dziękuję państwu za wasze starania i codzienny trud związany z docieraniem do widza z prawdą o Polsce, z przekazywaniem mu informacji i opinii, których nie można zobaczyć i usłyszeć w mediach głównego nurtu. Za to, że z państwa programów widz może się dowiedzieć, na czym polega nasz interes narodowy i polska racja stanu, a także na czym zasadzają się manipulacje tych, którzy nie chcą niezależnej, silnej, a jednocześnie solidarnej Rzeczypospolitej" – napisał Jarosław Kaczyński. Na koniec życzył: „Całemu zespołowi telewizji wPolsce.pl pragnę życzyć zdrowia, szczęścia

eprasa.pl 484cb83f52

i wszelkiej pomyślności. Niech ten rok przyniesie państwu kolejne sukcesy".

Przyszedł moment ogłoszenia tegorocznych laureatów Złotych Kamer telewizji wPolsce.pl. Nagrody wręczali członkowie zarządu Grupy Medialnej Fratria: Michał Karnowski i Henryk Uzdrowski.

Pierwszym laureatem Złotej Kamery został Grzegorz Puda, minister rolnictwa i rozwoju wsi. „Bardzo serdecznie dziękuję za to ogromne dla mnie wyróżnienie. Wiemy doskonale, że resort rolnictwa ma wiele wspólnego z telewizją, a szczególnie z telewizją wPolsce.pl. Podobnie jak wszyscy, którzy tworzą zespół telewizji, również w naszym resorcie staramy się cały czas zasiewać. Siejemy ziarno po to, aby mogło ono wykiełkować, wyrosnąć, a później rolnicy mogli zbierać plony. (...) Przede wszystkim chcemy, aby polscy rolnicy odzyskiwali godność po wielu latach, kiedy byli traktowani dużo gorzej niż mieszkańcy wielu miast. Aby praca, którą na co dzień wykonują, była pracą, która z jednej strony oczywiście przynosi im możliwość funkcjonowania, ale z drugiej szacunek tych wszystkich, którzy na co dzień korzystają z darów rolnictwa" – mówił minister Puda, odbierając nagrodę.

Kolejna statuetka Złotej Kamery trafiła do rąk Olgi Semeniuk, wiceminister rozwoju i technologii, pełnomocnik rządu ds. małych i średnich przedsiębiorstw. „Bardzo dziękuje za tę nagrodę, ale ona jest również nagrodą dziennikarzy telewizji wPolsce.pl, ponieważ ja tak naprawdę odpowiadam na to, o co państwo pytają. Bardzo często mówi się, że pytania mają większą wartość niż odpowiedź, i tak właśnie jest w polityce" – zaznaczyła laureatka. „Telewizja wPolsce.pl jest blisko samorządu, Polaków, społeczeństwa, blisko ważnych spraw. Jeszcze zanim zostałam wiceministrem rozwoju i technologii, widziałam ogromną aktywność z państwa strony i zaangażowanie w tematy ludzkie. (...) Za to chciałabym państwu bardzo podziękować" – powiedziała.

Nagrodę Złotej Kamery odebrał również Piotr Müller, rzecznik rządu. „Bardzo chciałem podziękować za tę nagrodę, aczkolwiek rolą rzecznika rządu jest po prostu przekazywanie informacji. To przekazywanie informacji jest możliwe wtedy, kiedy ma się dobry zespół. (...) Te podziękowania powinny być zatem kierowane do każdego ministra, wiceministra, którzy przekazują nam te informacje. (...). Ostatnie półtora roku to faktycznie był czas bardzo szczególny, w którym chyba na nowo też zdefiniowano i powtarzano w różnych przypadkach wyrażenie fake news, a właściwie słowo kłamstwo. (...) Z tymi kłamstwami niestety musimy się mierzyć jako politycy, zwalczać je, (...) ale to jest możliwe tylko i wyłącznie wtedy, kiedy są rzetelne media, które chcą oddzielić fakty od kłamstw, publicystykę od daleko idącej manipulacji. W związku z tym należą się też podziękowania tym dziennikarzom, którzy takiej rzetelnej oceny dokonują" – mówił Piotr Müller.

Laureatką Złotej Kamery została także Aleksandra Szczudło, posłanka Solidarnej Polski. „Pragnę serdecznie podziękować redakcji telewizji wPolsce.pl oraz zarządowi Grupy Medialnej Fratria za przyznaną nagrodę. (...) To bardzo miłe, kiedy zauważa się pracę polityka, którego być może nie zawsze zauważamy na pierwszych stronach gazet. Moim mottem w działaniu jest: »Być blisko ludzi«. Właśnie wśród ludzi można mnie najczęściej spotkać. Praca w terenie, rozmowy na płaszczyźnie faktów, potrzeb, opinii, uważam za niezbędne w swojej służbie na rzecz obywateli naszego kraju. (...) Cieszę się, że są to już czwarte urodziny telewizji wPolsce.pl i z tego miejsca życzę coraz większych zasięgów i coraz większych sukcesów" – powiedziała posłanka.

Złotą Kamerę odebrał również dr Karol Nawrocki, prezes Instytutu Pamięci Narodowej. W swoim wystąpieniu po odebraniu nagrody nawiązał do wojny secesyjnej. „Po jednej z największych bitew tej wojny, bitwie pod Gettysburgiem, Abraham Lincoln wygłosił swój adres gettysburski w ciągu trzech minut, a ten adres stał się właściwie toposem i wzorem dla wszystkich kolejnych mów. W związku z tym, że mam tylko dwie minuty, to nie będę się silił na to, aby być lepszym w tej mowie od Abrahama Lincolna i spocznę na tym, aby serdecznie podziękować całej Grupie Fratria, podziękować pani redaktor naczelnej, podziękować redaktorom Jackowi Karnowskiemu i Michałowi Karnowskiemu, ale też tym dziennikarzom, którzy najczęściej zadają mi pytania (...), czyli Marcinowi Wikło, Jakubowi Maciejewskiemu i Andrzejowi Potockiemu" – mówił. „Z okazji czwartych urodzin życzę państwu, abyście dalej myśleli o niepodległej, samorządnej, odpowiedzialnej społecznie naszej kochanej Polsce. Pięknie dziękuje, to dla mnie wielkie zobowiązanie" – podkreślił dr Nawrocki.

Adam Stankiewicz

PARTNER ZŁOTY

PARTNERZY GŁÓWNI

PARTNERZY

eprasa.pl 484cb83f52

Randka z Jachirą

KRZYSZTOF FEUSETTE

Raz jeszcze dziękując za wszystkie autografy, my, koło młodzieży przy kole seniorów (nazwiska znane redakcji), pragniemy złożyć na ręce Organizatorów Campusu Polska Przyszłości wyrazy głębokiego uznania i jeszcze głębszej wdzięczności. Ośmieleni atmosferą panującą na imprezie – którą ktoś niesłusznie mógłby nazwać salonowym Hejt Parkiem, a my nazywamy burzą totalnych mózgów – chcemy się podzielić z Państwem przemyśleniami dotyczącymi zawartości całości, jej wartości merytorycznej oraz duchowej.

Na wstępie pragniemy podziękować stronie niemieckiej za wyłożenie funduszy na tak potrzebną nam imprezę. Stworzyło to możliwość zupełnie nieskrępowanej wypowiedzi na temat fatalnej kondycji Polski we wszystkich obszarach życia, a przy okazji pozwoliło zwerbalizować najważniejsze punkty nowego programu. Oczywiście najbardziej czekaliśmy na wystąpienie Jego Ekscelencji, przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej, premiera Donalda Tuska, i się nie zawiedliśmy. Małżeństwa homoseksualne zostały zapowiedziane, a wiadomo, że jak Tusk coś zapowie, to przynajmniej chciał zrealizować. Albo chociaż mówił, że chce. To znaczy, że będzie chciał. Na Campusie wyjaśnił, że skoro kandydat PO przerżnął wybory prezydenckie, to znaczy, że może i były one „wolne" oraz „legalne", ale na pewno nie były „uczciwe". Nic dziwnego, iż, jak wyznał Trzaskowski: „W partii nie ma dziś entuzjazmu dla prawdziwych wyborów wewnętrznych". Tusk wskazał, że za fałszerstwa wyborcze odpowiadają bezpośrednio siostry zakonne. Zwłaszcza że po tym, jak przez jedną z nich Bronisław Komorowski pożegnał się z żyrandolem, miały motyw. Sławomir Nitras ma dla nich prosty komunikat. Po zwycięstwie PO wszystkie zostaną opiłowane albo odpiłowane (zdania są podzielone), razem z księżmi oraz resztą katolików w Polsce. Co ciekawe, Trzaskowski twierdzi, że Nitras sam mówił to z pozycji żarliwego katolika, więc prawdopodobnie znowu będzie piłował się sam. Niestety prawdziwi katolicy z Boga, honoru i ojczyzny nie zrezygnują, więc trzeba sięgnąć po piłę, zanim, jak ujął to Nitras, „znowu podniosą głowy".

Tylko czy to wystarczy? Jeśli społeczeństwo głosuje tak, jak głosuje, to może jednak zalęgły się w nim jakieś psy, śmiecie czy sprzedajne szmaty? Dobrym sposobem na opiłowanie społeczeństwa (już nie tylko z katolicyzmu, lecz szerzej – elementów konserwatywnych przywiązanych do polskiej kultury, tradycji, korzeni i rozumu) byłoby stopniowe uniemożliwianie jego przedstawicielom korzystania z usług medycznych. Kto wie, czy w ślad za campusową propozycją marszałka Grodzkiego, by zamknąć 87 proc. szpitali, nie powinna pójść tzw. klauzula plemienia, która pozwalałaby lekarzom pytać pacjentów, na jakie ugrupowanie zamierzają głosować. Pacjentów antypisowskich można by kierować (oczywiście, za symboliczną „opłatę Grodzkiego") do szpitali superwyposażonych, a propisowskich do zlikwidowanych. Trudno nie zgodzić się z Grodzkim, gdy nazywa zarządzaną przez siebie izbę refleksji „cierniem w tyłku". Podobnie przyjmujemy poruszające wyznanie komisarz Bieńkowskiej, która potrafiła przyznać, że „to jest okropne, co mówi", ale mówiła dalej. Że walczy, by Polsce odebrać europejskie fundusze. Magdalena Adamowicz, która też była gościem na Campusie, uważa nawet, że wiceszefowej Parlamentu Europejskiego Katarinie Barley należy się order za to, że chce Polskę i Węgry „zagłodzić". O intelektualnych walorach innych prelegentów, panów Jońskiego i Szczerby, nie będziemy się rozwodzić, bo bardziej podobają nam się ich deblowe happeningi w stylu „dwa w jednym" albo „dwóch w cenie jednego". Jak te pod stadionem, gdy chcieli szpital raz zamykać, raz otwierać, albo gdy piłowali i rąbali, ale jeszcze nie katolików, tylko drewno u gospodarza, który tak porąbanych klocków w życiu nie widział. I ta pizza na granicy, palce lizać, jaka gorąca akcja. Zanim Sterczewski przywalił pustostanem w matkę ziemię, a potem wezwał pogotowie na Białoruś (musiał mocno walnąć, bo był po polskiej stronie) i zanim Jachira chciała wcisnąć muzułmanom wieprzowinę, to Michał i Dariusz nadawali ton.

Na Campusie przyćmił ich dopiero Maciej, syn Jerzego, zresztą też Stuhra. Ten popularny aktor o wrażliwości gołębia zawsze potrafi się wyłożyć jak kawa na ławie. „Uczymy się tych Mickiewiczów i tak dalej. Uczymy się to wielbić, doceniać tę naszą walkę, te powstania nasze, tę przelaną krew, podczas gdy to w ogóle nie przystaje do naszej dzisiejszej rzeczywistości" – mówił Stuhr junior. To pewna odmiana, bo jeszcze niedawno historyczne analogie przystawały mu do rzeczywistości, i to bardzo. Jak choćby ta o niemieckich dzieciach wywieszanych jako żywe tarcze przez Polaków pod Głogowem. To zdumiewające, że nawet po tej wypowiedzi większość rodaków woli się upierać, że było odwrotnie. I chyba takich właśnie ludzi junior nazywa „tymi ludźmi, których trzeba przekonać, że zamiast kiełbasy można zjeść czasem bakłażana, a zamiast disco polo posłuchać czegoś innego". A choćby i Stuhra żartującego ze Smoleńska czy opowiadającego na Campusie, iż jego rodzice walczyli o demokrację, a teraz się okazuje, że każdy może głosować, jak chce.

Na szczęście są jeszcze takie imprezy jak nasza, a na nich takie chwile jak „jedna, dwie minuty" spędzone przez posłankę Klaudię Jachirę w towarzystwie pewnego chłopaka, który miał jej powiedzieć, iż „będzie się teraz mógł chwalić, że był na randce z Jachirą". To dobre podsumowanie Campusu. Swoją drogą, megaszacun. Wielu by wymiękło.

eprasa.pl 484cb83f52

Nadciąga Polska Przyszłości

Boję się, że jak ten platformerski, zmotywowany narybek ruszy w Polskę stawiać pręgierze, opiłowywać, uczyć muzycznego i kulinarnego gustu, to będą wióry tolerancji leciały

Dobrze się stało, że Rafał Trzaskowski zorganizował Campus Polska Przyszłości. Dzięki temu poznaliśmy plan PO na nową „terapię szokową" dla kraju.

Autor słynnej „terapii szokowej" chciałby taką samą terapię zafundować dziennikarzom. Oczywiście tym, których nie lubi, którzy mają czelność krytykować jego samego oraz polityków, którym kibicuje. Ma też Balcerowicz pewien plan. Trzeba dziennikarzy stawiać pod pręgierzem.

„Nie ma w internecie jeszcze narastającej listy tych pseudodziennikarzy z imionami, nazwiskami i wizerunkami. To jest do zrobienia. [...] Trzeba zrobić konkurs na najbardziej haniebne wystąpienie. Znacie ze średniowiecza pręgierz? Zróbcie internetowy pręgierz" – zachęcał uczestników Campusu profesor, tęskniąc do czasów, gdy nie było wolności słowa i wolności wypowiedzi. Choć śp. Andrzej Lepper lata temu ukuł hasło: „Balcerowicz musi odejść", ten wciąż nie ma dość „ratowania Polski".

Pod pręgierzem chętnie postawiłby Kościół Sławomir Nitras. „A może powinna być jakaś kara, mówiąc wprost, za to zachowanie, za to wyłamanie się z pewnej konwencji, za to złamanie pewnego paktu społecznego?" – zastanawiał się polityk, komentując wpływ Kościoła na rzeczywistość. Ma też Nitras swoistą terapię szokową dla katolików. Opiłowywać ich z przywilejów, tak, by już nie podnieśli głów.

Opiłować chce też marszałek Senatu Tomasz Grodzki. Najlepiej pacjentów ze szpitali. Podczas Campusu Grodzki przekonywał, że sposobem na poprawę służby zdrowia w Polsce jest zlikwidowanie dużej części szpitali. Stwierdził, że skoro w pięciomilionowej Danii działa tylko 16 takich placówek, to w 40-milionowej Polsce wystarczyłoby 130, a obecnie jest około tysiąca. Wątpię, by taka terapia szokowa spodobała się pacjentom, lekarzom, pielęgniarkom, a szczególnie wyborcom.

Za to propozycję własnej terapii szokowej ma Elżbieta Bieńkowska, była unijna komisarz. Bieńkowska najchętniej opiłowałaby Polaków z pieniędzy, tych z Unii Europejskiej. Jej zdaniem UE musi nałożyć na Polskę kary lub wstrzymać finansowanie naszego kraju. „Unia teraz nie ma wyjścia, logicznie patrząc musi nałożyć dzienne kary finansowe albo wstrzymywać finansowanie. To jest okropne, co mówię o naszym kraju" – oświadczyła była komisarz. I można by nawet powiedzieć: „Ale jaja", gdyby nie to, że Bieńkowska mówiła całkiem poważnie. I trzeba się z nią zgodzić. To okropne.

Dla odmiany z godności opiłował wyborców PiS znany aktor Maciej Stuhr, który przekonywał ich, by się nie bali zjeść bakłażana zamiast kiełbasy, by się nie bali uczyć języków i czasem posłuchali czegoś innego niż disco polo. Najwyraźniej zdaniem „elitki" ci paskudni wyborcy PiS nie znają innej muzy, żrą wyłącznie kiełbachę, a edukację kończą na zawodówce.

I jeszcze te „moherowe babcie" nienadążające za lewicową rewolucją! „Dlaczego chcecie Trzaskowskiego przekonywać do związków partnerskich? To swoją babcię jedźcie przekonywać" – rzucił Donald Tusk wyzwanie widowni. I zapowiedział, że chce, by po przejęciu władzy z rąk PiS wprowadzono związki partnerskie, ale wszystkie dalsze zmiany muszą być dokonywane w społecznej zgodzie.

Boję się, że jak ten platformerski, doedukowany, zmotywowany, obywatelsko rozbudzony narybek ruszy w Polskę stawiać pręgierze, opiłowywać, uczyć muzycznego i kulinarnego gustu, to będą wióry tolerancji leciały.

A swoją drogą dziwię się, że jeszcze nikt z PiS nie wpadł na pomysł, by wysłać Rafałowi Trzaskowskiemu kwiaty w podziękowaniu za jasno wyłożony program Platformy. „PO: Zlikwidujemy szpitale", „PO: zabierzemy Polsce unijne pieniądze", „PO: zamkniemy usta nielubianym dziennikarzom", „PO: dopadniemy katoli!". Toż to gotowe hasła wyborcze na kampanię parlamentarną roku 2023. UWAGA! Nadciąga Polska Przyszłości!

Dorota Łosiewicz

Napięcie rośnie

Tajemnicza eksplozja w magazynach amunicji znajdujących się w obwodzie żambylskim na południu Kazachstanu doprowadziła pod koniec sierpnia do śmierci 15 osób i zniszczenia kilkuset domów. Prezydent Kasym-Żomart Tokajew zarządził powołanie komisji, która ma wyjaśnić przyczyny eksplozji.

Trudno przesądzać, jakie będą wyniki jej prac, ale dotychczasowe wydarzenia związane z eksplozjami w magazynach amunicji w różnych krajach (Czechy, Ukraina, Bułgaria) wykazały bezsporne związki tych wydarzeń z aktywnością rosyjskich służb specjalnych. Po wybuchu magazynów, w których według oficjalnej wersji znajdowały się wyłącznie miny i ładunki o przeznaczeniu inżynieryjnym, minister obrony przyznał, że „nie wyklucza aktu dywersji".

Do eksplozji doszło bowiem w okresie wzrostu napięcia między Rosją a Kazachstanem na tle kwestii praw mniejszości rosyjskojęzycznej. Bezpośrednią przyczyną tych napięć były m.in. wydarzenia w położonym nad Morzem Kaspijskim mieście Aktau, gdzie kazachscy aktywiści zmusili jedną z mieszkających tam Rosjanek, aby ta publicznie, bo wszystko uwiecznili na filmie umieszczonym w internecie, „odszczekała" swoje wypowiedzi, jakoby miasto założyli Rosjanie. Potem się okazało, że Kuat Achmetow, na którego kanale w serwisie YouTube umieszczono filmik, jest współpracownikiem i przyjacielem Muchtara Tajżana, a ten z kolei jest doradcą prezydenta Tokajewa. Achmetow wsławił się wcześniej zorganizowaniem „patroli językowych", które nakazywały obywatelom Kazachstanu, w tym rodowitym Rosjanom, aby ci publicznie mówili wyłącznie po kazachsku, mimo że rosyjski jest równoprawnym językiem urzędowym. Dostał za to symboliczną grzywnę (w przeliczeniu 1,3 tys. zł), ale Moskwa zakazała mu wjazdu do Rosji na 50 lat. Cała sprawa nabrała więc politycznego wymiaru, ukazując przy okazji nastroje panujące w kazachskich elitach, wśród których trwa właśnie ożywiona dyskusja na temat stosunku do Rosji i języka rosyjskiego.

Wspomniany Muchtar Tajżan przez lata znajdował się w opozycji, a z obozem władzy związał się dopiero w 2019 r., gdy został zaproszony do współpracy przez obecnego prezydenta. Ta nominacja, w opinii rosyjskich komentatorów, ma dowodzić narastania kazachskiego nacjonalizmu, tym bardziej że politycznym zapleczem Tajżana są organizacje kazachskich weteranów, którzy po rozpadzie ZSRR uczestniczyli w wojnie domowej w Tadżykistanie. Nurżan Ałtajew, jeden z liderów takiej organizacji umieścił w sieci film, w którym odpowiedział na pogróżki rosyjskich deputowanych do Dumy deklarujących gotowość przyjazdu do Kazachstanu, aby „zaprowadzić porządek". Ałtajew nazwał deputowanych „klaunami" i zaprosił ich do kraju, w którym, jak się wyraził, „step jest szeroki, a w związku z tym jest dość miejsca, aby was wszystkich położyć".

Marek Budzisz

Zero azylantów

Dania

W czasie gdy Polska i Litwa zmagają się z problemem nielegalnej imigracji, a nasze środowiska lewicowe naciskają na otwarcie granic, rządzona przez lewicę Dania konsekwentnie odchodzi od swojej polityki z 2015 r. Tamtejszy rząd wysyła bowiem kolejne sygnały, że polityka otwartych granic bezpowrotnie się skończyła.

Minister integracji duńskiego rządu Mattias Tesfaye ogłosił niedawno, że będzie dążył do ograniczenia liczby azylantów do zera. Polityk socjaldemokratów sam pochodzi z imigranckiej rodziny, ale mimo to uważa, że imigranci powinni się starać o azyl w pobliżu swojej ojczyzny. „Obecnego systemu azylowego w Europie nie da się obronić ani z pozycji politycznych, ani z moralnych" – powiedział szwedzkiemu portalowi Bulletin. Tesfaye zwrócił uwagę, że rozpatrywanie podań o azyl bliżej miejsc zamieszkania uchodźców wyeliminuje koszty związane z opieką prawną, zakwaterowaniem oraz kosztami deportacji tych, którym w Europie odmówiono azylu. Jego zdaniem zaoszczędzone pieniądze można byłoby wykorzystać do poprawy sytuacji tych imigrantów, którym już wcześniej przyznano prawo azylu w Danii. Tesfaye wyznał, że to właśnie sprawny system opieki socjalnej pomógł mu zdobyć wykształcenie w młodości. W jego przekonaniu obecny napływ imigrantów odbierze szansę takim jak on, aby kiedykolwiek „wyrwać się z biedy". Polityk podkreśla też, że jest zasymilowanym imigrantem. Dzisiejsi imigranci nie chcą natomiast się integrować, co wpływa m.in. na wzrost przestępczości. „Jeżeli nie kontrolujesz imigracji, to pozwalasz na wzrost przemocy" – mówi.

Politykę „zero azylantów" wspiera duńska premier i liderka Socjaldemokracji Mette Frederiksen. W czerwcu media informowały, że Dania wraz z Wielką Brytanią chcą zbudować centrum dla imigrantów w Rwandzie. Trzy miesiące temu duński parlament przegłosował prawo, na mocy którego będzie można odesłać z Danii imigrantów ubiegających się o azyl.

Łukasz Adamski

eprasa.pl 484cb83f52

Znowu EBOLA

Wybrzeże Kości Słoniowej

Afryka liczy 1,3 mld mieszkańców, jednak zaledwie 2 proc. z nich zostało w pełni zaszczepionych przeciwko COVID-19. Tymczasem w ostatnim tygodniu sierpnia w Afryce zanotowano oficjalnie 248 tys. przypadków zakażeń, a co najmniej 28 krajów odnotowało wzrost liczby infekcji spowodowanych przez wariant delta. Łącznie od początku pandemii na całym kontynencie potwierdzono ponad 7,3 mln przypadków, w tym ponad 186 tys. zgonów.

„Nie objęliśmy jeszcze nawet 5 proc. populacji wstępnymi szczepieniami, które są potrzebne, aby spowolnić rozprzestrzenianie się wirusa i, co najważniejsze, zatrzymać nadchodzącą czwartą falę" – powiedziała Matshidiso Moeti, dyrektor Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) ds. Afryki, która przy tej okazji ostro zaatakowała Zachód za samolubstwo i gromadzenie szczepionek.

Rzeczywistość jest jednak nieco bardziej skomplikowana. W tej chwili dwa kraje afrykańskie – Senegal i RPA – produkują szczepionki. Takie możliwości techniczne mają również Kenia i Egipt, ale poskąpiły na to pieniędzy i wolą czekać na pomoc z zagranicy. Tymczasem według niektórych ekspertów ds. zdrowia, jeśli program szczepień w krajach Afryki nadal będzie tak powolny, to pandemia może się znacząco przedłużyć.

Co więcej, Afryce zagraża nie tylko COVID-19. WHO ostrzega, że w zachodniej części kontynentu pojawiły się nowe ogniska wirusów ebola i marburg wywołujących gorączkę krwotoczną. W Gwinei, gdzie w latach 2014–2016 doszło do największej w historii epidemii eboli, wirus zaatakował w tym roku ponownie. Jednocześnie w sierpniu zanotowano tam również pierwszy przypadek gorączki marburskiej. Przenoszenie obu chorób następuje poprzez kontakt z zakażonymi płynami ustrojowymi i tkankami, a objawy obejmują ból głowy, krwawe wymioty, bóle mięśni i krwawienie. Śmiertelność jest bardzo wysoka i waha się – według różnych źródeł – od 60 do 90 proc. przypadków.

Ebola pojawiła się także w Wybrzeżu Kości Słoniowej. Zdaniem władz nic nie wskazuje na to, że zanotowany przypadek ma związek z sytuacją w sąsiedniej Gwinei, jednak rozpoczęto profilaktyczne szczepienia przeciwko eboli wśród pracowników służby zdrowia w dawnej stolicy kraju Abidżanie, którego mieszkańcy zmagają się również z ogniskiem wysoce patogennej ptasiej grypy H5N1.

Należy pamiętać, że pandemia COVID-19, osłabiając i tak kiepską sytuację zdrowotną w Afryce, może doprowadzić do rozprzestrzenienia się innych, znacznie groźniejszych wirusów. Na razie są one jeszcze pod kontrolą. Pytanie, jak długo.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock x3

Bokser na politycznym ringu

Filipiny

Najbardziej rozpoznawalnym na świecie Filipińczykiem jest dziś 43-letni bokser Manny Pacquiao (na zdj.), jeden z najlepszych pięściarzy XXI w. Jego pełna sukcesów kariera sportowa powoli dobiega końca, natomiast otwierają się przed nim zupełnie nowe perspektywy. Żeby skorzystać z tej szansy, zawodnik musi stoczyć kolejną walkę – tym razem jednak nie na ringu. Stawką jest wygranie wyścigu do fotela prezydenckiego.

Obowiązująca obecnie konstytucja Filipin przewiduje, że prezydentem można być tylko przez dwie kadencje. Dlatego ustępujący Rodrigo Duterte nie może się ubiegać o następną reelekcję. Sondaże pokazują, że największe szanse na zwycięstwo ma kandydat jego partii PDP-Laban, w której ścierają się obecnie dwie frakcje. Na czele pierwszej z nich stoi Manny Pacquiao, na czele drugiej natomiast Rodrigo Duterte, który ogłosił niedawno, iż wystartuje w wyborach, ale na stanowisko... wiceprezydenta. Jeśli tak się stanie, wówczas głównym kandydatem formacji rządzącej będzie jakiś figurant, za którego plecami z tylnego siedzenia rzeczywistą władzę sprawował będzie Duterte.

Wybory będą szczególnie bacznie obserwowane w Pekinie i Waszyngtonie, ponieważ Filipiny z racji swego położenia geograficznego zajmują szczególne miejsce w rywalizacji amerykańsko-chińskiej. Obecny prezydent doprowadził do zbliżenia z Pekinem: przestał protestować przeciw ekspansji Chińczyków na wodach terytorialnych Filipin w zamian za napływ inwestycji. Z tego powodu Stany Zjednoczone najchętniej widziałyby jako nowego przywódcę w Manili kogoś, kto przywróci uprzywilejowane stosunki z USA. Kimś takim mógłby być właśnie Manny Pacquiao. Na razie nie ogłosił on decyzji o starcie w wyborach. Jeśli tego nie zrobi, wówczas faworytem Waszyngtonu może zostać córka prezydenta – Sarah Duterte, która w odróżnieniu od ojca jest bardziej proamerykańska. Fani boksera mają jednak nadzieję, że podejmie on rękawicę i stanie do walki.

Grzegorz Górny

Fot. s_bukley/Shutterstock.com

eprasa.pl 484cb83f52

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Program PO: piłowanie i likwidacja

Jan Pietrzak

Nie da się w najbliższych dniach uniknąć tematyki piłowania kościołów i likwidacji szpitali, które to projekty przebiły się do mediów jako nowatorskie hasła partii Tuska i spółki. Zgromadzenie nazwane Campusem Przyszłości pokazało, że nieznośne zarzuty o brak programu i głupkowate żądania zdefiniowania celu istnienia Platformy Obywatelskiej nie mają uzasadnienia. Zaplecze intelektualne tej partii pod postacią magistra Nitrasa stanęło na wysokości zadania. Ustalono temat akcji, która pobudzi entuzjazm aktywu oraz sponsorów Wschodu i Zachodu.

Co do piłowania, pojawia się potrzeba uściślenia, co konkretnie trzeba spiłować, jakie piły stosując: spalinowe czy elektryczne. To ważne, bo wkraczamy na grząski grunt zielonego ładu, wyboru źródeł energii. Bez osobistej aprobaty Timmermansa nic w tej materii nie da się zrobić. A to Holender surowych zasad i będzie chciał wiedzieć, co Nitras spiłuje. Czy figury świętych, aniołki, czy wieże kościelne wskazane przez komisję wspólną Brukseli z Białorusią?

Podobny dylemat występuje przy pomyśle likwidacji szpitali, promowanej przez trzecią osobę w państwie, marszałka Grodzkiego. Ten doświadczony chirurg uważa, że należy wyciąć 80 proc. szpitali działających obecnie, bo to są wyrostki robaczkowe pisowskiego systemu, ślepa kiszka reżimu. Można domniemywać, że dostęp do tak ograniczonej służby zdrowia spowoduje radykalny wzrost opłat za czynione operacje. Chyba o to chodzi. Prawo podaży i popytu jest nieubłagane. Czy będą to datki dobrowolne, czy opłaty sformalizowane, jest rzeczą drugorzędną, którą pacjent uzgodni z prowadzącym chirurgiem na podstawie deklaracji praw człowieka i obywatela, a także wytycznych TSUE. Czy koperta do kieszeni, czy wrzutka do szuflady, to marginalne szczegóły do uzgodnienia w stosownym czasie, po wyborczym zwycięstwie, na które mocno liczy Campus.

Pewien wpływ na realizację marzeń mieć będą manewry Zapad, które przesądzą, po jakiej stronie wschodniej granicy znajdzie się Usnarz Górny, przesmyk suwalski, a także liderzy Campusu z ich horrendalnymi pomysłami... To żart, oczywiście. Ponury, ale jednak...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Jeden klub, jeden Murzyn, jeden gej

Dominik Zdort

To był chytry plan. Legendarny dziennikarz sportowy zadał pytanie, a legendarny napastnik musiał odpowiedzieć tak, jak od niego oczekiwano. Tak, może założyć tęczową opaskę zamiast kapitańskiej. Pewien gejowski aktywista natychmiast zapowiedział, że odpowiedni homoseksualny gadżet dostarczy piłkarzowi. Co nasuwa podejrzenie, że cała akcja była ustawką środowisk LGBT, działających wspólnie i w porozumieniu z dziennikarzem.

Wcześniej, podczas mistrzostw Europy, taką opaskę założył kapitan reprezentacji RFN Manuel Neuer, łamiąc przepis, że na imprezach organizowanych przez UEFA demonstracje polityczne są niedozwolone. Federacja wtedy stwierdziła złamanie zasad, ale „w słusznej sprawie". Teraz Szczepłek postawił pod ścianą Lewandowskiego. Polski kapitan (który jeszcze kilka lat temu brał udział w akcji „Nie wstydzę się Jezusa") uległ szantażowi. Musiał zaakceptować niemoralną propozycję dziennikarza, bo zostałby medialnie rozstrzelany.

Gdyby jeszcze grał w Polsce, mógłby sobie może pozwolić na odrobinę niepoprawności. Na zachodzie Europy, niezależnie od jego sportowej klasy, jako homofob straciłby kontrakty reklamowe i pewnie byłby dyscyplinarnie usunięty z drużyny, a żaden dobry klub by go nie zatrudnił. Cóż, kto nie jest z gejami, tego czeka Berufsverbot i historyczne skojarzenie, które się nasuwa, jest całkiem adekwatne.

Lewandowskiego nie znam i chyba już tego nie żałuję. Ze Szczepłkiem pracowałem w paru redakcjach. Proszę więc, nie oceniajmy go po tym niemądrym pytaniu. To jest nie tylko kultowy dziennikarz, ale też przemiły człowiek, uwielbiam go i cenię za ogromną sportową wiedzę. Ale z drugiej strony jest z nim tak, jak z wieloma, także wielkimi, aktorami. Gdy odchodzą od tego, co potrafią robić najlepiej, mówią rzeczy nie najlepiej świadczące o ich rozsądku.

Do końca życia nie zapomnę osobliwego felietonu Stefana, w którym skrytykował jeden z polskich klubów za to, że nie zatrudnia ani jednego... czarnoskórego. Hm, jak rozumiem, w futbolu nie chodzi już o jakość piłkarską. Pryncypia są inne. Żeby drużyna była porządna, musi w niej grać jakiś Murzyn.

Idąc tym tropem, niebawem Szczepłek pewnie zażąda, aby w każdym klubie grał przynajmniej jeden gej. A jeśli takiego skauci nie znajdą? To któryś z normalnych futbolistów będzie musiał zmienić orientację.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 484cb83f52

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zagłada jest OK

„Czy zagłada jest taka zła?" – pyta wykładowca filozofii moralnej na Oxfordzie Roger Crisp w tytule artykułu dla elitarnego lewicowego tygodnika brytyjskiego „New Statesman". I odpowiada, że wbrew przeważającej opinii wcale tak nie jest. „Biorąc pod uwagę skalę cierpienia na ziemi, wartość dalszej egzystencji planety jest kwestią otwartą" – pisze. Jego argumentacja mieści się w ciągle dominującej w kręgu anglosaskim utylitarnej etyce, zgodnie z którą działania ludzkie ocenia się pod względem sumy przyjemności, jakie dostarczają one jak największej liczbie osób. Dzieje się tak, pomimo że wielokrotnie obnażano słabości tego na pozór oczywistego rozumowania, a jego klasyk – John Stuart Mill – doprowadził je do samounicestwienia, dzieląc przyjemności na wyższe i niższe, co odsłoniło arbitralność i umowność owych etycznych rachunków – na jakiej zasadzie budujemy hierarchię owych przyjemności i sumujemy nieprzystające składniki?

Ponieważ nie sposób wyobrazić sobie życia bez cierpienia i trudno uznać, aby przyjemności, jakich doświadczamy, potrafiły je zrównoważyć, rachunek Crispa daje oczywisty wynik. On sam cofa się wprawdzie przed ewidentną konkluzją i nie twierdzi, że zagłada jest dobrem, a jedynie, że należy rozważyć taką możliwość, ale efekt jego rozumowania sam się narzuca.

Crisp wyciąga wnioski z utylitaryzmu, a jednocześnie wpisuje się w coraz szerszy na Zachodzie nurt negowania wartości ludzkiego życia, którego przejawem jest tzw. antynatalizm. Podejście to jest konsekwencją dominującej dziś mentalności. Jeśli probierzem wszystkiego ma być doraźna satysfakcja jednostki – a nie sposób znaleźć innej miary w indywidualistycznej, materialnej perspektywie – to zapewnienie jej w ilości wystarczającej do zrekompensowania niewygód egzystencji wydaje się wątpliwe. Wiąże się z tym wariant panującego racjonalizmu, który wbrew zdrowemu rozsądkowi przyjmuje, że umysł jednostki jest w stanie wszystko zestawić, wyliczyć i zważyć.

Zagłada byłaby złem dla wielu, ale dla cierpiących nieuleczalny ból – wręcz przeciwnie, zaczyna swoje wywody Crisp, co uzasadnia, jego zdaniem, potrzebę stworzenia równania, które odpowie nam na pytanie: czy opierać się zagładzie. Wprawdzie większość z cierpiących nie chce z życia rezygnować, co demonstrują tym, że nie popełniają samobójstwa, ale Crisp, zajęty etycznymi rachunkami ich ofiarami się nie zajmuje. Tłumaczy, jak powinniśmy się racjonalnie zachowywać, a ponieważ jak dotąd wcale tego nie robimy, traktuje nas dość protekcjonalnie. Nie różni się od innych zbawców ludzkości, którzy, nie pytając jej o zdanie, usiłują ją uszczęśliwić, a w każdym razie wyeliminować jej cierpienia. Z natury rzeczy są oni zniecierpliwieni realnymi, a więc zdeformowanymi przez istniejące warunki ludźmi, dlatego chętnie poświęcają ich na ołtarzu przyszłego człowieka.

Dziwimy się, że rewolucjoniści tak czuli na nieracjonalność świata i cierpienie jego mieszkańców po zdobyciu władzy potrafią mnożyć je bez końca. Jednak po to, aby zbudować nowego człowieka, starego należy zasadniczo przetworzyć, a jeśli jest oporny, a tak się zwykle dzieje, trzeba wyrzucić go na śmietnik. Tak było w wieku XX. Historia postąpiła jednak i nawet postępowcy, a w każdym razie ich teoretycy, zaczęli rozumieć, że egzystencji nie da się uwolnić od cierpienia. Jako ludzie racjonalni proponują więc wybór najlepszego, a zarazem ostatecznego rozwiązania tej kwestii, jakim jest zagłada.

Świadomość bólu ludzkiego istnienia, wyrażonego w przypisywanej Homerowi kwestii: „Najlepiej się nie urodzić", towarzyszy człowiekowi zawsze i posiada nawet twórczy aspekt. Kiedy jednak przekształca się w orientację, która podbija nasze cywilizacyjne centra, należy się niepokoić. Jest to samobójcze spełnienie racjonalizmu, który uwierzył, że sam się może ufundować. W rzeczywistości każda myśl, tak jak każda logika musi być oparta na wyrastających z naszych fundamentalnych intuicji założeniach, które wyraża kultura ludzka. Inaczej nie sposób rozumować i udowadniać czegokolwiek, np.: dlaczego człowiek ma być więcej wart od komara, a życie od nieżycia.

Rozprawiając się z inżynierią genetyczną, w książce „Przeciw udoskonaleniu człowieka" Michael Sandel odwołuje się do idei „życia jako daru". Wskazuje, że jeśli nie zaakceptujemy tego podejścia, to nie można na niczym ufundować godności ludzkiej, która broniłaby człowieka przed dowolnymi eksperymentami. Sandel usiłuje racjonalnie uzasadnić tę postawę, co nie jest do końca możliwe. Założenie „życia jako daru", a więc swoistej jego świętości, i uznanie, że nie jest ono w pełni naszą własnością, stanowi fundament tej rozumności, która zbudowała kulturę zachodnią, a jest zaprzeczeniem kartezjańskiej pychy poznawczej uchodzącej dziś za zwieńczenie racjonalności.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 484cb83f52

Walizka Konrada Skolimowskiego

aktora, lidera zespołu Skolim

Dzięki Bogu, należę do tej grupy szczęściarzy, którzy poznają świat, pracując. Między innymi z ekipą serialu „Barwy szczęścia" pojechaliśmy do Ziemi Świętej. Odwiedzenie Jerozolimy było dla mnie dużym przeżyciem. Z tym wyjazdem wiąże się anegdota, gdy moi rodzice w 2018 r. na drugi dzień świąt wyjechali właśnie do Izraela. Chcąc pobyć tylko ze sobą, wykupili wycieczkę, nie uwzględniając mojej osoby. I to wtedy przy wigilijnym stole, zakomunikowałem o moim przeczuciu, że ja te strony świata odwiedzę. Rok później, w grudniu 2019 r. razem z aktorami i ekipą wylądowaliśmy w Tel Awiwie. Moje zawodowe podróże to także trasy koncertowe zespołu Skolim. Zjechaliśmy Polskę wszerz i wzdłuż, graliśmy także na Litwie i w Czechach.

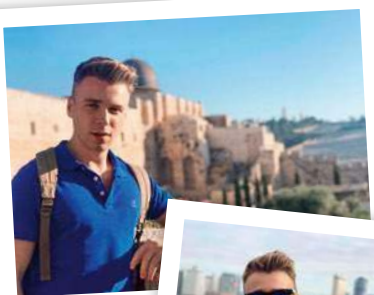

POLAROID

Jedno pstryknięcie i w tym momencie mamy uchwyconą chwilę. Zdjęcie można schować do portfela lub obdarować bliską osobę. Lubię chwytać te chwile zwłaszcza z moimi synkami, którymi ciocie i babcie są zachwycone.

NOTES

Mimo młodego wieku lubię tradycyjne artykuły piśmiennicze. Notes, z którym się nie rozstaję, pozwala mi zapisywać pomysły na piosenki w momencie, gdy mam wenę.

KEYTAR

Gdy jest natchnienie, warto od razu zagrać melodię. Keytar modny w latach 90. to mały instrument, bez problemu wchodzący do walizki. Gdy jestem za granicą, lubię też pograć wieczorem przy lampce wina.

eprasa.pl 484cb83f52

COŚ Z MORO

Skoro mowa o granicy, to warto wspomnieć o Wojsku Polskim i służbach granicznych, których funkcjonariusze bez względu na sytuację polityczną codziennie narażają swoje życie, bo nawet zwykły przemytnik z kartonem papierosów jest w stanie użyć noża, byleby nie pójść do więzienia. Pogranicznicy chronią naszych granic, naszego bezpieczeństwa, a kto tego nie rozumie, ma prawo milczeć. W ogóle widzę u zakompleksionej części naszego społeczeństwa taką modę na wyśmiewanie polskich wartości. Ta pogarda dotyczy m.in. polskiej muzyki folkowej, wartości katolickich, a teraz polskiego munduru WP. Hipokryci martwią się o los ekonomicznych imigrantów i głodujących dzieci w Afryce, zapominając o rodakach, którzy żyją na skraju ubóstwa. Są takie polskie rodziny z małych wiosek, których dzieci nie jedzą ciepłego posiłku w szkole.

SKOLIMOWE BLUZY

Z mojej kolekcji dla fanów. Wygodne i ciepłe. Często obdarowuję nimi swoich bliskich i znajomych.

KĄPIELÓWKI

Wśród przyjaciół jestem znany z tego, że bez względu na porę roku lubię się kąpać w jeziorach i rzekach. Kocham zimną wodę, bo działa leczniczo. Życie jest cudowne.

KSIĄŻECZKA DO NABOŻEŃSTWA

Jestem wyznania rzymskokatolickiego i codziennie się modlę z rodziną. Mądry Pan Bóg prowadzi nas przez życie.

DRĄŻEK

Moim codziennym rytuałem jest podciąganie się. Większość hoteli ma siłownie, ale w tych, w których ich nie ma, drążek ratuje sytuację. Trzy serie po 20 podciągnięć z rana, po południu i wieczorem utrzymują mnie w formie.

LEKTURA

„Jak myśleć mniej" to niesamowita książka. Polecam tym, którzy mają 100 pomysłów na minutę, non stop analizują sytuacje i różne scenariusze, oceniają ludzi, nie znając ich. Odradzam tym, którzy w ogóle nie myślą, a tych ostatnio nie brakuje.

PŁYTY

Na wyjazdy zagraniczne zabieram kilka płyt, żeby prezentować moją twórczość lokalsom. To, czego się wstydzą niektórzy Polacy, tam się podoba.

WINO

Ponieważ zagraniczne podróże to także poznawanie mieszkańców i ich kultur, nic tak nie otwiera ludzi jak domowej roboty wino z Podlasia. Dlatego zabieram ze sobą taki souvenir, żeby podziękować za gościnę.

WĘDKA TELESKOPOWA

Uwielbiam łowić ryby i na szczęście destynacje moich podróży przeważnie posiadają zbiorniki wodne. Bardzo miło wspominam jeziora litewskie, zwłaszcza że moja rodzina pochodzi z Litwy. Pozdrawiam wszystkich mieszkańców Wileńszczyzny! Ponieważ pochodzę z Podlasia, bardzo lubię wędkowanie przy granicy białoruskiej w okolicy Siemiatycz: z ojcem lub kumplami nad wodą przy ognisku w głuszy, całą noc pod rozgwieżdżonym niebem – niesamowite przeżycie.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock, materiały prasowe

eprasa.pl 484cb83f52

OGNIEM NA WPROST

Nie ma, nie ma wody na pustyni...

Opierając się na artykule z portalu Defence24.pl, przedstawiłem w tym miejscu w ubiegłym tygodniu, ogólnie rzecz biorąc, nie najlepszy stan lotnictwa bojowego Federacji Rosyjskiej. Po uderzeniu w stół nie trzeba było zbyt długo czekać, aż nożyce się odezwą. Publikacja w Defence24.pl doczekała się polemiki ze strony generała pilota Władimira Popowa, z którym w tej sprawie przeprowadził wywiad portal PolitRussia. Zaczęło się od krytycznych epitetów. Już sam tytuł tekstu „Wywiad źle działa" sugeruje fałszowanie rzeczywistości przez nasze portale. Gen. Popow skrytykował słowa Polaków o lotnictwie rosyjskim. Padł zarzut „niedostatecznego zrozumienia przez polskiego autora procesów zachodzących w rosyjskim sektorze lotniczym, chciejstwo i kompleksy narodowe". Pojawiła się też teoria o chęci przypodobania się Zachodowi przez polską prasę. Popow, choć wzrok powinien mieć sokoli, nie zauważył, że publikacja dotyczyła wyłącznie lotnictwa bojowego i wsparcia, a nie całej awiacji Kremla, w tym sił śmigłowcowych. Ponadto pozostaje faktem, że ilościowy spadek sił powietrznych jest nieuchronny (szczyt dostaw to 2015 r.), potem już mamy do czynienia tylko z regresem. Również jakościowo rosyjska awiacja pozostawia wiele do życzenia. I tak Egipcjanie przeprowadzili próbne walki między Su-35 a Rafale. Francuski samolot wypadł w nich dużo lepiej, o czym informowały jako pierwsze media rosyjskie. Także w Chinach wyniki ćwiczebnych pojedynków między Su-27 a JAS39 C/D Grippen wskazały wyraźnie szwedzkiego zwycięzcę. Jedno istotne, co wynika z odpowiedzi gen. Popowa to, że Ruski trzyma rękę na pulsie i śledzi nasze portale, reagując wręcz błyskawicznie. Ale to świadczy o sile propagandy Kremla, a nie o wartości lotnictwa.

Łukaszenka już sam nie wie, co wymyślić, żeby dopiec Polsce. Teraz wpadł na pomysł, żeby świętować Dzień Jedności Narodowej. Dziwnym trafem ma się to stać w kolejną rocznicę najazdu Sowietów na Rzeczpospolitą, czyli 17 września. Właśnie podpisał dekret. Nie wiadomo jeszcze, jak dokładnie będzie wyglądał jubel mordu na naszym kraju, ale znając pomysłowość dyktatora, możemy być, delikatnie mówiąc, lekko zszokowani. Proponowałbym przedstawicielom reżimu przebrać grupę omonowców za enkawudzistów i w ramach rekonstrukcji historycznej wywlekać z domów do kibitek pozostałych jeszcze na wolności obywateli Białorusi pochodzenia polskiego.

Tymczasem Disney dalej molestuje dzieci ideologią LGBT i coś tam. W ostatnim odcinku kreskówki „Muppet Babies", w którym pojawia się sekwencja z filmu „Kopciuszek", męska postać o imieniu Gonzo prezentuje się jako księżniczka w sukience i nazywa siebie Gonzorellą. Disney postanowił wziąć kobiecą postać z ukochanej bajki i zamienić ją w mężczyznę udającego kobietę! Po raz kolejny użyto kreskówki dla dzieci, aby promować atak na wartości rodzinne i formatować według genderowego paradygmatu umysły małych ludzi. Wskutek pandemii COVID-19 Disney poniósł duży finansowy cios, kiedy był zmuszony do zamknięcia swoich parków rozrywki, odwołania rejsów oceanicznych i zamknięcia produkcji telewizyjnych i filmowych. Organizacja CitizenGO, walcząca z agresywnym genderyzmem i ideologią LGBT, wybrała dobry moment na groźbę bojkotu konsumenckiego, o ile producent nie zrezygnuje z promocji zboczeń. Ostatnia kampania wymierzona w Disneya zebrała ponad milion podpisów. Nie przyniosła co prawda spodziewanych efektów, ale teraz, w dobie postpandemicznego kryzysu koncernu, ma szansę odnieść sukces. Podpisujcie więc nową petycję, bo presja ma sens.

Oktoberfest jest dla Bawarczyków nie tylko świętem. To część ich regionalnej tożsamości. Jego źródła sięgają 1810 r., kiedy słynny mecenas artystów i opiekun sztuk Ludwik I ożenił się z księżniczką Teresą i na cześć nowo poślubionej małżonki zorganizował huczne święto ludowe. Rokrocznie do Monachium przyjeżdżają dziesiątki tysięcy miłośników kultury piwa i kiełbas. Jednak z powodu pandemii monachijskie święto piwa zostało odwołane. Fakt ten wykorzystali niemieccy biznesmeni, którzy organizują jego „pustynną" wersję w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Dubajski Oktoberfest rozpocznie się 7 października, potrwa sześć miesięcy (w Monachium impreza trwa dwa tygodnie) i obejmie ponad 30 namiotów o łącznej powierzchni 400 tys. mkw., przewyższając w ten sposób oryginał. Jednym słowem – niezły pochlaj szykuje się na tamtejszych piaskach. Dlaczego tak długo? Bo gorąco i suszy. Jak w starym przeboju Beaty K., dwupromilowej wokalistki zespołu Bajm „Nie ma wody na pustyni". Cała nadzieja organizatorów w tym, że Allach przymknie oko na tę alkoholową fiestę.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 484cb83f52

Ważne dla kupujących mieszkania

Marta Kaczyńska-Zielińska

1 lipca 2022 r. wejdą w życie przepisy ustawy z 20 maja 2021 r. o ochronie praw nabywcy lokalu mieszkalnego lub domu jednorodzinnego oraz Deweloperskim Funduszu Gwarancyjnym. Nowe przepisy są poświęcone w szczególności umowom rezerwacyjnym, które choć są powszechnie zawierane, to do dziś pozostają nieuregulowane wprost powszechnie obowiązującymi przepisami prawa.

Na mocy obowiązującej w prawie cywilnym zasady swobody umów w praktyce postanowienia wspomnianych kontraktów ustanawiają zobowiązanie dewelopera do czasowego wykluczenia z oferty sprzedaży wskazanej przez strony nieruchomości w zamian za uiszczenie przez przyszłego nabywcę ustalonej opłaty i zobowiązanie stron do zawarcia umowy przedwstępnej albo umowy deweloperskiej dotyczącej wybranej nieruchomości. Szczegółowe postanowienia odnoszące się do praw oraz obowiązków nabywcy i dewelopera są kształtowane w różny sposób – nie zawsze dostatecznie zabezpieczający interesy przyszłego kupującego. Nowe przepisy mają za zadanie wzmocnienie pozycji nabywcy poprzez skonkretyzowanie obowiązków dewelopera i w szczególności sprecyzowanie zasad dotyczących pobierania opłat rezerwacyjnych.

Zgodnie z przepisami nowej ustawy przedmiotem umowy rezerwacyjnej będzie zobowiązanie do czasowego wyłączenia z oferty sprzedaży lokalu mieszkalnego albo domu jednorodzinnego wybranego przez rezerwującego. Umowa rezerwacyjna, podobnie jak umowa deweloperska, będzie musiała zostać zawarta w formie pisemnej pod rygorem nieważności i wskazywać oznaczenia stron, miejsce i datę zawarcia umowy, cenę lokalu mieszkalnego albo domu jednorodzinnego, do którego się odnosi, usytuowanie lokalu mieszkalnego w budynku, powierzchnię użytkową lokalu albo domu jednorodzinnego oraz powierzchnię i układ pomieszczeń, wysokość opłaty rezerwacyjnej (jeżeli strony zdecydowały się na jej ustanowienie), termin, do którego lokal mieszkalny albo dom jednorodzinny wybrany przez rezerwującego ma być wyłączony z oferty sprzedaży. Opłata rezerwacyjna nie będzie mogła być dowolnie ustalana, a jej maksymalna wysokość nie przekroczy wartości 1 proc. ceny nieruchomości określonej w prospekcie informacyjnym. Istotnym gestem chroniącym interesy nabywców jest wskazanie przez ustawodawcę, że okres, na który ma być zawarta umowa rezerwacyjna, ma być skorelowany z czasem niezbędnym na uzyskanie decyzji o udzieleniu kredytu lub promesy udzielenia kredytu. Nieuzyskanie pozytywnej decyzji kredytowej lub przyrzeczenia udzielenia kredytu skutkuje obowiązkiem niezwłocznego zwrotu opłaty rezerwacyjnej. Wedle nowej ustawy w razie zawarcia umowy deweloperskiej uiszczona opłata rezerwacyjna zostanie zaliczona na poczet ceny nabycia praw wynikających z umowy deweloperskiej oraz przekazana przez dewelopera na mieszkaniowy rachunek powierniczy prowadzony dla przedsięwzięcia deweloperskiego lub zadania inwestycyjnego, nie później niż w terminie siedmiu dni od dnia zawarcia tej umowy. Określono także, że opłata rezerwacyjna powinna zostać niezwłocznie zwrócona rezerwującemu także w przypadku, gdy deweloper albo przedsiębiorca inny niż deweloper nie wykonuje zobowiązania wynikającego z umowy rezerwacyjnej.

Istotnym narzędziem ochrony interesów rezerwującego jest przepis ustanawiający obowiązek natychmiastowego zwrotu opłaty rezerwacyjnej w sytuacji, gdy deweloper dokonał zmiany w prospekcie informacyjnym lub jego załącznikach bez poinformowania rezerwującego. Sankcją za niewykonanie przez dewelopera albo przedsiębiorcę zobowiązania wynikającego z umowy rezerwacyjnej będzie obowiązek zwrotu opłaty rezerwacyjnej w podwójnej wysokości.

Nowe przepisy nie będą obowiązywać w okresie dwóch lat od dnia wejścia w życie, w odniesieniu do przedsięwzięć deweloperskich, których sprzedaż rozpoczęto przed dniem wejścia w życie ustawy i przed tym dniem zawarto co najmniej jedną umowę deweloperską.

REKLAMA

7/0921/F

eprasa.pl 484cb83f52

RZECZY POSPOLITE

Herostrates ukryty

Tomasz Łysiak

Herostrates był szewcem. Żył w Efezie w IV w. p.n.e. W szóstym dniu miesiąca, który w Atenach zwano Hekatombaion, w roku, w którym po raz 106. obchodzono igrzyska olimpijskie, podpalił świątynię Artemidy. Czym się kierował? Żądzą sławy. Dzisiaj, gdyby żył, pędziłby pewnie na granicę Polski z Białorusią, wyciągał wielkie szczypce i ciął zawzięcie druty kolczaste.

Herostrates był w sposób obsesyjny ogarnięty pragnieniem sławy. To dlatego porwał się na to, co z jednej strony groziło gniewem ludu i srogimi karami, a z drugiej mogło dać mu wieczną sławę. Podpalony przez niego Artemizjon efeski płonął jak wielka, sięgająca niebios pochodnia, cudem uratowano ze świątyni słynny posąg Artemidy. W trakcie pożaru zapanowała panika – dla ludzi był to symbol upadku i znak, iż nadciągają wielkie nieszczęścia: w końcu dlaczego Artemida, sama z siebie, nie obroniła swojej świątyni przed szalonym szewcem? Potem wyjaśniano to ludowi tak: w tym czasie, gdy podpalacz szykował się do ataku na jej przybytek, bogini czuwała nad połogiem – w Pelli, w odległej stolicy Macedonii, na świat przychodził bowiem Aleksander, syn Filipa, który miał do historii przejść pod przydomkiem „Wielki".

Herostratesa schwytano, po czym w Efezie odbył się nad nim sąd. W ramach kary postanowiono nie tylko go uśmiercić, lecz i odebrać mu zyskaną podłym czynem sławę, wymazać jego nazwisko z historii i z pamięci społecznej na zawsze. I tak by się stało, a ja nie pisałbym o nim teraz felietonu, gdyby nie Teopompos z greckiej wyspy Chios, który w dziele „Filippika" ujawnił w pewnej wzmiance, jak się ów podpalacz nazywał. I cały pomysł z damnatio memoriae diabli wzięli.

Czemu więc dzisiaj przypominam postać Herostratesa? Ano temu, że nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż cała ta idiotyczna akcja „niszczenia zasieków", podkopywania bezpieczeństwa państwa, czystego wandalizmu jest kierowana li tylko chęcią rozgłosu. Oczywiście, także politycznymi motywami, ale jednak medialna sława, błyszczenie przed kamerami i odgrywanie „obrońców słabych i uciśnionych" zdaje mi się głównym motorem tej „herostratiady granicznej". Gdyby w 356 r. przed Chrystusem w Efezie istniały kanały telewizyjne, z pewnością dziennikarze pod Artemizjonem podtykaliby Herostratesowi mikrofon pod nos. Tak jak czynią to teraz, z jego imitatorami.

Piosenka mojego życia

Z Markiem Piekarczykiem, wokalistą, jurorem „The Voice of Poland", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Podobno dwa razy do tej samej rzeki się nie wchodzi. A może pan nie wchodzi do tej samej rzeki?

Marek Piekarczyk: Do tej samej rzeki, ale innej wody (śmiech).

I jaka ta woda?

Płynie. Wszystko się zmienia. Na szczęście.

A jak z głosami? Jaki będzie pod tym względem 12. sezon „The Voice of Poland"?

Są świetne głosy. I osobowości też. Jest dobrze.

A zaskoczenia były?

Owszem. Chociaż w moim wieku trudno o zadziwienie. Zobaczymy. Na razie to są odkrycia. Trochę jak wykopaliska. Człowiek widzi kawałek intrygującej skorupy, a dopiero z czasem okazuje się, na ile jest ona cenna.

Dużo jest w tej chwili wokalnych konkursów. Jakie miejsce zajmuje wśród nich „The Voice of Poland"?

To jeden z najlepszych programów muzycznych wyszukujących talenty. Najbardziej obiektywny. Szczególnie na przesłuchaniach w ciemno. Chociaż... Ponieważ nie widzimy, kogo wybieramy, możemy też kogoś wartościowego pominąć. O osobowości nie decyduje tylko wokal. Zawsze jest ryzyko, że przeoczymy kogoś takiego, jak Bob Dylan, Grzegorz Ciechowski, czy Boguś Łyszkiewicz z Chłopców z Placu Broni. To jedyny ból, jaki w związku z tym programem mam.

Czy już za wybór jakiegoś utworu uczestnik nagrań w ciemno mógłby dostać u pana punkt więcej?

Jest kilka takich piosenek, ale „Wymyśliłem ciebie" zespołu Dżamble i Andrzeja Zauchy to jest chyba piosenka mojego życia.

Fot. TVP

eprasa.pl 484cb83f52

4,5 mln
tylu uczniów w Polsce poszło do szkół 1 września.

183
w tylu miejscowościach przy granicy z Białorusią wprowadzono stan wyjątkowy.

4
tyle lat skończyła w sierpniu telewizja **wPolsce.pl!**

Fot. Andrzej Wiktor x2, Andrzej Skwarczyński, materiały prasowe, Mateuszgdynia/wikipedia

Wstyd mi, że w Polsce działają dziennikarze, którzy wspierają Aleksandra Łukaszenkę

– wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński do dziennikarzy TVN.

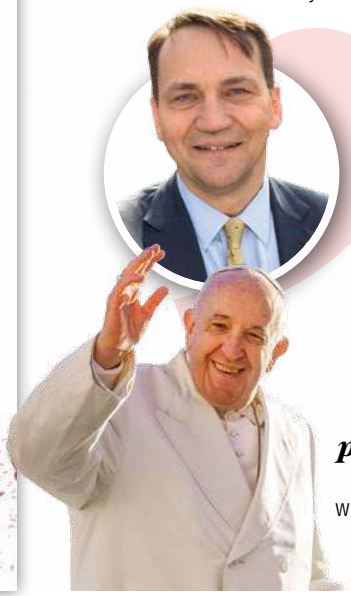

No i co, dostaliście w tyłek w Afganistanie

– Radek Sikorski do swojej żony (Amerykanki) podczas Campusu Polska Przyszłości Trzaskowskiego.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, by podać się do dymisji

– papież Franciszek w odpowiedzi na pogłoski o jego chęci rezygnacji.

zebrał Jakub Maciejewski

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, **OBRÓBKA ZDJĘĆ:** TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKCJA: JAKUB MACIEJEWSKI, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WIKTOR ŚWIETLIK, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: FORUMGWIAZD.COM.PL/FORUM, KATARZYNA PIERZCHAŁA/EAST NEWS, BEATA ZAWRZEL/REPORTER, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, NAC, SHUTTERSTOCK/ BERNATSKAIA OKSANA, OLEKSSH, GUN, JARCZYKOWSKI, GORODENKOFF, , MIA STENDAL, CREATIVENIEKO

nasz sondaż — pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

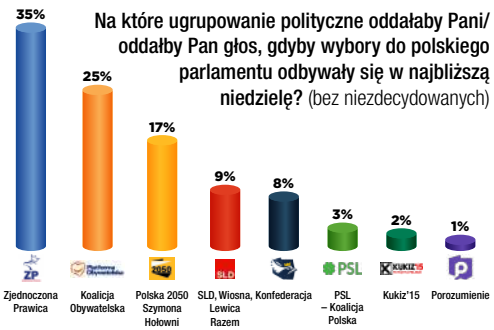

Czy według Pani/Pana Polska powinna uszczelnić granice i zbudować ogrodzenie na granicy z Białorusią, jeżeli napływ imigrantów przez tę granicę będzie się nasilał?

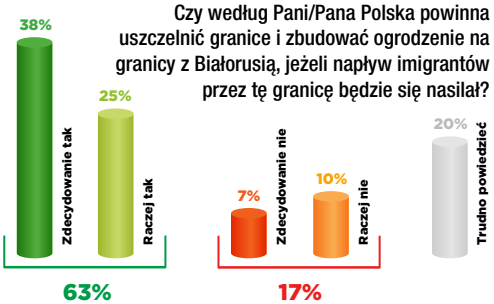

Kto według Pani/Pana jest liderem opozycji w Polsce?

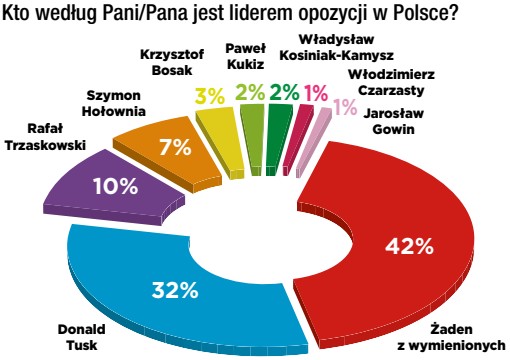

Jak ocenia Pani/Pan fakt, że Władysław Frasyniuk nazwał polskich żołnierzy i strażników granicznych „śmieciami" i „watahą psów"?

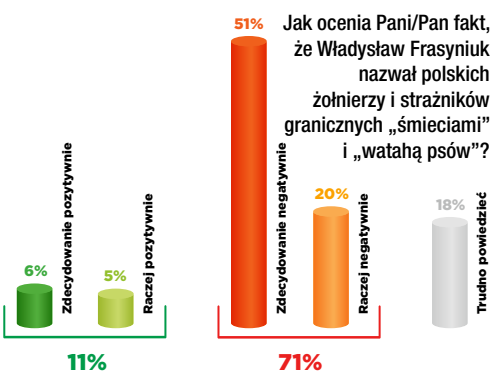

Badanie zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badanie przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1065.

Zakres czasowy badania 27–30 sierpnia 2021 r.

eprasa.pl 484cb83f52

Chcę tylko uczciwej debaty

Tezy, że zastosowane podczas pandemii drastyczne środki wywołały potężne szkody, o wiele większe niż sama pandemia, będę bronił jak niepodległości

Goran Andrijanić i Michał Karnowski rozmawiają z Janem Pospieszalskim, dziennikarzem, publicystą, artystą

Słyszysz te pytania z wielu stron: Janku, co się z tobą stało?

Jan Pospieszalski: Jasne, że słyszę. I odpowiadam: to świat skręcił, wariuje. Ja wciąż idę prostą ścieżką. Zadaję pytania, uważnie obserwuję świat, dbam o interes publiczny. I tak dochodzę do pytania dla nas wszystkich fundamentalnego: czy globalna pandemia i jej globalne konsekwencje to zjawisko medyczne, zdrowotne czy polityczne i gospodarcze? Nikt tych pytań nie może unieważnić, a niewielu ma ochotę je zadawać. Biorę to zatem na siebie.

To są tylko pytania? Czy jednak i odpowiedzi?

Daleki jestem od sięgania po popularne w internecie formułki o wielkim resecie, zaplanowanej depopulacji, stojących za tym wszystkim interesach Billa Gatesa czy innych. Ale też nie unieważniam ludzi, którzy zadają i takie pytania. Sam jednak staram się koncentrować na faktach, które są niepodważalne, doświadczane przez każdego z naszych rodaków, współobywateli. To są bardzo poważne ograniczenia naszych praw obywatelskich, wolności, w ogóle wymuszanie zmian ram i treści życia każdego z nas, od staruszków przez ludzi w pełni zdrowych po dzieciaki.

Z powodu pandemii, które ludzkość nawiedzają od wieków, z powodu grożącej zakażonym koronawirusem ciężkiej choroby. Zawsze takie były skutki.

To prawda, że wielu z nas grozi ciężka choroba, której absolutnie nie należy lekceważyć. Jest też prawdą, że w marcu 2020 r. objawiła się nam wielka niewiadoma, wobec której naturalną reakcją był strach, a następnie drastyczne restrykcje na całym świecie. Ale minęło już półtora roku, mamy duży zasób wiedzy, danych, doświadczeń, które pozwalają na wyciągnięcie wniosków, które uprawniają do stawiania pytań, czy zastosowane radykalne metody nadal mają uzasadnienie. Przecież to one, a nie sam wirus, dekonstruują nasze życie, zabierają dzieciom i rodzinom normalność, niszczą gospodarkę i powodują niewyobrażalne straty w każdym wymiarze, o wiele większe niż sam wirus. Tej właśnie tezy, że zastosowane środki wywołały potężne szkody, o wiele większe niż sama pandemia, będę bronił jak niepodległości.

Nie dostrzegasz, że to rozumowanie pęknięte, niespójne? Mówisz, że „wielu z nas grozi ciężka choroba, której absolutnie nie należy lekceważyć", ale jednocześnie płynnie przechodzisz do radykalnego stwierdzenia, iż za koszty społeczne pandemii odpowiadają zastosowane w obronie społecznej środki.

Stwierdzam tylko, że po półtora roku mamy prawo i obowiązek zastanowić się, czy stosowane arbitralnie środki są adekwatne do zagrożenia. I wielu widzi, że nie. Rozumiem, że można było popełnić błędy na początku, ale tkwi się w nich cały czas. Wiemy, że pandemia nie jest aż tak groźna, jak twierdzono na początku. Że zdecydowana mniejszość przeszła lub przejdzie COVID-19 bardzo ciężko. I ich trzeba leczyć, im pomagać, jeśli nie ma wyjścia, izolować. Ale dlaczego wszystkich? Jak długo? Rozejrzyjmy się wokół: ilu naszych znajomych ciężko zachorowało? Ilu z nas zna takie osoby?

Ja znam. I takich, którzy zmarli na COVID-19, i tych, którzy do dzisiaj się zmagają ze skutkami zakażenia. Choćby...

...tak, przypadek naszego kochanego przyjaciela Piotra Semki musi się pojawić w tym miejscu, i ja takie dramaty dostrzegam. Ale nawet one nie znoszą pytań o adekwatność stosowanych od półtora roku drastycznych środków. Rzeczywistość obok nas pokazuje, że na szczęście większość naszych bliskich, którzy covid przeszli, nie miała tak straszliwych doświadczeń.

Lekarze, którzy Piotra leczyli, a należą im się wielkie podziękowania i uznanie, opowiadali mi, że byli wśród nich tacy, którzy po kolejnych falach epidemii doświadczali zespołu stresu pourazowego (PTSD) – bo tyle śmierci i tragedii przez ich ręce prze-

eprasa.pl 484cb83f52

Fot. Andrzej Wiktor (2x)

szło. Podobnie było w Zagrzebiu, gdzie znany był przypadek samobójstwa lekarki, która tego nie wytrzymała. Sami znamy przypadki śmierci kobiet, które w pandemii nieostrożnie odwiedziły córki – i je zaraziły.

Dlatego powtarzam: mamy do czynienia z chorobą, która może przybrać ciężki przebieg i nie należy tego lekceważyć. Ale czy to oznacza, że nie możemy rozmawiać o tym, jak się z tym zmierzyć? To są konkretne sprawy, jak ustalenie, czy ktoś już naturalnie nabył odporność, aż po samo leczenie choroby w przypadku zakażenia. Przecież w oficjalnych schematach medycznych i w protokołach, jakie były rozsyłane do lekarzy, jest informacja, by tego nie leczyć! Nie podawać witaminy C, D, cynku. To są historie, które budzą zdziwienie.

Jak to nie leczą? Jak masz covid, to albo trafiasz do szpitala, gdy stan jest poważny, albo siedzisz w domu pod kontrolą lekarza.

W tym problem: oficjalne zalecenia stwierdzały, że tych w domu nie należy leczyć, choć leczy się w domu grypę i wiele innych chorób.

Żaden z nas nie jest lekarzem, więc trudno nam to rozstrzygnąć. Może na początku nie wiedziano, z czym mamy do czynienia, obawiano się zaszkodzić?

Nie! Październik 2020 r., kolejna fala! A mamy przecież informacje, z wielu wiarygodnych źródeł, w tym od lekarzy praktyków, pokazujące, iż są środki skuteczne w leczeniu COVID-19, to nie rozumiem, jak można obok tego przejść obojętnie. W czasie, gdy szpitale są pełne chorych i podobno brakuje miejsc! Czy ktoś, kto rzeczywiście chce walczyć z pandemią, a ta retoryka wojenna ciągle się pojawia, może takie dobre wieści odrzucić?

Twierdzisz, że tysiące lekarzy w dziesiątkach szpitali nie robiło wszystkiego, co w ich mocy, by ratować pacjentów?

Nie mówię o szpitalach, ale o pacjentach trzymanych w domu. O sytuacjach, gdy ludzie wykonują test, dostają zalecenie kwarantanny w domu i się ich nie leczy, oczekując, czy stan się pogorszy czy nie. I to w sytuacji, gdy od maja ubiegłego roku mamy informację, iż chlorowodorek amantadyny okazuje się zaskakująco skuteczny w leczeniu COVID-19, zwłaszcza podany w pierwszej fazie choroby. Mówią o tym lekarze, mówią zwykli ludzie, składają takie świadectwa znane osoby. W waszym otoczeniu też pewnie ludzie tak się leczyli. Nie zaprzeczycie panowie?

Nie zaprzeczymy. Tak było.

Mówił też o takim własnym pozytywnym doświadczeniu z amantadyną minister Marcin Warchoł. Zapytałem o to w programie w TVP, kiedy jeszcze mogliśmy tam być, ministra Michała Dworczyka. Zimny dystans, z jakim podszedł do tak dobrych przecież informacji, niemile mnie uderzył.

Wiesz dobrze, że o amantadynę Dorota Łosiewicz bije się od początku na łamach „Sieci" i wPolityce.pl.

I chwała jej oraz redakcji! Ale jakie efekty? Minął kolejny rok, a jedyne, co zrobiono, to zakazano sprzedaży amantadyny bez recepty. To o co tu chodzi? O ratowanie czy kręcenie tego wszystkiego bez końca?

Można zrozumieć ministerstwo, że nie dopuszcza do powszechnego stosowania leku, którego wszystkich skutków w leczeniu COVID-19 nie przebadano. Gdyby wyszło, że są też efekty niedobre, zacząłbyś robić programy o nieodpowiedzialnych szaleńcach, którzy dali ludziom niesprawdzony preparat.

Czy ktoś im broni przebadać? Czy w sprawie szczepionek nie pokazano, że jak się chce, to można procedury skrócić radykalnie?

I te badania trwają.

W takim tempie i takiej formie, by niewiele z tego wyszło. Przyglądałem się tej sprawie: procedury przeciągano w nieskończoność, w efekcie w badaniu uczestniczy

eprasa.pl 484cb83f52

dziś mała grupa, wyłącznie pacjenci już hospitalizowani. W mojej ocenie Agencja Badań Medycznych i URPL pokazują nam wszystkim gest Kozakiewicza. Nie, bo nie. Nie, bo my rządzimy, a wy słuchacie. Ale ludzie wiedzą swoje i podziemny rynek handlu amantadyną ma się nieźle. Wielu ludzi uniknęło dzięki temu poważnych tarapatów. Dziś wreszcie wiemy, że po cichu, bez rozgłosu cofnięto zakaz i można dostać amantadynę na zwykłą receptę. Inna sprawa: czy widziałeś Goranie albo Michale choć jeden spot zachęcający do dbania o swoją odporność, brania właściwych witamin, suplementów? Do dobrej diety, kontrolowania wagi, ruszania się? Do wystawiania gęby do słońca? Do spacerów? Czyli tego, co wzmacnia odporność i radykalnie ogranicza ryzyko ciężkiego przebiegu choroby? Nie ma takiej kampanii, a jednocześnie setki milionów idą na reklamy szczepień. Czy naprawdę bardziej od tego opłaca się wszystko zamykać?

To pytanie musiało się pojawić w tej rozmowie, bo jest istotą sporu o podejście do pandemii: czy dla ratowania bardziej narażonych mamy prawo ograniczać możliwości i prawa wszystkich? O to chodzi?

Nie! Nie mówmy o społeczeństwie, mówmy o władzach i lekarzach. Bo to tam mamy do czynienia z potężnym zaniedbaniem, powiem nawet ostrzej – z gigantycznym szalbierstwem ludzi, którzy podejmowali kluczowe decyzje w walce z pandemią.

Straszliwy zarzut. Czy myślisz, że ktoś świadomie podejmował decyzje szkodzące obywatelom!?

Nie mówmy o tym, co myślę. Mówmy o faktach. O tym, że ktoś podjął decyzje prowadzące do paraliżu placówek podstawowej opieki zdrowotnej! Przecież wszyscy wiemy, że leczenie teleporadami to straszliwy absurd, to pozbawienie milionów ludzi szansy na ratunek. A przecież trwano w uporze w tej sprawie nawet wtedy, gdy cały personel medyczny był już szczepiony. Na ludzi, którzy do tego doprowadzili, spada straszliwa odpowiedzialność za to, co się stało. I mówię to całkiem serio, bo od momentu, w którym prezes Jacek Kurski zdjął nas z anteny TVP, a było to 12 kwietnia, przez wiele tygodni towarzyszyłem lekarzom mającym odwagę mówić o tym, co się dzieje. Nie nagrywałem wielu własnych komentarzy, wolałem rozmawiać z lekarzami, którzy alarmują, że dzieje się coś niedobrego.

Wszyscy wiemy, że pandemia przyniosła straszliwe skutki na całym świecie. Walka szła o to, jak sprawić, by skutki były możliwie najmniejsze. To były trudne decyzje.

> Bogu dziękuję, że kryzysem covidowym nie zarządzają Ewa Kopacz i Bartosz Arłukowicz. Oni dopiero by nas urządzili. Dostrzegam to i tym bardziej mnie boli, że rząd, z którym wiązałem takie nadzieje, tak postępuje, sięga po przemoc wobec lekarzy i dziennikarzy proponujących inną ścieżkę ratowania zdrowia Polaków

To jest właśnie najważniejsze. Lekarze, z którymi rozmawiałem, zauważyli, że wybrano złą drogę, że wprowadzone restrykcje przyniosły szkody większe niż sam wirus. Pierwszym znakiem, że podobnie myślących jest więcej, była książka „Fałszywa pandemia" doktora Mariusza Błochowiaka, który zebrał ze świata relacje i dane. Pamiętacie, czytał ją nawet w Sejmie Jarosław Kaczyński.

Sam jednak przyznajesz, że określenie „fałszywa pandemia" nie jest prawdziwe, że groźny wirus i ciężka choroba przez niego wywoływana są realnością?

Dziś nasza wiedza jest oczywiście większa, nie wszystko tam zawarte można podtrzymać, ale główna myśl, że świat bez przemyślenia sprawy skoczył w politykę zamrażania społecznego, tych lockdownów wszystkiego, na wiele miesięcy, pozostaje jak najbardziej aktualna. Mamy wielu odważnych lekarzy, jak dr Zbigniew Martyka, szef oddziału covidowego, jak dr Paweł Basiukiewicz, który kierował takim oddziałem, zgłaszają swoje obserwacje, że dzieje się coś niedobrego, apelują o zmianę tej polityki. I nikt ich nie chce słuchać! Zamiast zaproszenia do rozmowy dostają wezwania do izb lekarskich, gdzie zarzuca się im, że promują zachowania nienaukowe i antyzdrowotne. Przykładem na to ma być zawarte w jednym z apeli stwierdzenie, że COVID-19 da się leczyć. W grudniu była jeszcze haniebna moim zdaniem komisja zdrowia, na której minister mówi o kołtuństwie tych lekarzy. A prof. Andrzej Matyja, prezes Naczelnej Izby Lekarskiej, mówi, że „będziemy przesłuchiwać tych lekarzy". Przesłuchiwać! I to robią. Ta sprawa była dla mnie punktem przełomowym. Pomyślałem: nie, coś tu jest nie tak!

Spokojnie, po kolei! Chyba każdy z nas jest z tobą, gdy mówisz: pogadajmy o tym, jak najlepiej odpowiedzieć na zagrożenie niesione przez koronawirusa. Ale mamy wrażenie, że ty w swojej działalności idziesz dużo dalej: to wszystko bez sensu, kto miał umrzeć, powinien umrzeć, reszta niech ma normalne życie.

To nieprawda! Ja tylko mówię, a właściwie mówią odważni lekarze, że wybrano metody, które spowodowały straty większe, niż spowodowałby sam wirus.

Przecież to nieprawda! Wszędzie tam, gdzie wirus wszedł, kosił masowo starszych, słabszych, a na końcu i młodych. Bez lockdownów załamywał się system ratowania zdrowia. Gdyby nie podjęto tych działań, koszty byłyby wielokrotnie większe.

A skąd to wiecie? Nie ma żadnych dowodów na skuteczność lockdownów.

Stąd, że mamy porównanie. Choćby z Chorwacją, sąsiadami Polski. Na tle innych państw nasza sytuacja zdro-

eprasa.pl 484cb83f52

wotna, społeczna, gospodarcza jest naprawdę niezła.

O gospodarce nie mówmy, bo te wszystkie programy ratunkowe na świecie polegały przecież na uruchomieniu drukarki z pieniędzmi. Zapłacono mi ostatnio za koncert pięknymi pięćsetkami. Nigdy wcześniej nie widziałem takich banknotów.

Jak to zrobiono, tak zrobiono. Faktem jest, że firmy masowo nie padały, nie było wzrostu bezrobocia, dziś w Polsce należy ono do najniższych w Europie. Ale zostawmy to, bo nie chodzi o pojedyncze błędy, które się zdarzały. To oczywiste. Czy potrafisz wskazać inne generalne rozwiązanie w obliczu pandemii niż próba ograniczenia jego rozprzestrzeniania, spłaszczania krzywej zachorowań tak, by wszyscy chorzy nie trafili do szpitala jednocześnie, wreszcie dojścia do szczepień? Wszystko to kwestionujesz. Co jest twoją propozycją?

Uczciwa debata. I nie z moim udziałem, ale lekarzy, którzy zgłaszali inne koncepcje. Gdyby ich dopuszczono do głosu, a nie przesłuchiwano w izbach lekarskich, być może udałoby się wypracować inną ścieżkę. Obecna doprowadziła do zamknięcia ochrony zdrowia, odmówienia skutecznego leczenia osobom cierpiącym na inne choroby i w efekcie nadmiarowych zgonów, w samym 2020 r. ok. 70 tys. osób. Z tego na sam COVID-19 zmarło 6 tys., a 20 tys. ofiar to osoby, u których covid wystąpił z innymi ciężkimi schorzeniami. Reszta zmarła, bo nie została zdiagnozowana, bo nie doczekała operacji.

Zgoda: to są także ofiary epidemii.

Nie, to są ofiary decyzji o zamknięciu ochrony zdrowia.

Gdyby nie było lockdownów, ofiar byłoby wielokrotnie więcej. Wymarłoby pół pokolenia seniorów. Fakty są takie, że ten rząd uratował setki tysięcy naszych rodaków. Tak samo robiła większość rządów na świecie, a ci, którzy próbowali innej drogi, musieli się cofnąć.

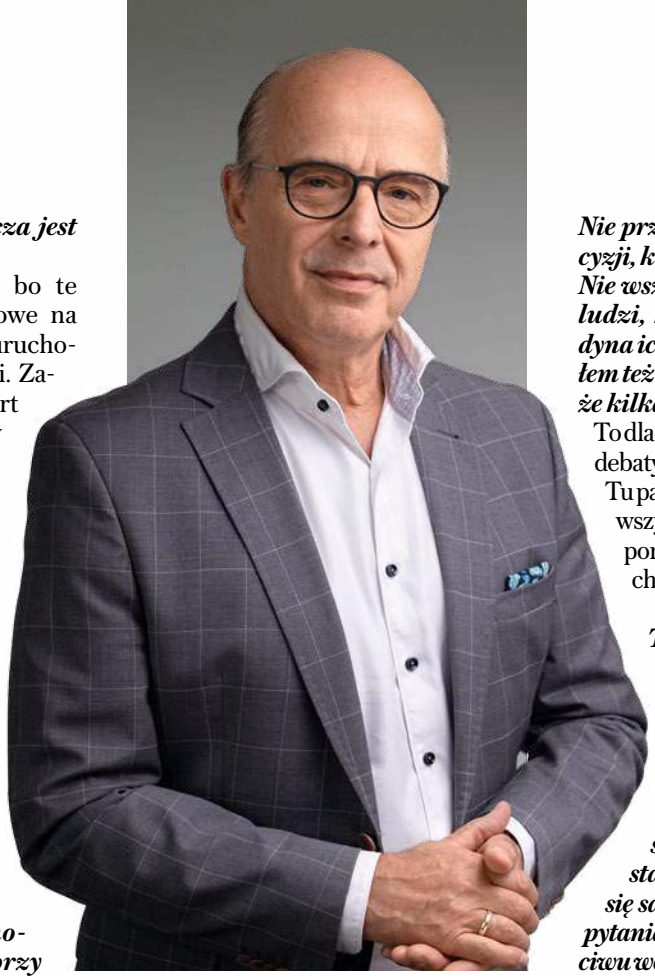

No, tego to ja już nie mogę słuchać. Jak uratował? Gdzie na świecie wymarli seniorzy?

Choćby w domach opieki w stanie Nowy Jork, gdzie demokratyczne władze cynicznie dopuściły do zakażeń, a potem ukrywały dane o straszliwej śmiertelności.

Jest odwrotnie: wielu ludzi zmarło, bo zamknięto POZ-y.

Jakby POZ-y były cały czas otwarte, ludzie by się tam masowo zarażali. I licznik by wystrzelił wielokrotnie mocniej. Szpitale zaś zapchałyby się w tydzień.

I wracamy do początku rozmowy: trzeba było się skupić na leczeniu chorych na COVID-19. A tak trzymano chorych w domu, aż byli w stanie tak ciężkim, że trzeba było ich ładować pod respiratory, gdzie zresztą śmiertelność była ogromna. A ja mam wiele świadectw lekarzy, którzy opowiadają, że nie tylko amantadynę musieli podawać w tajemnicy, ale i witaminy. Bo rzekomo ich skutki w leczeniu covidu były nieznane. To są absurdy, niezrozumiały zamordyzm. Broniąc tego, brniecie w szaleństwo.

Nie przypisuj nam obrony każdej decyzji, każdego błędu, bo to nieprawda. Nie wszystko jest takie proste: znamy ludzi, którzy twierdzą, iż amantadyna ich uratowała, ale ja rozmawiałem też z lekarzami, którzy twierdzili, że kilka osób załatwiła.

To dlaczego nie zrobiono o tym uczciwej debaty między lekarzami, ekspertami? Tu pandemia, stan najwyższego alarmu, wszystkie ręce na pokład, a oni nawet porozmawiać o szansie na ratunek nie chcą?

To ciekawe, ale to nie jest odpowiedź na nasze pytanie o inną ścieżkę reakcji na epidemię. Jesteś jedną z najważniejszych postaci w życiu publicznym, dla wielu autorytetem, od kiedy pamiętam – osobą stojącą po stronie polskiej racji stanu. Więc proszę, nie redukuj się sam do osoby po prostu zadającej pytania. Stałeś się liderem ruchu sprzeciwu wobec wybranej drogi walki z pandemią, to mamy prawo dowiedzieć się, co proponujesz w obliczu śmiertelnego wirusa i ograniczonych możliwości leczenia dziesiątków tysięcy chorych naraz? Czy twierdzisz, że wszyscy się pomylili? I Stany Zjednoczone, i Izrael, i Niemcy, i dziesiątki innych krajów? Co ty robisz, kiedy jesteś premierem, ministrem zdrowia i radą medyczną?

Przede wszystkim nie przypisujcie mi roli lidera. Co bym zrobił? Po prostu leczę – tych w domach, w szpitalach. Szukam lekarstw.

Czyli pozwalasz, żeby się rozeszło?

Wprowadzam oczywiście środki elementarnej ostrożności. Ale nie zamykam przychodni lekarskich, szkół, nie demoluję wszystkim życia. I szukam sposobu ratunku, choćby prowadzę badania naukowe. Wiecie, że ci wszyscy profesorowie, którzy wymachują paluszkami, iż wszystko przez katolików gromadzących się na mszach, sami nie robią żadnych badań? Wiecie, że nie robią sekcji zwłok zmarłych na COVID-19? Wiecie, że w szpitalach na oddziały covidowe trafiali pacjenci ciężko chorzy na inne sprawy – i tam często umierali? Gdzie się podziało stare lekarskie powiedzenie: uczmy się od zmarłych?

eprasa.pl 484cb83f52

Bo covid zabija.

Zabijają też choroby, które zaprzestano leczyć. Pośrednio zabijają obostrzenia, które zastosowano. Jak możecie tego nie widzieć?! Jak możecie nie widzieć egoizmu wielu placówek, które długo po zaszczepieniu całego personelu proponowały pacjentom teleporady?

Przecież wiesz doskonale, że rząd napotykał na silny opór, gdy próbował naciskać na szybsze otwarcie POZ-ów.

Powinien był mocniej to egzekwować! W Niemczech tak mocnego ograniczenia w dostępie do szpitali nie było i mają mniej zgonów nadmiarowych. A u nas lekarzy, którzy mimo wszystko leczyli ludzi, zaczęto gnoić po występach w moich programach. Nie ma na to mojej zgody.

Przyznasz, że w pewnym momencie w waszych programach poszliście na całość. Oglądałem wszystkie i o ile na początku była to ciekawa debata o alternatywnych drogach, o tyle w ostatnim odcinku była już jazda bez trzymanki, z wypowiedziami zarzucającymi rządowi świadome szkodzenie Polakom, wręcz ich zabijanie.

To były emocjonalne rozmowy, mogły paść mocne słowa. Ale czy ktoś poza nami te pytania zadaje? Nie wyciąga się wniosków.

Jak to nie? Idzie kolejna fala, metody są inne. Są szczepienia – ale one też ci się nie podobają.

Nie manipulujcie! Jaka kolejna fala? W Izraelu to dopiero jest kolejna fala i właśnie wśród zaszczepionych. Nie podoba mi się przymus szczepień, nie podoba mi się wpychanie ich każdemu, nawet tym, którzy COVID-19 przeszli i mają naturalnie nabytą odporność. Czy wiecie, że osoby, które miały zrobiony test antygenowy, a nie PCR, nie są uznawane w systemie jako ozdrowieńcy? A o typie testu decydował przypadek. Czy nie chodzi o to, żeby potężne koncerny farmaceutyczne zarobiły miliardy na kolejnych dostawach szczepionek? Rządy wchodzą w to jak ślepe.

Przecież to rządy prosiły koncerny, żeby jak najszybciej opracowały szczepionki.

Co nie zmienia faktu, że te zarabiają miliardy. Już się okazuje, że odporność wskutek szczepienia trwa krócej, niż sądzono, to już szykują się do podawania trzeciej dawki.

Nawet jeśli, to co w tym takiego strasznego? Szczepionki to osiągnięcie cywilizacji, uratowały wiele miliardów ludzi.

Ale te zrobiono w tempie tak ekspresowym, że nikt nie zagwarantuje, iż w przyszłości nie będą miały złych skutków. Przecież w Polsce ukrywa się NOP-y – niepożądane odczyny poszczepienne. Często poważne. Mam o tym wiele świadectw. Formularz ich zgłoszenia jest tak skomplikowany, trzeba m.in. podać numer serii, dawki, że jego wypełnienie jest właściwie niemożliwe.

Dla lekarza niemożliwe?

Dla lekarza trudne i pracochłonne, dla pacjenta niemożliwe. A przez system z taką sprawą nie daje się przebić, zwłaszcza człowiekowi, który cierpi. A mimo to i dzieciom się szczepionki już podaje.

Tak – i większość z nas swoje nastolatki szczepiło od razu.

I macie prawo, ale po co, skoro dzieci nie chorują ciężko na covid, a szczepionka nie chroni przed przenoszeniem wirusa? O co tu chodzi?

O odporność całej populacji, o to, że młodzi chorują rzadziej, ale też chorują, i niekiedy ciężko.

Przy takim podejściu to się nigdy nie skończy i naprawdę jesteśmy już na zawsze w jakiejś nowej rzeczywistości. A wszystko dlatego, że nie dopuszcza się do głosu ludzi proponujących inne podejście. Jeśli to jest wojna z covidem, to pierwszą jej ofiarą jest znowu prawda.

Nie słychać o wielu ludziach, którym szczepionka by poważnie zaszkodziła, ale znaliśmy wielu, którzy umarli albo omal nie umarli, bo się nie szczepili.

A ja znam przypadki i takie, i takie. O niebezpieczeństwach też trzeba mówić.

Jesteś pewien, że między szczepieniem a problemami ze zdrowiem po szczepieniu jest bezpośrednia łączność? W tak dużej grupie? Dziś 15 milionów Polaków wypije na śniadanie szklankę mleka, a jutro kilkoro z nich dostanie wylewu. Bo takie jest życie, taka jest statystyka.

Są różnice. Po pierwsze, szklanka mleka to nie wprowadzona na rynek w ekspresowym tempie szczepionka. Po drugie, nikt cię do picia mleka nie zmusza. Po trzecie, jakbyś połączył swoje mleko z późniejszą chorobą, mógłbyś to zgłosić, a tu przymus się pojawia coraz mocniejszy.

Jaki przymus?

A przyznanie pracodawcy prawo do represjonowania nieszczepionych to co? Czy wiecie, że w administracji, służbach mundurowych i wielu firmach za brak szczepienia nie ma się prawa brania udziału w szkoleniach, wyjazdach, nie dostaje się zadań i awansów, a często traci pracę? To jest rzeczywistość, którą widzą Polacy.

Jesteśmy przeciwni przymusowi, ale wiemy, że bez szczepień nigdy z tego możemy nie wyjść.

To jeszcze zobaczymy. W państwach, w których poziom szczepień bije rekordy, jakoś zachorowalność nie maleje.

Jednak wracają do normalnego życia.

Może dlatego, że każda pandemia z czasem naturalnie przechodzi?

No dobrze, czy jest ktoś, komu w tej sprawie ufasz? Bo rządowi nie, profesorom nie, statystykom nie.

Tak, mamy ogromny kryzys zaufania. Nie wierzę w oficjalne dane statystyczne dotyczące skutków szczepień – co nie pozwala nam powiedzieć, że są one na pewno bezpieczne. Nie wierzę też w dane dotyczące śmiertelności wirusa, bo słyszę wiele relacji, iż szpitale często przypisują przypadki zgonów właśnie covidowi. Z prostego powodu – taki pacjent jest lepiej płatny przez NFZ, więc jest pokusa podkręcania statystyk, żeby oddłużyć szpital.

Ogłaszałeś jednak przypadki rzekomej śmierci trzech nauczycieli z Gliwic po szczepieniu, i to się nie potwierdziło.

Ja nie ogłaszałem, to ludzie, znajomi tych nauczycieli, mnie zaalarmowali, bo wszyscy w ich otoczeniu łączą te przy-

eprasa.pl 484cb83f52

padki ze szczepieniem. A dlaczego wy tego nie zbadaliście? Ja na swoje skromne możliwości próbowałem. I okazuje się, że w jednym przypadku śmierć nastąpiła z powodów kardiologicznych po drugiej dawce. Ale NOP-u nie zgłoszono. W drugim rodzina czuje się winna, bo namówiła osobę z problemami kardiologicznymi na szczepienie. I też NOP-u nie zgłosi. To są bardzo trudne rzeczy.

Szczepienia wszędzie są standardem, wszędzie w Unii takie same preparaty. Wszyscy ukrywają NOP-y?

Nie wszędzie. W Norwegii jest ich 17 razy więcej. Inaczej szczepią?

Ale szczepią.

Tak, szczepią.

Bo nie ma innej drogi.

Nie zgadzam się na podaną z góry jedyną niedyskutowalną receptę. Nie na tym polega wolność i odpowiedzialność.

Czy odpowiedzialność nie powinna polegać też na dostrzeżeniu, że twoje akcje przyczyniają się do osłabienia rządu, który jednak broni wyjątkowej w dzisiejszej Europie wolności w Polsce? Nie promuje zabijania dzieci nienarodzonych, nie zachęca dzieciaków do pochopnej zmiany płci, co przynosi wiele tragedii, nie reedukuje Polaków na siłę. Wiesz doskonale, że gdyby rządził dziś np. Donald Tusk, to w czasie epidemii mielibyśmy prawdziwy zamordyzm.

Bogu dziękuję, że kryzysem covidowym nie zarządzają Ewa Kopacz i Bartosz Arłukowicz. Oni dopiero by nas urządzili. Dostrzegam to i tym bardziej mnie boli, że rząd, z którym wiązałem takie nadzieje, tak postępuje, sięga po przemoc wobec lekarzy i dziennikarzy proponujących inną ścieżkę ratowania zdrowia Polaków.

Jaką przemoc?!

A próby odebrania prawa do wykonywania zawodu lekarza, to co?

Ktoś stracił?

Na razie nie. Ale ich przesłuchiwano. Męczono. Lekarzy, którzy bali się dotknąć chorego na covid i patrzyli, jak umiera, a mam takie świadectwa, nikt nawet nie zapyta, jak się z tym czują. Tych, którzy w pandemii bohatersko jeździli do domów, do pacjentów, ciąga się po przesłuchaniach.

Ludzie się jednak dziwią sile, z jaką atakujesz rząd. W poprzednim numerze „Sieci" prof. Ryszard Legutko mówi, że jesteśmy w momencie absolutnie przełomowym, że grozi nam skokowa redukcja suwerenności, wpadnięcie do końca w łapy brukselskiej przemocy, kres wolności, jaką znamy. A ty wojujesz, bo szczepionka niesie ryzyko podobne do jazdy autostradą! Czy za dziesięć lat nie będziesz żałował, że władowałeś swoją energię w tak niszową sprawę?

Błagam was, to wy oszaleliście! Brak wolności słowa, brak debaty o sposobach leczenia tak ciężkiej choroby, przymuszanie pracowników do szczepień – to nie są wartości fundamentalne?

> Nikt nie musi pracować całe życie w telewizji. Przepracowałem tam, w różnych formach, z wieloma przerwami, 27 lat. Uważam to za fajny okres, ważny kawał mojego życia. Wiążą mnie z TVP piękne wspomnienia, także muzyczne, religijne. I to zostanie. Boli mnie jednak, że konsekwencje spotykają ludzi z naszego zespołu

To jest właśnie choroba postmodernizmu – szczepienie jako kwestia kluczowa rzekomo dla wolności. Kiedyś ludzie umieli oddzielić to, co ważne, od tego, co nieistotne. Dzisiaj liczy się tylko „ja, ja", bo jest jakiś promil ryzyka.

A skąd wiecie, że promil? Jeśli promil, to dlaczego nie wolno o tym rozmawiać? O to właśnie chodzi!

Zabolało cię, że nie będzie „Warto rozmawiać" w telewizji?

Boli mnie, że konsekwencje spotykają ludzi z naszego zespołu. Że dotykają też wspaniałego człowieka, wybitnego redaktora i naszego przyjaciela Pawła Nowackiego. Sam wiesz, ile mu wszyscy zawdzięczamy. Szkoda, że kończy się ten rozdział. Nikt nie musi pracować całe życie w telewizji. Przepracowałem tam, w różnych formach, z wieloma przerwami, 27 lat. Uważam to za fajny okres, ważny kawał mojego życia. Wiążą mnie z TVP piękne wspomnienia, także muzyczne, religijne. I to zostanie.

Dorota Kania napisała: „Jan Pospieszalski kreuje się na bojownika o wolność słowa i pisze dobrze na temat traktowania go przez komunistów. Nic dziwnego, przecież w latach 80. wyjeżdżał na koncerty do Moskwy i brał udział w festiwalu piosenki radzieckiej w Zielonej Górze".

Naprawdę musimy o tym rozmawiać?

Wspomnieć musimy.

To jakieś pogubienie, nieszczęście. Tu się nic nie zgadza. Byłem w Moskwie nie w latach 80., a 70. – jako muzyk z Czerwonymi Gitarami. Podobnie jak w San Francisco, Los Angeles, Montrealu, Toronto i wielu innych miejscach. A w NRD, gdzie często koncertowaliśmy, nazywano nas Rote Gitarren, co dla red. Kani oznacza, że jestem wcieleniem Stirlitza? Dajmy spokój!

Co dalej?

Uruchomiłem z Jankiem Pawlickim kanał na YouTubie, spotykam się z ludźmi, nagrywam, rozmawiam. Słowem, nie mam w co rąk włożyć. Wierzę, że bez względu na wszystko warto rozmawiać z Polakami.

eprasa.pl 484cb83f52

JAN ROKITA

Jeśli pominąć nierobiące już wrażenia, bo nadto zrytualizowane, obelgi wobec liderów PiS (miotane zwłaszcza przez Donalda Tuska), to w społecznej pamięci utrwali się z Olsztyna zapewne obraz ważnego polityka Platformy – Sławomira Nitrasa, zapowiadającego konieczność „opiłowania za karę" katolików z przywilejów, aby na przyszłość „znowu nie podnieśli głowy". A także panel związanych z partią literatów, na którym jeden z nich (Zygmunt Miłoszewski) ogłosił, iż gdyby nie „skatolizowanie" polskich umysłów przez religię w szkole, to PiS dawno już zostałoby pozbawione władzy. I równie osobliwy, choć wypowiedziany stanowczo i bez wahań pogląd Rafała Trzaskowskiego, iż brak prawa o związkach gejów był „największym błędem", jaki popełniono w ciągu całych ośmiu lat rządów Platformy. Zresztą wystarczy rzucić okiem na tytuły wydarzeń Campusu, aby szybko wyrobić sobie pogląd co do ideowego kierunku tej imprezy.

Olsztyńska twarz Platformy

Olsztyński młodzieżowy Campus Polska Przyszłości, z sukcesem zorganizowany przez prezydenta Warszawy, umocnił oblicze Platformy Obywatelskiej jako postępowej partii o profilu wyraźnie antyreligijnym

eprasa.pl 484cb83f52

Żaden polski głównonurtowy polityk nie wyraził dotychczas podczas wielkiej, oficjalnej imprezy partyjnej tak silnej wiary w to, iż niedługo chrześcijanie będą stanowili w Polsce mniejszość

Fot. Artur Szczepański/REPORTER

PLATFORMA ANTYCHRZEŚCIJAŃSKA

Tylko tytułem przykładu: debatowano tam nad „organizacją parady równości", „ekofeminizmem", „transhumanizmem", „miłością, seksem i robotami", „dobrem zwierząt", „opresją i prawami kobiet", a nawet nad „wykluczeniem menstruacyjnym". To dość typowa, skopiowana na żywca agenda licznych w dzisiejszej Europie postępowych mityngów, służących całkiem nowemu, biopolitycznemu zdefiniowaniu sensu polityki i całej sfery publicznej. I co ważne – to agenda niemal w każdym punkcie otwierająca w podtekście konfrontację z głównym ideowym przeciwnikiem, jakim jest tutaj chrześcijaństwo. Jeśli więc jest w tym wszystkim jakaś zaskakująca nowość czy nawet coś osobliwego – to tylko to, iż tak wygląda dzisiaj busola ideowa najważniejszej polskiej partii opozycyjnej, aspirującej do przejęcia władzy w kraju. Jeszcze parę lat temu nikt by tego nie mógł wymyślić.

Co prawda Platforma Obywatelska już od jakiegoś czasu ewoluowała w takim kierunku, zwłaszcza odkąd utraciła władzę w roku 2015. Ale jeszcze w okresie dwóch rządów Tuska w partii obowiązywała niepisana doktryna, wedle której to tylko pewna część polskiego pejzażu katolickiego, ta bardziej zachowawcza i upolityczniona, z Radiem Maryja na czele, jest uważana za politycznego wroga. Jednak sam polski katolicyzm, wraz ze swym licznym i ofiarnym duchowieństwem, tak wyczulony na ochronę polskiej tradycji patriotycznej, dobrych obyczajów i moralności – jest traktowany jeśli nie jako sojusznik, to w każdym razie jako partner, czasem nawet przydatny w rządzeniu. Kiedy Tusk chciał za wszelką cenę usunąć krzyż smoleński spod Pałacu Prezydenckiego, to nie zrobiono tego par force, ale nakłoniono kardynała Nycza do nadania owej eksmisji charakteru dewocyjnego. A kiedy biskupi nie zgodzili się na system finansowania instytucji kościelnych zaproponowany przez ministra Boniego, rząd cichcem wycofał się ze swych planów.

W szczególnie drażliwych kwestiach obyczajowych Tusk jako premier konsekwentnie deklarował, że jest daleki od sztucznego przyspieszania rewolucji w tej sferze. Stąd zresztą zrodziła się trwająca do dziś nieufność feministek do Tuska, gdyż ten chodził na ich zebrania i popierał wszystko, co tam postulowano, a potem i tak dalej grał rolę biernego obserwatora trendów libertyńskich. Jak zresztą we wszystkich kwestiach ideowych, Tusk w materii religii starał się grać na dwa fronty. Na użytek antyklerykalnej publiki, tej niższych lotów, dawniej wypuszczany był ze swymi ekscesami Palikot. Dla tej nieco lepszej sam Tusk rzucał takie hasła, jak to, że partia „nie zamierza klęczeć przed księdzem". Jednak zachodzącą już wtedy ewolucję Platformy najcelniej obrazowało (skrzętnie odnotowane w sieci) zestawienie entourage'u dwóch „prywatnych" wywiadów Tuska przeprowadzanych w jego domu. U początków premierostwa tło stanowi biurko z wielkim krzyżem, ikoną i obrazem „Jezu ufam Tobie", a u końca rządów to samo biurko, ale z figurą pajacyka w czerwonej czapie i ze zdjęciami rodzinnymi.

Tusk jest politykiem tout court, toteż takie rzeczy jak religia, ideologia, poglądy, są dlań prostą funkcją aktualnej przydatności dla władzy. Tego typu postawy, zwłaszcza wobec religii, były dotąd u polskich polityków rzadkością, o ile w ogóle występowały. Całkiem zresztą możliwe, że właśnie tej makiawelicznej bezwzględności w traktowaniu wszelkich idei, także religijnych, Tusk w znacznej mierze zawdzięczał swoją błyskotliwą karierę polityczną. Dlatego nie są roztropne

eprasa.pl 484cb83f52

lekceważące szyderstwa z tej cechy Tuska polityka, jakie można znaleźć na prawicowych portalach, np. w związku z owym „ołtarzykiem domowym", który w mieszkaniu byłego premiera najpierw się pojawia, a potem znika, wraz z rosnącym w Polsce antyklerykalizmem. Właściwszą postawą jest niejaka obawa wobec przywódcy, który w spolityzowaniu wszystkiego – od religii po życie prywatne – nie ma żadnych zahamowań. Kpiąc z tego, można bowiem nie dostrzec siły, jaką zyskują politycy, bez skrupułów zdolni akceptować tezę, iż co jak co, ale „Paryż wart jest mszy".

EFEKT OLSZTYNA

Olsztyński Campus nie byłby sam w sobie wydarzeniem istotnym dla polskiej polityki. Planowany był bowiem jako punkt w rozgrywce Trzaskowskiego o władzę i wpływy nad Platformą, tyle tylko, iż nim się faktycznie zdarzył, prezydent Warszawy rozgrywkę tę spektakularnie przegrał. Mimo to Campus okazał się politycznie doniosły, ale z innego, dość nieoczekiwanego powodu. Nigdy bowiem z taką intensywnością i siłą wielodniowego oddziaływania na opinię publiczną nie została dotąd zamanifestowana nowa – postępowa i antychrześcijańska twarz Platformy.

Dla realnej polityki mniejsze znaczenie ma to, czy naprawdę piarowcy pracujący dla Tuska przekonali lidera, iż aktualne trendy społeczne wymagają od partii tego rodzaju ideologicznej manifestacji. Czy też może zdarzyło się tak, iż Tusk, wraz z całą partią, dość bezwiednie został wmanewrowany w taki scenariusz przez Trzaskowskiego i Nitrasa. Faktem jest, iż ów scenariusz zagrał, a jego głównym bohaterem (co zgodnie podkreślają dziennikarze obserwujący Campus, bez względu na swe sympatie partyjne) nie stał się wcale prezydent Warszawy, ale przywódca partii. A tym samym Olsztyn stał się nową twarzą partii.

Po Campusie ewentualne dalsze „taktyczenie" Tuska co do wymagań postępowej ideologii będzie nie tylko trudniejsze, lecz przede wszystkim – publicznie mniej wiarogodne. Zatem jeśli cokolwiek można przewidywać jako efekt Olsztyna, to właśnie to, iż Platforma będzie już teraz brnąć w ów postępowy i antychrześcijański zaułek, licząc, że uda jej się w ten sposób przyspieszyć przemiany kultury, mentalności i obyczaju Polaków. Taką nadzieję słychać było wyraźnie w sławnym już postulacie Nitrasa o konieczności „opiłowania" katolików (postulacie, który zresztą da szczecińskiemu posłowi sławę i wzmianki w przyszłych słownikach „skrzydlatych słów"). A przyszłościowa hipoteza, na której bazuje postulat Nitrasa, ma kluczowe znaczenie nie tylko kulturowe, ale i polityczne.

Co prawda, nawet w otoczeniu Tuska są politycy, którzy od jakiegoś czasu chrześcijan traktują z silną i emocjonalną niechęcią. Poseł Sienkiewicz zasłynął np. swoistą językową bezceremonialnością, głosząc, iż „jad sączy się z polskich ambon" albo że kardynał Dziwisz to „oszust". Ale żaden polski głównonurtowy polityk nie wyraził dotychczas ex cathedra (tzn. podczas wielkiej, oficjalnej imprezy partyjnej) tak silnej wiary w to, iż niedługo chrześcijanie będą stanowili w Polsce mniejszość. I nie wyciągnął z tego politycznego wniosku, że partia, która chce na przyszłość apelować do większości, musi stać się partią antychrześcijańską. Rzecz tylko w tym, że choć sekularyzacja w Polsce bez wątpienia czyni postępy, a biskupi katoliccy stali się figurami politycznie mało popularnymi, to – jak pokazuje bieżący raport KAI – w 2021 r. aż 90 proc. obywateli Polski deklaruje się jako chrześcijanie. W tym ciągle nawet ponad 50 proc. młodzieży!

Nic więc dziwnego, że PiS, a zwłaszcza rządzona przez Kurskiego państwowa telewizja, wyeksploatowało propagandowo zamanifestowaną w Olsztynie przemianę Platformy. Byli nawet tacy politycy obozu władzy, którzy sarkastycznie „dziękowali" Trzaskowskiemu za Campus, zgłaszając chęć sfinansowania przez PiS jego ewentualnej następnej edycji. Liderzy prawicy są świadomi, że tak spektakularne wystrzelenie PO w ideologiczny kosmos „ekofeminizmu" i „transhumanizmu", co w ludzkim języku oznacza po prostu głęboką walkę z religią na poziomie kultury, służy politycznej taktyce obecnego obozu władzy.

PiS chciałoby mieć formację sfanatyzowanych ideologów jako głównego konkurenta do władzy z całkiem prostego i ściśle taktycznego powodu. Taka formacja nie ma wielkich szans na to, aby wyrwać prawicy te kluczowe 5–10 proc. dotychczasowego elektoratu, który zdecyduje o tym, co stanie się z Polską po roku 2023. Tymczasem cała wielka taktyczna rozgrywka międzypartyjna toczy się w Polsce właśnie wokół kwestii owego wyrwania.

KUŹNIA FANATYKÓW

To jest jedna, ściśle wyborcza strona problemu Campusu. Ale jest oczywiście i druga, której konserwatyście kulturowemu pominąć absolutnie nie wolno. Nie ma bowiem wątpliwości, że rozpropagowanie takiej imprezy jak olsztyński Campus kiereszuje (i tak już niezbyt wielką) zdolność orientowania się młodych Polaków w realnych dylematach politycznych i cywilizacyjnych Polski, skłaniając młode umysły ku fanatyzmowi. Z doświadczenia wiadomo, że z czasem przynosi to najczęściej nieuchronne rozczarowanie sporej części, albo i całego pokolenia, bądź też anarchiczne i zawsze nieudane bunty, co może najlepiej widać dziś na przykładzie potężnego kryzysu pokoleniowego, jaki rozgrywa się we Francji.

Młodzieżowa publiczność, ta w każdym razie, która zdominowała publiczny wizerunek olsztyńskiego Campusu, nastawiona była mało refleksyjnie, a nawet fanatycznie. Pewnie najlepiej przekonał się o tym Leszek Balcerowicz, któremu nie pomogły zajadłe ataki na PiS, ale został wyklaskany, gdy odważył się bronić raportu swojej fundacji z badań na temat tego, czy i w jakim stopniu gospodarka i nasz styl życia wpływają na ocieplenie klimatu. Olsztyńska publiczność z entuzjazmem słuchałaby na ten temat zapewne małej Grety Thunberg (której Trzaskowski niestety nie sprowadził), ale nie wywodów byłego wicepremiera z jego argumentami o wolności badań naukowych. Niewykluczone, że to właśnie ten obrazek starego Balcerowicza, spostponowanego, gdy próbował bronić idei wolności nauki, stanowi charakterystyczną kliszę obrazującą duchowy klimat olsztyńskiego Campusu.

eprasa.pl 484cb83f52

Franciszek Sterczewski

Politycy z TikToka

Największym – jak dotąd – osiągnięciem posła Franciszka Sterczewskiego z KO była efektowna wywrotka podczas gonitwy ze Strażą Graniczną. Za sprawą takich osób jak Sterczewski życie publiczne staje się dziś nieznośnie infantylne. Bo im ktoś zrobi coś bardziej głupiego, prowokacyjnego lub wulgarnego, tym będzie bardziej znany i popularny. Tymczasem rzeczy naprawdę ważne przestają się liczyć

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Krótki filmik, na którym poseł Koalicji Obywatelskiej Franciszek Sterczewski próbuje przedrzeć się z paczką do imigrantów koczujących po białoruskiej stronie granicy i ścigany przez Straż Graniczną efektownie wywraca się w trawie, obejrzały w internecie tysiące osób. Powstały nawet przeróbki, na których dla spotęgowania komicznego efektu tę samą sytuację można obejrzeć w przyspieszonym tempie.

Oczywiście wielu po obejrzeniu tego filmiku stukało się w głowę, bo poseł bawiący się w berka ze strażnikami nie wystawia sobie ani własnej formacji dobrego świadectwa. Co więcej, ośmiesza również Sejm, w którym zasiada. Co jednak z tego, skoro niepoważne zachowanie przyniosło niespecjalnie dotąd

Fot. Jakub Kamiński/East News

eprasa.pl 484cb83f52

Klaudia Jachira

Fot. Andrzej Wiktor

wyróżniającemu się Sterczewskiemu dużą rozpoznawalność. Nie jest zresztą jedyny na tym polu. Wystarczy wspomnieć jego klubową koleżankę Klaudię Jachirę, która utorowała sobie drogę do wielkiej polityki, umieszczając na YouTubie głupawe filmiki z pacynką przedstawiającą Jarosława Kaczyńskiego, a dziś wypisuje androny w mediach społecznościowych.

WSPÓLNA ZABAWA

Zarówno Jachira, jak i Sterczewski są częścią znacznie szerszego zjawiska, które wiele lat temu pojawiło się na Zachodzie, a dziś z impetem wkracza do Polski. Chodzi tu o postępującą infantylizację życia publicznego, zrodzoną jeszcze w czasie rewolucji obyczajowej i buntów młodzieżowych sprzed półwiecza, a w ostatnich czasach wzmocnioną dzięki mediom społecznościowym.

W tym nowym, zdziecinniałym świecie wartością nadrzędną staje się wspólna zabawa, najlepiej bez żadnych konsekwencji i ograniczeń. Dlatego wrogiem jest każdy, kto chciałby tę zabawę zepsuć. A więc ten, kto np. nawołuje do odpowiedzialności (bo z życia trzeba korzystać pełną garścią), ten, kto stawia innym granice (bo wszyscy ludzie są tacy sami i chcą się tylko bawić), oraz np. ten, kto je mięso (bo katastrofa klimatyczna przerwie nam zabawę). Bo tylko dzięki zabawie ludzie są szczęśliwsi i unikają konfliktów.

Można powiedzieć, ideologia na poziomie nastolatków, i to tych młodszych. I jest w tym sporo prawdy, bo to oni są jej adresatami. Tyle że kryją się za tym znacznie poważniejsze rzeczy. Jeśli bowiem stwierdzimy, że celem człowieka ma być zabawa bez konsekwencji, to znacznie łatwiej nam potem zgodzić się z tym, że należy usuwać wszystko, co stoi na przeszkodzie naszemu dobremu samopoczuciu. Przy takim spojrzeniu państwo i jego instytucje, podobnie zresztą jak normy kulturowe i religijne, postrzegane są jako niemoralne więzi krępujące ludzką wolność. To z takim przekazem idzie dziś do ludzi liberalna lewica. Starsze pokolenie jest wobec takiej ideologii sceptyczne, ale młodsze – już niekoniecznie.

> Dziś nie zdobywa się poparcia wszechstronną wiedzą ani logiczną argumentacją. Zamiast tego wystarczą wywołujące emocje triki: jakiś obrazek, bluzg, prowokacja albo zrobienie z siebie idioty

Niektórzy promują takie postawy cynicznie, tylko po to, by pozyskać głosy wśród młodych. Ostatnim przykładem może być Donald Tusk, który nazwał macierzyństwo udręką. Najwyraźniej próbował w ten sposób przypodobać się młodemu odbiorcy, zwłaszcza temu, który zaangażował się niedawno w walkę o prawa kobiet i w protesty proaborcyjne. Jednak inni, zwłaszcza ci z młodszego pokolenia, są bardziej szczerzy w swoim dążeniu do świata bez granic, a przez to bardziej przekonujący. Niewykluczone, że to właśnie oni, a nie Tusk, będą w niedalekiej przyszłości nadawać ton w obecnych środowiskach antypisowskich.

Niestety współczesne państwo jest właściwie bezbronne wobec zalewu infantylizmu. Bo w oczach opinii publicznej walka z osobami pokroju Franciszka Sterczewskiego czy Klaudii Jachiry naraża jego autorytet na śmieszność. Jednak ustępując przed błazenadą, państwo również traci powagę. Konsekwencje tego błędnego koła mogą być w przyszłości bardzo poważne, czego próbkę mieliśmy choćby w trakcie akcji podejmowanych przez antypisowskich aktywistów na granicy z Białorusią.

WŁADCY UMYSŁÓW

Jednak na razie wszyscy stajemy się zakładnikami wszechobecnego infantylizmu i mimowolnymi uczestnikami zabawy. Niektórzy – tak jak wspomniany wcześniej Donald Tusk i spora część jego środowiska politycznego – próbują się zabawiać w wodzirejów (zwykle z dość miernym skutkiem), inni – przede wszystkim na prawicy – trzymają się z daleka, wiedząc, że ceną za udział w takiej zabawie jest utrata własnej tożsamości. Wygrywa więc lewica oraz zdziecinniałe autorytety w rodzaju Jurka Owsiaka i Kuby Wojewódzkiego oraz rozlicznych influencerów i influencerek, jak określa się gwiazdy mediów społecznościowych, rzekomo niezależne, a w rzeczywistości często opłacane przez rozmaitych Sorosów lub uzależnione nałogowo od kasy z reklam wrzucanych przez międzynarodowe korporacje.

Owi influencerzy stają w obronie „wolności" i „prawa do zabawy" przeciwko „opresyjnemu" państwu i „obsuranckiemu" pisowskiemu reżimowi. A im ich przekaz jest bardziej prostacki i wul-

eprasa.pl 484cb83f52

garny, tym lepiej, bo chamstwo powiększa zasięgi, liczbę lajków, a w rezultacie – co najważniejsze – dochody z reklam.

Zalew tej medialnej prostytucji (bo przecież wszystko dla kasy) sieje niebywałe spustoszenie w głowach nieprzygotowanych, głównie młodych odbiorców. Żadnej alternatywy, odtrutki na to nie ma, bo globalne serwisy społecznościowe są przecież cenzurowane i wszystko, co narusza reguły społeczności (czytaj: jest niezgodne z liberalno-lewicowym przekazem), zostaje zaraz wychwycone i usunięte. Doświadczył tego, jak pamiętamy, nawet Donald Trump.

Dla nikogo przytomnego nie ulega więc chyba wątpliwości, że ten, kto panuje dziś nad internetem, ten panuje również nad ludzkimi umysłami, zwłaszcza ludzi młodych, którzy są najbardziej aktywni w sieci. I nie jest też dla nikogo tajemnicą, że internetem rządzą wielkie amerykańskie korporacje, których szefowie nie kryją swoich liberalnych poglądów. Co ciekawe, ich chińska konkurencja w postaci popularnego wśród młodszych nastolatków TikToka również promuje podobne treści. Biorąc zaś pod uwagę to, że TikTok jest dziś najchętniej ściąganą aplikacją (3 mld pobrań na całym świecie), można przyjąć dwie wersje: pierwszą, że Chińczycy wiedzą, na czym się zarabia, albo drugą, że ich aplikacja jest narzędziem wojny hybrydowej rozsadzającej od środka zachodnie społeczeństwa. Jedna interpretacja nie wyklucza zresztą drugiej.

Można się więc przyłączyć do zorganizowanego przez wielkie korporacje internetowe chóru (niekiedy z korzyścią dla własnej kariery i finansów) lub z nim walczyć. Przy czym w obecnych okolicznościach jest to walka całkowicie nierówna.

NOWY ŚRODEK CIĘŻKOŚCI

Przewaga mediów internetowych jest już tak silna, że dotychczasowe kanały informacji, takie jak telewizja i radio, nie mówiąc o prasie, straciły na znaczeniu. Próbując wytrzymać morderczą presję ze strony internetu, promuje się treści sensacyjne, stawia na emocje, co również prowadzi do upadku jakości debaty publicznej i wzmacnia efekt infantylizacji życia społecznego. Rządząca prawica walcząca dziś o repolonizację rynku medialnego (telewizja, prasa) w gruncie rzeczy odzyskuje niewiele pola. Bo strategiczny środek ciężkości przesunął się już do sieci.

To właśnie w internecie, który w założeniu miał być przestrzenią wolnej wymiany myśli, a w praktyce staje się dziś głównym narzędziem indoktrynacji, urabia się przyszłe społeczeństwo i zarazem przyszłych wyborców. Ci obecni, którzy ciągle oglądają telewizję lub czytają prasę, za jakiś czas się bowiem wykruszą.

> Państwo jest właściwie bezbronne wobec zalewu infantylizmu, bo w oczach ludzi walka z osobami pokroju Franciszka Sterczewskiego czy Klaudii Jachiry naraża jego autorytet na śmieszność

Tymczasem internetu, w odróżnieniu od bardziej tradycyjnych mediów, nie da się zrepolonizować. Największe serwisy pozostają poza jakąkolwiek jurysdykcją suwerennych państw i mogą zupełnie bez konsekwencji uprawiać własną politykę. Jedyną alternatywą byłoby bowiem zablokowanie sieci, co jest możliwe jedynie w warunkach państwa autorytarnego, a Polska takim państwem – wbrew histeriom opozycji – nie jest i przy obecnej władzy na pewno nie będzie.

Dlatego ganiający się ze Strażą Graniczną poseł Sterczewski, popłakujący w internecie Szymon Hołownia czy wreszcie Klaudia Jachira stają się zwiastunami nowych czasów. Jak słusznie zauważył Aleksander Majewski w swoim komentarzu zamieszczonym na portalu wPolityce.pl, dziś nie zdobywa się poparcia wszechstronną wiedzą ani logiczną argumentacją. Zamiast tego wystarczą wywołujące emocje chwyty: jakiś obrazek, bluzg, prowokacja albo zrobienie z siebie idioty. I nawet jeśli odstraszy to swoim infantylizmem starszego odbiorcę, to i tak nie będzie miało większego znaczenia, bo głównym adresatem takiego przekazu jest młode pokolenie, które – jeżeli wcześniej nie zmądrzeje – być może odwdzięczy się w przyszłości przy urnie wyborczej.

Oczywiście najłatwiej jest manipulować najmłodszymi. Nic dziwnego więc, że już od pewnego czasu w rozmaitych liberalno-lewicowych umysłach rodzą się postulaty obniżenia wieku uprawniającego do udziału w wyborach. Przykładowo szef Wydziału Polityki i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu w Cambridge David Runciman postulował na początku 2019 r. (a więc po referendum w sprawie brexitu) obniżenie czynnego prawa wyborczego do szóstego roku życia, sugerując jednocześnie, aby pozbawić prawa głosu osoby starsze. Jego zdaniem polityka znajduje się dziś w rękach tych, których z racji wieku interesuje już tylko teraźniejszość. Tymczasem od podejmowanych przez nich decyzji zależą losy kolejnego pokolenia. Ludziom starym nikt nie odbiera głosu, choć – jak stwierdził Runciman – wielu z nich może być pogrążonych w demencji i podejmować absurdalne decyzje przy urnach. Z tego punktu widzenia głos sześciolatka wcale nie musi być bardziej ryzykowny. Za to „wybory staną się bardziej ekscytujące, dostarczą więcej radości". Ano właśnie, więcej radości, bo wszystko jest przecież zabawą. A uczniowie podstawówek, dzięki podsuniętym im filmikom z TikToka, podejmą właściwe decyzje.

Są również – i to po stronie liberalnej – także inne, bardziej przytomne głosy. Zdaniem Antonia Garcíi Martíneza, publicysty „The New York Timesa", Stany Zjednoczone poniosły porażkę w Afganistanie, bo okazały się „niepoważnym krajem, który masturbujący się histerycy pogrążyli w gównianych dramatach".

Warto więc może, abyśmy i my w Polsce zastanowili się, czy przypadkiem nie stajemy się „niepoważnym krajem". Bo to w końcu kwestia przyszłości, a w naszym przypadku – również suwerenności państwa.

eprasa.pl 484cb83f52

Prezydent Warszawy staje się właśnie zmarnowanym politycznym talentem, którego nieprzekraczalnym horyzontem jest stanowisko samorządowe

Ile waży Trzaskowski?

STANISŁAW JANECKI

To polityk wagi ciężkiej, a nawet superciężkiej, skoro nikt z obecnej opozycji, łącznie z Donaldem Tuskiem, w jednych wyborach nie zebrał ponad 10 mln głosów – mówi się od lipca 2020 r. Oczywiste było więc przymierzanie go (a i on sam się do tego przymierzał) do roli najpierw przewodniczącego Platformy Obywatelskiej, potem lidera całej opozycji, następnie jej kandydata na premiera, a gdyby była taka potrzeba, także wspólnego kandydata na prezydenta Polski.

Gdyby brać pod uwagę szacunki i formalne atuty, Rafał Trzaskowski powinien mieć potencjał najważniejszego polityka w Polsce. I powinien mieć ten potencjał przed 3 lipca 2021 r., czyli zmianą przewodniczącego PO. Najbardziej uwierzył w to sam Trzaskowski, dlatego uznał, że wystarczy, iż zażąda przyspieszonych wyborów szefa partii, to nie tylko się odbędą, lecz wygra je w przedbiegach. Niezależnie od tego, czy na to samo stanowisko aspirowałby Donald Tusk. Trzaskowskiego w przekonaniu o swojej niekwestionowanej pozycji lidera i rozdającego karty upewniało to, że jadł mu z ręki nowy przewodniczący PO Borys Budka. A nawet jego los zależał wyłącznie od woli Trzaskowskiego, co sam Budka potwierdzał, opisując swego zastępcę w partii jako tego, którego poparcie gwarantuje nie tylko jego pozycję, lecz i to, co może zrobić. Gdyby chciał Budkę usunąć z funkcji, stałoby się to błyskawicznie. A popieranie Budki było jedyną gwarancją pozycji obecnego szefa partii. Dlatego Trzaskowski uważał, że nie musi się z nikim liczyć, tworząc konkurencyjny wobec PO ruch Wspólna Polska. I może zademonstrować swoją siłę oraz dominację w opozycyjnej polityce, organizując w Olsztynie Campus Polska Przyszłości.

Wydawało się, że Trzaskowski jest w polskiej polityce kimś takim, jak Król Słońce Ludwik XIV przed osiągnięciem 22. roku życia, czyli przejęciem samodzielnych rządów we Francji. Papierowa potęga prezydenta Warszawy została zweryfikowana po powrocie Tuska do polskiej polityki i złożeniu mu przez Trzaskowskiego swego rodzaju hołdu lennego. Ile obecnie waży Rafał Trzaskowski jako lider? Ile jest wart jako polityk?

NEGATYWNIE ZWERYFIKOWANY

Od sukcesu w wyborach samorządowych w Warszawie (wygrał w pierwszej turze, zdobywając 56,67 proc. głosów) Trzaskowski był przygotowywany do roli lidera PO.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 484cb83f52

Wystawienie go w trwającej już ogólnopolskiej prezydenckiej kampanii wyborczej zamiast Małgorzaty Kidawy-Błońskiej to potwierdzało, a nawet, po udzieleniu mu poparcia przez inne opozycyjne ugrupowania, windowało go do roli najważniejszego polityka opozycji. I oto w momencie osiągnięcia największej siły praktycznie wszystkie atuty Trzaskowskiego zostały zamrożone. Trudno jednoznacznie rozstrzygnąć, czy z powodu jego lenistwa, niedecyzyjności czy prokrastynacji, szczególnie w kwestii powołania ruchu Wspólna Polska. W warszawskim ratuszu niedecyzyjność prezydenta nawet w drobnych sprawach jest wręcz legendarna. Tylko by się naradzał, po raz kolejny liczył zyski i straty oraz szukał wsparcia. Tak jakby musiał mieć współodpowiedzialnych przy każdej decyzji, którą podejmuje. Niby naciskał na wcześniejsze powszechne wybory przewodniczącego PO, ale bał się albo nie potrafił przejąć partii, nawet gdy składał deklaracje, że chce to szybko zrobić.

Powrót Tuska do polskiej polityki sprawił, że Trzaskowski został po raz pierwszy negatywnie zweryfikowany jako lider. Wprawdzie na początku stawiał się Tuskowi, jednak szybko uznał jego prymat. Okazał się przywódcą mało walecznym, co wyborcy zapamiętają. A jego wcześniejsze, przełomowe decyzje polityczne (poza startem w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2009 r.) były podejmowane poza nim, bazowały tylko na tym, że przypisywano mu odpowiedni potencjał.

ZMARNOWANY TALENT

Rafał Trzaskowski przez co najmniej dekadę znajdował się w sytuacji młodego piłkarza, który mógłby być liderem drużyny, ale nim nie został, gdyż do klubu wróciła jego niegdyś największa, choć już nieskuteczna i postarzała gwiazda. W sporcie wiele talentów się marnuje, bo są za długo tymi dobrze się zapowiadającymi, aż się okazuje, że są już za starzy na cokolwiek, a na pewno na uzyskanie odpowiedniej formy i pozycji. Podobny mechanizm działa też w polityce. Z tego punktu widzenia Trzaskowski jest najdłużej dobrze się zapowiadającym talentem, który na tych zapowiedziach może skończyć. W styczniu 2022 r. będzie miał 50 lat, co czyni go najstarszym „młodym" politykiem w Polsce po 1989 r. A młodość miała być jego ważnym atutem. Cóż to jednak za młody polityk, skoro nawet Lech Wałęsa był od niego młodszy, gdy zostawał prezydentem Polski (miał 47 lat). Obecny prezydent Warszawy nigdy nie miał szans, by zrobić tak błyskawiczną i błyskotliwą karierę jak kanclerz Austrii Sebastian Kurz (szef rządu w wieku 33 lat) albo premier Kanady Justin Trudeau (stanął na czele rządu, nie mając 44 lat). To, że ci politycy mu imponowali, potwierdza sporo członków PO. Szczególnie imponowała Trzaskowskiemu aura otaczająca Trudeau – nie tylko złotego dziecka kanadyjskiej polityki, lecz również lwa salonowego i ulubieńca kręgów pieniądza, wpływów oraz sławy, szczególnie środowisk artystycznych. Po przekroczeniu 44. roku życia Trzaskowski chciał wszelkimi sposobami swoją karierę przyspieszać, ale od Trudeau dzieliły go odległości z Układu Słonecznego, od Kurza zaś – lata świetlne. Oni byli na szczycie, a on się wciąż tylko zapowiadał, co pozwalało mu brylować tylko w gronie prezydentów i burmistrzów europejskich miast, a i to nie w roli gwiazdy pierwszej wielkości, bo Warszawa to jednak nie Londyn czy Paryż. Trzaskowski musiał szybko odnieść spektakularny sukces, ale w ostatnim momencie dla mitu młodego, przebojowego polityka, czyli w 2020 r. to się nie udało. Porażka z Andrzejem Dudą była najboleśniejszym doświadczeniem beniaminka salonów (szczególnie warszawskich i krakowskich) oraz kręgów artystycznych. Jak mówią znające go osoby, nie mógł uwierzyć, że ktoś taki jak on jednak przegrał. I to mając takie atuty oraz towarzyskie powiązania, jakich w III RP nie miał żaden inny polityk.

CAMPUS KŁOPOTÓW

Gdy Donald Tusk zdecydował o powrocie do polskiej polityki, Trzaskowski był już tylko cieniem samego siebie sprzed roku. Dlatego Tusk mógł nie tylko zignorować jego domaganie się wyborów przewodniczącego PO, lecz także zdecydować się na wrogie przejęcie najważniejszej części zaplecza „depozytariusza" 10 mln głosów, czyli prezydentów wielkich miast. A potem dewaluacja poszła już szybko. Wskutek niesprawności oraz prokrastynacji w organizowaniu Ruchu Wspólna Polska, to przedsięwzięcie w krótkim czasie przestało mieć znaczącą polityczną rangę. Trzaskowskiemu pozostała jeszcze impreza Campus Polska Przyszłości, ale została przejęta przez Tuska, którego nie mógł nie zaprosić. W dodatku uczestnicy zaczęli wygłaszać same kłopotliwe deklaracje – jak Tomasz Grodzki o likwidacji ponad 800 szpitali, Sławomir Nitras o „piłowaniu" katolików czy Elżbieta Bieńkowska o słusznym pozbawianiu Polski dziesiątek miliardów euro ze środków UE. I te deklaracje nie obciążają Tuska, bo jego lawirowanie i zmiany poglądów w pięć minut są znane, tylko Trzaskowskiego jako pomysłodawcę i głównego wodzireja imprezy. Uczestnicy po prostu skorzystali z tego, że właściwie nikt nie panował nad przekazem, co doprowadziło do zawieszenia relacji na żywo, czyli kolejnej kompromitacji idącej na konto Trzaskowskiego. I tak największy atut końca letniego sezonu politycznego został zamieniony w porażkę. Wprawdzie w Olsztynie ujawniła się spora grupa sympatyków zdolnych do odegrania roli hunwejbinów tej partii, ale niekoniecznie będą oni zapleczem Trzaskowskiego.

ZAMKNIĘTA DROGA SUKCESU

Niezależnie od tego, czy wybory samorządowe zostaną przełożone na wiosnę 2024 r., a są takie plany, Trzaskowskiemu może zostać jedynie ponowne ubieganie się o prezydenturę Warszawy. Tyle że jego prawie pewne zwycięstwo w tych wyborach nie zwiększa, ale osłabia szanse na prezydenturę Polski w 2025 r. Sprowadziłby się on bowiem do roli zmarnowanego politycznego talentu, którego nieprzekraczalnym horyzontem jest stanowisko samorządowe, wszystko jedno, że w stolicy. Przegrane starcie z Tuskiem i pozwolenie na wyciąganie sobie i przywłaszczanie atutów sprawia, że Trzaskowski najlepsze ma już za sobą. Jeśli nie rzuci Tuskowi wyzwania, szybko nie doprowadzi do powszechnych wyborów na szefa partii, w których startowałby jako rywal Tuska (oczywiście musiałby te wybory wygrać), będzie na fali opadającej. I nigdy nie spełni pokładanych w nim nadziei. I wszystko wskazuje na to, że tak właśnie się dzieje. Szansa na to, że PO odzyska straconą pozycję dzięki nowemu liderowi, właśnie odchodzi w przeszłość, a następna może się nie zdarzyć przez dekadę albo i dłużej, gdyż w zasobach Platformy nie ma postaci, która mogłaby pójść taką drogą jak Rafał Trzaskowski.

eprasa.pl 484cb83f52

Ślepi wyznawcy Bidena

Gdy Joe Biden został prezydentem USA, liberałowie wróżyli złoty czas dla Ameryki i świata. O świetlanej przyszłości zapewniali także niektórzy polscy politycy, eksperci i dziennikarze, którzy naprawdę dobrze znają stosunki międzynarodowe i same Stany Zjednoczone. Dlaczego tak potwornie się pomylili?

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Po samym Borysie Budce można się było spodziewać największych głupstw. W styczniu 2021 r. ówczesny lider Platformy Obywatelskiej napisał do prezydenta USA list, w którym nie tylko wychwalał adresata, lecz także zdawał się go pouczać, udzielać rad. Poseł pisał jak do równego sobie („Ma Pan rację, Panie Prezydencie"), ale przede wszystkim składał wyznanie wiary w mądrość nowego gospodarza Białego Domu. „Wraz z początkiem urzędowania Pana administracji Stany Zjednoczone wrócą w światowym porządku do tej roli, jaką odgrywały przez ostatnie dekady" – informował o swoim nabożnym stosunku Budka. Po ostatnich wyborach prezydenckich w Ameryce z polskich mediów wylewały się okrzyki satysfakcji i pewności o ponownym „końcu historii" oraz – po przegranej Trumpa – zduszeniu konserwatywnej kontrrewolucji w świecie Zachodu.

Dziś, gdy Waszyngton zajmuje się uznawaniem transseksualnych mężczyzn za pełnoprawne kobiety, a w poważnych sprawach, jak afgańska, ponosi spektakularną klęskę, jakiej świat nie widział od czasów wojny w Wietnamie, przekonania o powrocie USA do dawnej roli brzmią groteskowo i makabrycznie zarazem.

ANALIZA CZY HOŁD?

Ale podobnie jak Budka mylili się także inni „wpływowi" obserwatorzy zmian w świecie Zachodu. Tomasz Lis pisał 20 stycznia: „Wydaje się, że Joe Biden, to – poza wszystkim albo przede wszystkim – po prostu bardzo fajny, przyzwoity gość. To chyba ważne w życiu i w polityce". Ten „fajny" gość zdjął sankcje na Nord Stream 2, a w swojej „przyzwoitości" oddał Ukrainę – a być może i resztę Europy Środkowo-Wschodniej – na pastwę Moskwy i Berlina. W zamian obiecał Wołodymyrowi Zełenskiemu wsparcie dla budowy elektrowni wiatrowych. Boże, chroń nas przed taką przyzwoitością! Tygodnik Lisa wielokrotnie przyklaskiwał każdemu ruchowi Bidena, co o tyle dziwi, że naczelny „Newsweeka" spędził prawie cztery lata w USA jako korespondent TVP. Czy to możliwe, że będąc od 30 lat topowym dziennikarzem w Polsce, można nie znać krytycznych opinii dotyczących duetu Biden–Harris?

Podobnie Piotr Kraśko przed laty relacjonował dla polskich widzów wydarzenia z Ameryki i podobnie dziś przedstawia chybione wrażenia na temat lidera Stanów Zjednoczonych. „Wiedza Joego Bidena o polityce rosyjskiej, o niuansach polityki rosyjskiej, o charakterze rosyjskich przywódców czy nawet o rosyjskiej duszy jest naprawdę ogromna" – przeko-

nywał Kraśko na antenie TVN24, i to po fatalnym spotkaniu starego demokraty z Władimirem Putinem. Tymczasem Amerykanin przeprowadził negocjacje w najgorszy możliwy sposób – 20 marca w wywiadzie dla telewizji ABC News nazwał prezydenta Rosji „zabójcą", by niecałe trzy miesiące później ustępować mu w sprawach politycznych i czule komentować jego osobowość. „Spotkałem się z nim" – oświadczył na konferencji prasowej amerykański lider. „Jest błyskotliwy. Jest twardy. I zdałem sobie sprawę, jak to mówią w sporcie, że jest trudnym przeciwnikiem" – przypochlebiał się byłemu kagebiście przywódca najsilniejszego kraju świata. Czy to ma być owa „naprawdę ogromna wiedza" prezydenta o niuansach rosyjskiej mentalności? Tymczasem czerwcowe rozmowy na genewskim szczycie świat rosyjski odczytał jako wielkie zwycięstwo Putina i uznanie jego mocarstwowej roli, pełnoprawnego partnerstwa w „koncercie mocarstw".

Nikt z polskich chwalców „sennego Joego" nie podzielił się później refleksją, że entuzjazm wobec Bidena był przedwczesny czy wręcz totalnie chybiony. A tej skrajnej naiwności było więcej, i to na wszystkich szczeblach liberalnej hierarchii komentatorskiej.

PRZECHWAŁKI ZAMIAST OBIEKTYWIZMU

Jeszcze w listopadzie 2020 r. Donald Tusk przekonywał, że zainteresowanie nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych sytuacją w Europie nie osłabnie. „Joe Biden jest bardzo proatlantycki, bardzo przywiązany do tradycyjnej więzi amerykańsko-europejskiej" – stwierdził były premier w TVN24. Mógłby mieć rację, ale tylko przy założeniu, że Europa to Niemcy, które teraz Waszyngton traktuje jako właściwie jedynego partnera do rozmów na temat Starego Kontynentu. Podobnie skrzywiony obraz rzeczywistości Tusk przedstawił przy omawianiu relacji polsko-amerykańskich. „Mogę powiedzieć, że od wielu, wielu lat nawet się przyjaźnimy, bo mieliśmy okazję współpracować w różnych rolach przez wiele lat. Z całą pewnością Joe Biden wie, gdzie Polska leży na mapie". Gdy Biden, podejrzewany przez amerykańskich konserwatystów o demencję, zapomina nazwiska własnego sekretarza obrony, to zapewnienie, że ten sam przywódca rozpozna kontury granic Polski na mapie, brzmi tragikomicznie. Na domiar absurdalności twierdzenia Tuska można dodać, że Biden już kiedyś pomylił Polskę z... Portugalią. A był o dekadę młodszy niż dziś i gdy jako ówczesny wiceprezydent wymieniał kraje strefy euro, to zamiast Portugalii wskazał na nasz kraj. Czy Tusk o tym nie wie, czy ignoruje fakty? A może chodziło o typowe podkreślenie swojej rzekomej wielkości i pochwalenie się, jak to „dobrze zna się" Joego Bidena? Jak widać, z tej znajomości nic nie wynika.

> Za kilka minut antypisowskiej chwały powstały opinie i analizy z totalnie błędnymi wnioskami, w imię fanatycznej wiary w doskonałość liberalizmu złożono hołdy fatalnemu przywódcy i obłąkanej polityce. Na papierze i w internecie zostały na to nieusuwalne dowody

W chybionych prognozach nie ustępował także portal Onet.pl. Piórem swojego eksperta Witolda Jurasza przewidywał twardy kurs Waszyngtonu wobec Moskwy. „Słowa prezydenta Stanów Zjednoczonych Joe Bidena, który nazwał Władimira Putina zabójcą i człowiekiem bez duszy oraz zapowiedział, że Putin zapłaci za ingerencje w amerykańskie wybory, zwiastują fundamentalną zmianę w relacjach Rosji z USA" – stwierdzał Jurasz, w czym nie mógł się bardziej pomylić. Autor zresztą wielokrotnie naginał ocenę rzeczywistości do swojego liberalnego światopoglądu. Twierdził np., że PiS realizuje politykę prorosyjską, a jednocześnie zachęcał rząd do kupna rosyjskiej szczepionki Sputnik V (sic!).

ŚWIATOPOGLĄD JAK BIELMO NA OKU

Przy tej skali nieudolności amerykańskiej administracji jeszcze bardziej kuriozalna wydaje się krytyka Andrzeja Dudy za to, że po wyborach prezydenckich w USA nie napisał od razu tweeta z gratulacjami dla zwycięzcy. Media głównego nurtu sugerowały wówczas, że ta wstrzemięźliwość głowy polskiego państwa będzie przyczyną ochłodzenia stosunków na linii Waszyngton–Warszawa. Sformułujmy to jeszcze raz – w przestrzeni publicznej pojawiały się tak idiotyczne przekonania, w których światowa geopolityka, sankcje na Nord Stream 2 czy przyszłość Paktu Północnoatlantyckiego zależą od dwuzdaniowych gratulacji w serwisie mediów społecznościowych. Czyż jest jakaś granica umysłowego zaćmienia komentatorów pisowskiej polityki?

Polscy wyznawcy Bidena jeszcze przez pewien czas dadzą radę zaklinać rzeczywistość – bo tęczowa inżynieria społeczna w USA im nie przeszkadza, a jeszcze przez pewien czas fatalne rządy nowej administracji można przypisywać poprzedniemu prezydentowi. Za amerykańskie désintéressement naszą częścią Starego Kontynentu będzie można obwiniać PiS, Andrzeja Dudę, ale niechybne dalsze porażki liberalnego Białego Domu będzie coraz trudniej zamiatać pod dywan, zamilczać przed polskimi widzami i czytelnikami.

Co jest tym bielmem na oku, które nie pozwala zobaczyć oczywistych słabości obozu postępowców? Dlaczego liberalny światopogląd – a nie wiedza – dyktował opinie o sytuacji międzynarodowej, dlaczego niechęć do konserwatyzmu, do obecnie rządzących Polską potrafią zakrzywić diagnozę nawet wobec amerykańskiej polityki?

Za kilka minut antypisowskiej chwały powstały opinie i analizy z totalnie błędnymi wnioskami, w imię fanatycznej wiary w doskonałość liberalizmu złożono hołdy fatalnemu przywódcy i obłąkanej polityce. Na papierze i w internecie zostały na to nieusuwalne dowody.

Fot. Fotophoto/Shutterstock

eprasa.pl 484cb83f52

Manifest dywersanta

Naruszenie granicy nie jest chuligańskim wybrykiem, ale działaniem zagrażającym bezpieczeństwu państwa. W tym przypadku – całej Unii Europejskiej. Czy Bartosz Kramek działa samodzielnie, czy też jest przez kogoś zadaniowany? Jego aktywność to spełnienie marzeń wschodnich dyktatorów, którzy planują agresję na Polskę

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Do Usnarza Górnego od kilku tygodni jeżdżą politycy opozycji i tzw. aktywiści. Byłoby nam pewnie lżej ze świadomością, że wpisują się oni w białoruski hybrydowy scenariusz agresji na Polskę z porywu serca, bo ulegli propagandzie o głodujących uchodźcach, ale – niestety – prawda jest o wiele gorsza. Grupa przywiedziona tam przez Bartosza Kramka, która z nożycami ruszyła przecinać drut okalający polską granicę, to świadomi i wyrachowani sabotażyści. A niekonsekwentne i łagodne dla nich organy państwa tylko ich rozzuchwalają.

COŚ SIĘ WYMYŚLI

To niby oczywistość, ale – jak pokazują ostatnie wydarzenia – należy o tej kwestii przypominać nieustannie. „Polska jest zobowiązana dbać o swoje granice, ale zauważmy, że jest to jednocześnie wschodnia flanka NATO i Unii Europejskiej" – powiedział minister w KPRP Błażej Spychalski, ogłaszając zgodę prezydenta na wniosek premiera o wprowadzenie stanu wyjątkowego w części gmin przy granicy z Białorusią (na podobne kroki zdecydowały się już Litwa i Łotwa). Chodzi o 115 miejscowości na Podlasiu i 68 w województwie lubelskim. Jeśli Sejm prezydenckiego postanowienia nie odrzuci, zmienione na 30 dni przepisy pozwolą wyeliminować nieodpowiedzialne i niebezpieczne wyskoki.

Fot. Katarzyna Pierzchała/East News

eprasa.pl 484cb83f52

Sąd Rejonowy w Sokółce nie uwzględnił prokuratorskiego wniosku o areszt tymczasowy dla działacza Fundacji Otwarty Dialog i jego 12 kompanów. Zachwycony tą decyzją Kramek po wyjściu na wolność nie krył satysfakcji, że ich akcja „najprawdopodobniej przyczyniła się" do wdrożenia pomysłu wprowadzenia stanu wyjątkowego. Mówił też, że „należy nadal walczyć z polskim rządem". W tym czasie na oficjalnym profilu Fundacji Otwarty Dialog pojawił się drwiący wpis: „I jak? Maciej Wąsik, Mariusz Kamiński, Mariusz Błaszczak, Zbigniew Ziobro, żałujecie już, że zakazaliście Bartkowi Kramkowi opuszczać kraj, czy jeszcze nie? Bo jak nie, to dajcie znać, coś się wymyśli". To pokazuje, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy w swoich antyrządowych działaniach posuwają się coraz dalej, twierdząc dodatkowo, że robią to z pełną świadomością. Za taką postawę już być może czeka na nich order w Mińsku, albo i w samej Moskwie. Bo nie można abstrahować od czasu, w którym to się dzieje, gdy Rosjanie i Białorusini zaczynają największe w historii ćwiczenia wojskowe Zapad 2021. Kto wie, czy scenariusz walki z wrogiem, którym teraz ma być „Republika Polar", nie zakłada prowokacji, po której miałaby się rozpocząć inwazja?

WALKA TRWA

15 lipca br. grupa kilkunastu osób czekała przed aresztem w Lublinie całą noc. Po trzech tygodniach i wpłaceniu 300 tys. zł kaucji sąd zdecydował wypuścić działacza FOD i szefa firmy Silk Road, choć prokuratura postawiła mu zarzuty przestępstw finansowych na ponad 5 mln zł. Rozległ się niemały aplauz, gdy w końcu wyszedł. Kilku działaczy FOD, Obywatele RP, tzw. Homokomando z niejakim Linusem (być może to ten, który na Campusie Polska Przyszłości pytał Donalda Tuska o możliwość wzięcia ślubu ze swoim chłopakiem) przyjęli uwolnionego jak bohatera. Kramek udzielał pierwszych wywiadów: „Ta walka trwa, od kilku lat walczymy z polską aktualną władzą. (...) Oczywiście, że mogę być niebezpieczny. Mam taką nadzieję, to poniekąd sprawia mi satysfakcję".

Kilka dni później w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" podtrzymywał chęć walki z rządem Zjednoczonej Prawicy. „(...) kiedy opuszczałem areszt, funkcjonariusze życzyli mi powodzenia w walce z reżimem" – przekonywał Kramek.

Mija miesiąc, również w „GW" ukazuje się artykuł autorstwa Bartosza Kramka: „Obalmy zasieki na granicy. Zaprotestujmy w duchu obywatelskiego nieposłuszeństwa". Pisze w nim m.in. o kryzysowej sytuacji na granicy z Białorusią: „Pojedźmy tam i symbolicznie przewróćmy – jak proponuje twórca Obywateli RP Paweł Kasprzak – te zasieki. Zaprotestujmy – czynnie i zdecydowanie, w duchu obywatelskiego nieposłuszeństwa". Mimo że Kramek – zapewne asekuracyjnie – pisze o „symbolicznym" przewróceniu ogrodzenia, to do redakcji chyba dociera, iż może to być odebrane jako nawoływanie do łamania prawa (w przypadku Kramka już to przerabialiśmy po manifeście z 2017 r.). 30 sierpnia br. jeden z zastępców Michnika próbuje ratować twarz i apeluje: „Rozumiem wściekłość zwykłych ludzi w obliczu buty władzy i poczucia bezsilności. Wspierajmy cierpiących bliźnich. Granicę jednak zostawmy w spokoju". Musi wiedzieć, co się wydarzy dzień później, bo gdy grupa Kramka rusza z sekatorem na graniczny drut, towarzyszy im m.in. fotograf „Wyborczej".

„13 GNIEWNYCH LUDZI"

Kramek do Usnarza Górnego dotarł 27 sierpnia br. Głośno komentuje postawę żołnierzy Wojska Polskiego i Straży Granicznej: „To jest taka symboliczna granica człowieczeństwa, przyzwoitości, którą tworzy ten kordon. (...) ci funkcjonariusze powinni być tego świadomi, bo – po pierwsze – wstyd zostanie, a po drugie, powinni się liczyć, już pewnie w innej sytuacji politycznej, także z odpowiedzialnością karną".

Wydarzenia z 29 sierpnia br. znamy z relacji, także filmowej, członków grupy Kramka. 12 obywateli Polski i jeden Holender postanowili przerwać zasieki na granicy w Szymakach, ok. 15 km od Usnarza Górnego. „Na granicy polsko-białoruskiej w akcie obywatelskiego sprzeciwu przecięli dwa zwoje drutu w »płocie Błaszczaka«, czyli budowanych od kilku dni piętrowych zasiekach wzorowanych na ogrodzeniu na granicy węgiersko-serbskiej" – to relacja w niezawodnej gazecie z Czerskiej, która pisze o „13 gniewnych ludziach". Jest wśród nich także Zuzanna Lesiak prowadząca fundację The Hope Project Polska, która zajmuje się m.in. wsparciem uchodźców w obozach na Lesbos. Kobieta przyznaje, że „wszyscy uczestnicy akcji nieposłuszeństwa obywatelskiego na polsko-białoruskiej granicy są świadomi konsekwencji, jakie poniosą".

Mariusz Kamiński, szef MSWiA: „Sprawcy, którzy przerwali ogrodzenie, zostali zatrzymani przez Straż Graniczną i poniosą wszelkie konsekwencje karne swoich działań. Na podobne akty będziemy reagować z pełną stanowczością".

Mariusz Błaszczak, szef MON: „Ci, którzy niszczyli zasieki, przyłączają się do ataku hybrydowego na wschodniej granicy Polski i UE. Zwłaszcza w przededniu rosyjskich ćwiczeń Zapad 21 takie postępowanie zagraża bezpieczeństwu naszej ojczyzny!".

PROKURATOR SPRAWDZA KODEKS

Wydaje się, że z powyższym stanowiskiem nie zgadza się polska prokuratura. A na pewno nie uważa, że ekipa Kramka „przyłączyła się do ataku hybrydowego" ze Wschodu. Śledczy z Sokółki postawili zatrzymanym tylko zarzut zniszczenia mienia (drutu concertina), czyli oparli się na art. 288 par. 1 Kodeksu karnego. Straty oszacowano na niewiele ponad 600 zł.

Po dwóch dniach zatrzymani są już na wolności. Kramek mówi jednej z internetowych telewizji: „(...) nie nałożono na nas żadnych innych środków zapobiegawczych, zatem nie mamy żadnych ograniczeń i możemy planować kolejne akcje".

Niektórych dziwi pobłażliwość sądu, który nie przychylił się do wniosku prokuratury i nie zastosował aresztu tymczasowego wobec tej grupy. Ale może zamiast oburzać się na sąd, trzeba postawić pytanie, dlaczego prokuratura potraktowała sprawców tak łagodnie i dała sędziemu możliwość puszczenia ich wolno? Skoro bowiem próbę zniszczenia zasieków potraktowano jako zwykły czyn chuligański, w którym szkody wyceniono na kilkaset złotych, Kramek zaś jest – jak na razie – osobą niekaraną, trudno oczekiwać, by za harce na granicy wsadzono go tymczasowo do aresztu.

Sytuacja byłaby inna, gdyby śledczy uznali, że popełniono znacznie

eprasa.pl 484cb83f52

poważniejsze przestępstwo. Mówił o tym w rozmowie z portalem wPolityce.pl gen. Waldemar Skrzypczak, były dowódca Wojsk Lądowych: „Każdy, kto wpisuje się w strategię Łukaszenki, polegającą na wysyłaniu swoich turystów do Polski, dopuszcza się sabotażu. I w takiej kategorii należy to rozpatrywać i zastosować prawo, które stosuje się wobec sabotażystów".

Sięgamy do art. 140 par. 1 Kodeksu karnego, w którym czytamy: „Kto, w celu osłabienia mocy obronnej Rzeczypospolitej Polskiej, dopuszcza się gwałtownego zamachu na jednostkę Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, niszczy lub uszkadza obiekt albo urządzenie o znaczeniu obronnym, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10". Mamy tu dwukrotnie wyższą karę niż za niszczenie mienia i zupełnie inny ciężar gatunkowy naruszenia prawa. Wydaje się, że to przepis zdecydowanie bardziej adekwatny w tej sprawie.

Dlaczego prokuratorzy nie zastosowali art. 140? Zwróciliśmy się z tym pytaniem do Artura Kuberskiego, szefa Prokuratury Rejonowej w Sokółce. Śledczy nas zaskoczył: – Zobaczę, co pan ma na myśli. Po sprawdzeniu w kodeksie prokurator tłumaczył: – No, proszę pana, nie będę się co do tego wypowiadał. Myśmy zakwalifikowali to jako zniszczenie mienia, czyli z art. 288 par. 1 Kodeksu karnego. I myślę, że chyba za daleko idące jest rozważanie tego artykułu [art. 140 – przyp. red.]. Przykro mi, ale nie mogę dać się wciągnąć w dywagacje.

Nie dajemy za wygraną, podkreślając, że opinii publicznej należy się wyjaśnienie motywów postępowania prokuratury, Kuberski wyraźnie nie chce dalej rozmawiać: – Wyraziłem swoją opinię, czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Dopytujemy więc, co musiałoby się stać, aby śledczy z Sokółki znaleźli podstawy do stosowania art. 140, zamiast traktować Kramka i jego kompanów jak zwykłych chuliganów. Prokurator nie odpowiedział.

A przecież dla wszystkich obserwatorów jasne jest, że nie chodzi tu o to, iż ktoś zostawił na polu kawałek drutu, a Kramek z koleżeństwem go przecięli, lecz o strategiczną infrastrukturę obronną państwa w obliczu wojny hybrydowej wywołanej przez wrogi nam kraj. Co do tego, że mamy do czynienia z taką sytuacją, nie ma wątpliwości ani polski rząd, ani władze pozostałych państw zaatakowanych przez Łukaszenkę (Litwy i Łotwy), ani Komisja Europejska, która już kilkukrotnie stwierdziła, że kryzys z grupką uchodźców to tylko jeden z elementów ataku na wschodnią granicę Polski i Unii Europejskiej.

> Po zniszczeniu fragmentu ogrodzenia na granicy Kramek mówi jednej z internetowych telewizji: „(...) nie nałożono na nas żadnych innych środków zapobiegawczych, zatem nie mamy żadnych ograniczeń i możemy planować kolejne akcje"

RECYDYWA

Czy rozzuchwalony bezkarnością Kramek spróbuje powrócić na granicę, nawet mimo przepisów o stanie wyjątkowym? Bez wątpienia zechce o sobie przypomnieć, jak zapowiedział.

W 2017 r. chciał „wyłączyć rząd" i sprawić, by „państwo stanęło". Opublikował wówczas manifest z poradnikiem, jak doprowadzić do paraliżu Rzeczypospolitej, wzywał do niepłacenia podatków, strajków, ostracyzmu wobec nielubianych polityków, a nawet zakłócenia ich życia prywatnego. Wtedy działalności jego oraz jego żony, Ukrainki Ludmiły Kozłowskiej, zaczęły się przyglądać służby państwowe.

Okazało się, że finansowanie Fundacji Otwarty Dialog jest dalece nieprzejrzyste, a firma Kramka (Silk Road) mimo braku śladów jej działalności zarabia grube miliony, m.in. kooperując z podmiotami zarejestrowanymi w rajach podatkowych. Pojawiły się też podejrzenia o działanie na rzecz postsowieckich oligarchów i udział w procederze prania brudnych pieniędzy.

Po tym gdy jako pierwsi opisaliśmy w tygodniku „Sieci", dlaczego państwo polskie uznało Kozłowską za persona non grata, jak mętne są źródła majątku Kramka, małżeństwo odpowiedziało prywatnymi aktami oskarżenia, w których domaga się skazania dziennikarzy w procesach karnych i setek tysięcy złotych zadośćuczynienia. Wytoczyli ok. 20 procesów przedstawicielom mediów i politykom, którzy ośmielali się głośno mówić o ich lewych interesach.

Nasze procesy toczą się niejawnie, dlatego nie możemy szczegółowo opisać, jak przebiegają. Szkoda, bo warto byłoby zapoznać opinię publiczną ze skandalicznymi sposobami, jakimi Kramek atakuje, wykorzystując nawet osoby już nieżyjące, które nie mogą zaprzeczyć głoszonym przez niego na sali rozpraw wymysłom.

Nasze publikacje z roku 2018 potwierdzają organy ścigania. Po długim śledztwie w czerwcu Kramek został zatrzymany przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Lubelska prokuratura postawiła mu zarzuty fałszowania dokumentów (chodzi o świadczenie fikcyjnych usług i wystawianie lewych faktur) oraz przyjmowania pieniędzy pochodzących z przestępstwa. Grozi mu za to 10 lat więzienia.

Został tymczasowo aresztowany, lecz ostatecznie sąd uchylił areszt pod warunkiem wpłacenia kaucji w wysokości 300 tys. zł. Stwierdził jednak, że „materiał dowodowy w dużym stopniu uprawdopodabnia popełnienie przez podejrzanego czynów objętych zarzutami", „nie budzi zastrzeżeń kwalifikacja prawna zarzucanych mu czynów" i „istnieje uzasadniona obawa, iż podejrzany mógłby nakłaniać do składania fałszywych zeznań lub w inny bezprawny sposób utrudniać postępowanie". Dlatego też ma zakaz opuszczania kraju.

Krótko mówiąc, Kramek nie ma już wiele do stracenia. Z dużym prawdopodobieństwem może zakładać, że w procesie dotyczącym przekrętów jego firmy i Fundacji Otwarty Dialog usłyszy wyrok skazujący. Do tego czasu będzie ciężko pracował na wizerunek odważnego wroga PiS. Jego sympatycy usprawiedliwią zaś nawet jawne narażanie na szwank bezpieczeństwa RP.

eprasa.pl 484cb83f52

Święty uśmiechnięty, czyli prymas Wyszyński na co dzień

Mało kto wie, że wynoszony właśnie na ołtarze Prymas Tysiąclecia podczas spotkań w Domu Arcybiskupów Warszawskich przy ul. Miodowej często opowiadał przy stole dowcipy: żydowskie, góralskie, nawet umiał mówić gwarą. Bywał też sędzią w siatkówce, którą lubił rozgrywać z kard. Wojtyłą

MILENA KINDZIUK

Zdarzało się, że prymas Wyszyński spędzał kilka dni urlopu w towarzystwie kard. Karola Wojtyły. – Jeździliśmy wtedy dużą grupą: pracownicy Sekretariatu Prymasa Polski, członkinie Instytutu Prymasowskiego, ojcowie paulini, no i kard. Wojtyła, ks. Stanisław Dziwisz i ksiądz prymas. Chodziliśmy na długie spacery, zawsze też graliśmy w siatkówkę... – opowiadała Barbara Dembińska z Instytutu Prymasowskiego.

Kard. Wyszyński, który był sędzią, przykazywał, by drużyna, w której grał Wojtyła, wygrała! – Ojciec nas wręcz strofował: „Pamiętajcie, macie tak grać, żeby przegrać!". Nie było to trudne, bo zarówno Wojtyła, jak i ks. Dziwisz grali bardzo dobrze. Nawet ścinali. A jak mocno serwowali!

Wieczorami urlopowicze śpiewali piosenki harcerskie, religijne, ballady. Było bardzo wesoło, zwłaszcza gdy zebrani przysłuchiwali się dialogom prymasa i kard. Wojtyły. Obaj mieli ogromne poczucie humoru. Prymas na urlopie dużo czytał: swoje ulubione powieści Makuszyńskiego czy Trylogię Sienkiewicza, i zachęcał do tego innych. Urządzał zresztą na wakacjach „akademie historyczne". Jeszcze podczas ostatnich swych wakacji czytał „Historię Kościoła" ks. Kumora.

Kard. Wyszyński często też opowiadał dowcipy. Lubił czytać skecze. Barbara Dembińska wspominała: – Pamiętam takie zdarzenie: na kartce miał zapisaną anegdotę. Zajęła pół strony. A on ją czytał i czytał w nieskończoność. W końcu ktoś zagląda mu przez ramię i mówi: „Ojcze, przecież tego tutaj nie ma". A on na to: „Oj, dziecko, nie umiesz czytać między wierszami!". Doskonale pamiętam też, jak kiedyś Ojciec śmiał się do łez, gdy dwie dziewczyny – całkowicie fałszując – śpiewały: „Panie Boże mój, jam jest wołek Twój".

> Nie lubił, jak się przy nim narzekało. Nawet rodzonej siostrze Janinie tłumaczył: „Tobie nie wolno się skarżyć, przecież jesteś siostrą prymasa Polski!"

W czasie wakacyjnych wieczorów tym żartom nie było końca. Przerywał je prymas, który zwykle przed północą wszystkich opuszczał. Nie lubił późno chodzić spać, wstawał natomiast o świcie.

PO KOLACJI CZĘSTOWAŁ JABŁKAMI

W siedzibie prymasa przy ul. Miodowej spotykali się różni ludzie. Biskupi przyjeżdżali tam na zebrania plenarne episkopatu, przychodzili przedstawiciele świata polityki, kultury, życia publicznego. Rezydencja prymasa w ówczesnym okresie stanowiła ważny ośrodek życia kościelnego i zarazem myśli społecznej.

W tym natłoku zajęć, jak wspominają do dziś bliscy współpracownicy prymasa, potrafił on znaleźć czas na modlitwę. Kard. Józef Glemp, który przez 12 lat był sekretarzem prymasa Wyszyńskiego, a więc także najbliższym współpracownikiem i domownikiem przy Miodowej, wspominał: – Zapamiętałem prymasa jako człowieka zawierzenia i wielkiej modlitwy. My go znamy może bardziej jako człowieka czynu: przemawiającego, jeżdżącego z jednego końca ojczyzny na drugi. Ale był

eprasa.pl 484cb83f52

to człowiek przede wszystkim modlitwy i skupienia. Prymas Wyszyński umiał się modlić stale. Nie przeszkadzała mu w tym ani podróż, ani rozmowa, ani posiłek, ani wykonywane zajęcia. Z modlitwy czerpał moc do działania.

Historyk ks. Andrzej Gałka: – Jeżeli ktoś ma wiele spraw na głowie, zazwyczaj się zastanawia, czy zdoła wygospodarować czas na modlitwę, czy raczej powinien się zająć bieżącymi sprawami, a modlitwę odłożyć na później. Na ogół większość z nas zajmuje się załatwianiem codziennych spraw, a modlitwę odkłada. Prymas był tu natomiast konsekwentny i szedł najpierw na modlitwę. On wiedział, że bez niej wiele by nie zrobił. Był jak bezbronny dzieciak w wielkim, książęcym majestacie.

Jeszcze inna cecha przebijała w życiu codziennym kard. Wyszyńskiego: ogromna wrażliwość na drugiego człowieka. Kiedyś jechał samochodem. Na przystanku autobusowym, który mijał na skraju lasu, zobaczył niewidomą kobietę. Poprosił kierowcę, by się zatrzymał. Zabrał ją do samochodu i podwiózł do Warszawy.

Inny przykład: jeden z księży w pierwszą rocznicę swoich święceń kapłańskich postanowił wraz z kolegami zaprosić prymasa na zjazd kursowy dla księży. Wszyscy naokoło mówili mi, że to niemożliwe, że nie wypada, że prymasa to można zaprosić przynajmniej na 25-lecie kapłaństwa. Kiedy poszedł jednak do prymasa i powiedział mu o tej prośbie, usłyszał: „Synku, jak ja na to czekałem!". Kiedyś jeden z duchownych wyznał mu, że jakiś proboszcz ma do prymasa żal i wymienił sprawę, Wyszyński odparł: „To była wtedy moja wina i mój błąd. Ale nie martw się, synku, prymas Polski ma mnóstwo sposobów do uleczenia takich sytuacji!".

Barbara Dembińska podkreślała, że dla wszystkich pracowników Sekretariatu Prymasa Polski Wyszyński umiał być ojcem: – Bardzo się o nas troszczył. Nawet w codziennych, bardzo prozaicznych sytuacjach. Wiedział na przykład, że przepadam za jabłkami. Często po kolacji sam mi je obierał, a gdy zjadałam, zmieniał talerzyk i kładł następne.

Ojcowską troskę Wyszyńskiego wspominał też kard. Józef Glemp: – Zimą 1968 r. jechaliśmy z prymasem na wizytację parafii do Gniezna. Mieliśmy wypadek. Nasz samochód wpadł w poślizg i rozbił się na drodze w okolicy Krośniewic. Nie odnieśliśmy ciężkich obrażeń, ja jednak rozbiłem głowę o przednią szybę i miałem rozcięte czoło. Do dziś pamiętam ojcowską troskę i współczucie, jakie okazywał mi prymas Wyszyński.

Nie lubił, jak się przy nim narzekało. Nawet rodzonej siostrze Janinie tłumaczył: „Tobie nie wolno się skarżyć, przecież jesteś siostrą prymasa Polski!".

ANEGDOTA O PSIE NERUSIU

W Domu Arcybiskupów Warszawskich przy Miodowej Wyszyński mieszkał w pokoju, który wyglądał dokładnie tak jak pokój jego poprzednika. Co więcej – prymas spał nawet w łóżku kard. Hlonda. Obok łóżka przy ścianie stała szafa, stolik z lampką nocną, w rogu krzesło, na podłodze leżał chodnik. Wszystko w idealnym porządku. Bo – jak mawiał prymas – „kiedy wszystko jest na swoim miejscu, to i Pan Bóg jest na swoim miejscu".

W gabinecie obok sypialni – tylko biurko i półki na książki oraz dokumenty.

– Pamiętam, że wystrój tych wnętrz wywarł wrażenie na lekarzach, którzy przychodzili do księdza kardynała, gdy był chory. Dziwili się, że prymas Polski mieszka w tak skromnych warunkach – opowiadała Barbara Dembińska.

– Stefan nigdy nie lubił luksusu – wspominała jego rodzona siostra Janina. – Najbardziej szczęśliwy był wtedy, gdy miał w teczce brewiarz i jedną zmianę bielizny, a w kieszeni różaniec.

Nie przywiązywał wagi do stroju. Zakonnice kiedyś usilnie prosiły któregoś z współpracowników prymasa: „Zróbcie coś, żeby Ojciec zgodził się na uszycie nowej sutanny, ta, którą nosi, naprawdę już się nie nadaje". Ksiądz prymas usłyszał to i skwitował krótko: „Nie nadaje się, bo jest podarta. Jak siostra zaceruje, to się nada".

Dzień zaczynał o czwartej lub piątej rano. Odmawiał brewiarz – bardzo lubił tę formę modlitwy – a potem odprawiał mszę świętą, na którą zapraszał wszystkich pracowników. O dziewiątej było śniadanie. Prawie zawsze uczestniczyli w nim goście. Bywali wśród nich: prof. Władysław Tatarkiewicz z żoną, prof. Jan Józef Szczepański czy pisarz Jan Dobraczyński. I obowiązkowo wszyscy pracownicy Sekretariatu, których prymas traktował jak domowników.

W rezydencji przy Miodowej wszyscy wspólnie jadali posiłki, które składały się z prostych potraw. Prymas Wyszyński nie uznawał wyszukanych i wykwintnych dań, a najbardziej lubił ziemniaki i zsiadłe mleko, kaszę gryczaną i placki ziemniaczane. Był na tyle bezpośredni, iż potrafił wstać od stołu, podejść do kogoś i powiedzieć: „No, co tam bracie, dlaczego nie jesz?". Albo nałożyć komuś kawałek wędliny na talerz. Także sam nigdy nie zaczynał jeść, dopóki wszyscy nie mieli nałożone na talerz.

Tradycją było, że przy stole prymas nigdy nie mówił o sprawach służbowych, a już na pewno o przykrych.

– Starał się, aby to był czas relaksu, umiał świetnie bawić nas żartami – wspominał ks. Hieronim Goździewicz.

Kard. Wyszyński chętnie nadziewał widelcem pączki i podchodził do gości, mówiąc: „Jedz, bracie, żebyś nie wyszedł głodny od prymasa Polski!"

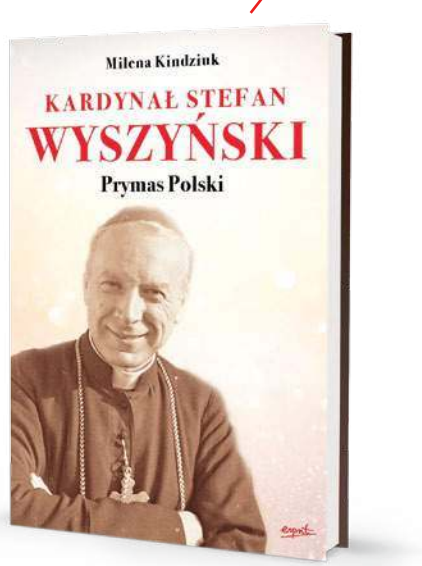

eprasa.pl 484cb83f52

– Ojciec miał fantastyczne poczucie humoru – przyznaje Anna Rastawicka z Instytutu Prymasa.

Wyszyński często sam opowiadał przy stole dowcipy: żydowskie, góralskie, nawet umiał mówić gwarą. Ulubionym był ten o psie Nerusiu:

„Wraca jaśnie pan z podróży zagranicznej, wyjeżdża po niego stangret Józef i sadza do karety. Jaśnie pan pyta:

– I co Józefie, co tam słychać?

– A nic, jaśnie panie, nic się nie stało, tylko Neruś zdechł.

– Neruś zdechł? A co się stało?

– A to głupie psisko, jaśnie panie, nażarło się padliny, i zdechło.

– Padliny?

– Ano tak, jaśnie panie, bo jak się paliła obora z bydłem, to część bydła uciekła, część nie, wszystko się spaliło, a to psisko głupie nażarł się tej padliny i zdechło.

– Co ty opowiadasz Józefie, obora się paliła?

– No tak, bo jak się zapaliła stodoła, to od stodoły zapaliła się obora, potem bydło się popaliło i Neruś się nażarł padliny i zdechł.

– Jak to stodoła się paliła?

– No tak, jaśnie panie, bo jak się palił dwór, to od dworu stodoła się zapaliła, od stodoły obora, potem bydło i od padliny Neruś zdechł.

– Jak to Józefie, dwór się palił?

– No tak, bo od świecy zapaliła się firanka, a od firanki dwór.

– Firanka się zapaliła?

– No tak, jaśnie panie, bo jak przy trumnie jaśnie pani stała świeca, to się zapaliła firanka...".

Gdy kiedyś ksiądz prymas skończył opowiadać, dodał jeszcze od siebie: „Tylko nie martwcie się, to wszystko było, ale u sąsiadów!".

Anegdota była opowiadana tak dowcipnie, aktorsko, że wszyscy śmiali się za każdym razem, gdy słyszeli tę historię.

NIKT NIE MOŻE WYJŚĆ Z ŻALEM

Umiał rozładować napięcie. Kiedyś przyszedł do prymasa profesor zdenerwowany sytuacją polityczną. Z przerażeniem w oczach zapytał: „Ojcze, co z nami będzie?". A ksiądz prymas przytulił go i odparł: „Bracie, Bóg jest, a ty z Nim".

Wykorzystywał każdą chwilę, nie lubił marnować czasu.

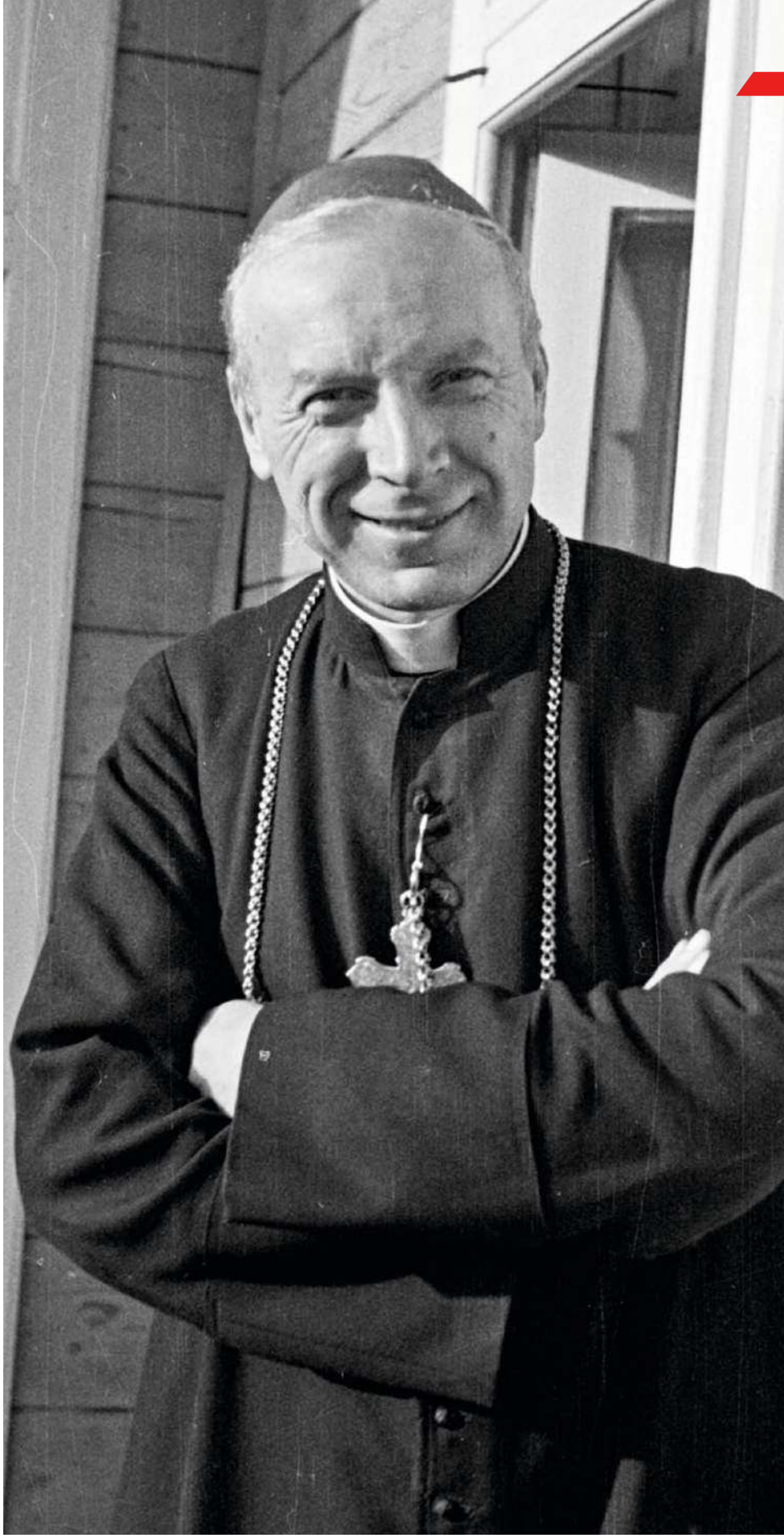

Fot. NAC

eprasa.pl 484cb83f52

Fot. Laski Diffusion/East News

– Był tytanem pracy mimo słabego zdrowia – podkreślał ks. Hieronim Goździewicz, kierownik Sekretariatu Prymasa Polski. – Prymas był też niezwykle systematyczny. Wszystkie akta były drobiazgowo uporządkowane w teczkach. Każda odpowiednio oznaczona. Wieczorem kładłem zwykle teczki na biurku z napisem: „do wglądu" lub „do podpisu". Rano po mszy św. odbierałem wszystkie teczki z podpisami i z decyzjami.

Umiał sobie zorganizować pracę. Prowadził kalendarium prac wykonanych z dokładnym określeniem terminów. – Kalendarz leżał na biurku – wspominał ks. Goździewicz – tak aby co dzień rano można było sobie przypomnieć, jakie audiencje, jakie wyjazdy duszpasterskie, jakie prace przypadają na dany dzień.

– Z prymasem Wyszyńskim pracowało się dobrze, lubił zorganizowaną pracę, był bardzo stanowczy i konkretny, stabilny w osądach, nie zmieniał raz podjętej decyzji. To mi pasowało, umieliśmy się „zgrać" – opowiadał kard. Glemp, dodając: – Niekiedy prymas Wyszyński chciał poznać moje zdanie na określony temat, wysondować, jaką mam opinię. Czynił to zręcznie, przejawiając wielką troskę o Kościół. Ja natomiast nigdy mu nie przytakiwałem, tylko wprost mówiłem, co myślę. I to się podobało prymasowi, chociaż często nasze opinie się różniły, a ja bywałem nawet krytyczny.

Prymas Stefan Wyszyński zostanie beatyfikowany – wraz z matką Różą Czacką – w niedzielę 12 września o godz. 12 w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie. Uroczystość będzie transmitowana przez TVP, która udostępni sygnał również innym stacjom telewizyjnym oraz radiowym, co oznacza, że przebieg uroczystości będzie można śledzić w wielu różnych mediach oraz w internecie. W wielu miejscach Polski, m.in. przy katedrach, zorganizowane też zostaną telemosty, gdzie można będzie wspólnie oglądać transmisję na telebimach.

Niezależność myślenia i otwartość w wyrażaniu poglądów była jedną z cech, którą Wyszyński bardzo cenił.

Prymas także odpowiadał na każdy list. Jak mówił do swego sekretarza: „Z naszego domu nikt nie może wyjść z żalem lub urazą".

Zwykle po południu jeździł na wizytacje do parafii. Lubił spotkania z ludźmi. Niekiedy zdarzały się zabawne sytuacje. Kiedyś jeden z wiernych przywitał go, mówiąc: „Najprzewielebniejsza Ewidencjo". Innym razem, gdy zbliżał się do drzwi kościoła, przedstawiciel parafii zdjął czapkę i wydusił z siebie: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie". Po chwili szybko dodał: „Oj, psia mać, w pacierz zaszedłem". Prymas się śmiał.

NADZIEWAŁ PĄCZKI NA WIDELEC

Kiedy nie było wielkich uroczystości, spotkań, wyjazdów, brał udział w zakończeniu rekolekcji dla lekarzy, prawników czy duszpasterstw akademickich. W okresie Bożego Narodzenia zawsze organizował opłatek dla studentów. Siostry smażyły pyszne pączki z nadzieniem różanym. A prymas słynął z tego, że... osobiście nadziewał te pączki na widelec i częstował nimi gości.

– Chodziliśmy na te pączki do prymasa raz w roku, zawsze w styczniu – opowiada Krzysztof Gołębiowski, który jako student należał do Duszpasterstwa Akademickiego przy kościele Świętego Krzyża w Warszawie. – Była nas ponad setka. Kto mógł, siadał na krzesłach, część na podłodze. Odbywał się program artystyczny, a po nim głos zabierał ksiądz prymas. Na koniec był poczęstunek. Na długich stołach stały patery z piramidami pączków – z owocem dzikiej róży. Zdarzało się nieraz, że ksiądz prymas, gdy zobaczył, że u kogoś na talerzu nie było pączka, brał go widelcem z patery i podawał tej osobie, mówiąc z powagą: „Jedz, bracie, żebyś nie wyszedł głodny od prymasa Polski!".

Artykuł stanowi fragment książki Mileny Kindziuk „Kardynał Stefan Wyszyński Prymas Polski", Wydawnictwo Esprit, Kraków 2021, która ukazała się pod patronatem tygodnika „Sieci"

eprasa.pl 484cb83f52

Wolność debaty naukowej nie dla wszystkich

Sąd Apelacyjny w Warszawie orzekł, że Jan Grabowski i Barbara Engelking nie muszą przepraszać Filomeny Leszczyńskiej za oskarżenie jej stryja Edwarda Malinowskiego o współudział w śmierci kilkudziesięciu Żydów, uzasadniając to dobrem wolności badań historycznych. Kłopot w tym, że tak jak w przypadku wspomnianego sołtysa całe partie książki „Dalej jest noc" powstały za pomocą metod niemających zbyt wiele wspólnego z nauką

PIOTR GONTARCZYK

W świetle zachowanych dokumentów archiwalnych sprawa sołtysa Edwarda Malinowskiego jest jasna. W maju 1948 r. kilku mieszkańców wsi Malinowo powiatu bielskiego złożyło doniesienie do prokuratury w sprawie jego rzekomych przestępstw. W czasie niemieckiej okupacji Malinowski miał dokuczać miejscowym, prześladując ich i okradając. Po wojnie, wraz z kilkoma innymi, także zadenuncjowanymi z nazwiska osobami, miał współpracować z podziemiem. Autorzy pisma domagali się działań: „Prosimy prokuratora o zastosowanie sankcji karnych względem Edwarda Malinowskiego syna Stanisława ponieważ w czasie okupacji i obecnie trudno jest nam żyć we wsi Malinowie".

Niejako przy okazji delatorzy wspomnieli, że w czasie wojny „sołtys Malinowski Edward wydał żandarmom 18 osób ukrytych żydów w lesie wsi Malinowa których żandarmi rozstrzelali". Taki zarzut był wówczas bronią atomową. O ile bowiem donosy w sprawach kradzieży, bójek, a nawet kontaktów z podziemiem nie zawsze były skuteczne, o tyle zarzuty wydania w ręce Niemców Żydów zwykle kończyły się zatrzymaniem i – nawet w przypadku niepotwierdzenia zarzutów – długim pobytem w areszcie śledczym. Po oskarżenia tego typu (prawdziwe albo fałszywe) chętnie sięgano w ramach różnych porachunków, nawet w kłótniach rodzinnych ludzi mieszkających pod jednym dachem.

Po wpłynięciu do prokuratury pisma w sprawie Edwarda Malinowskiego wszczęto śledztwo zakończone w połowie 1949 r. Kilka osób (wcześniejsi denuncjatorzy, głównie o popularnych w tym zaścianku nazwiskach Kosiński i Malinowski. Ci ostatni nie byli spokrewnieni z sołtysem) złożyło zeznania, opowiadając o tym, jak Malinowski doprowadził Niemców do miejsca ukrywania się Żydów, kazał im wyjść z bunkra, a nawet obrabował zwłoki jednej z Żydówek zamordowanych przez żandarmów. Sołtys został aresztowany. Nie przyznał się do winy, twierdząc, że feralnego dnia zimą 1943 r. przyjechali do niego żandarmi, którzy kazali mu wezwać leśniczego. Ten pojawił się dopiero pod wieczór. Wówczas na polecenie Niemców leśniczy poprowadził żandarmów w głąb lasu, gdzie odnaleziono bunkier z ukrywającymi się Żydami. Wcześniej Niemcy nakazali sołtysowi, by dobrał sobie sześciu innych chłopów, którzy z łopatami mieli się udać z Niemcami do lasu. To typowe działania okupantów, którzy nie musieli się parać pracą fizyczną (np. zakopywaniem zwłok), używając do tego Polaków. O odmowie nie mogło być mowy.

Chłopi nie widzieli dokładnie przebiegu obławy, szli bowiem gęsiego za Niemcami i padli na ziemię, kiedy rozległy się pierwsze strzały. Widzieli potem rabowanie i śmierć 18 Żydów zabitych przez żandarmów po opuszczeniu bunkra. Dostali polecenie zakopania zwłok,

eprasa.pl 484cb83f52

Barbara Engelking i Jan Grabowski

Fot. Jacek Dominski/REPORTER

ale wykonali je na drugi dzień, bo zrobiło się ciemno. Sołtys potwierdził, że zabrał kolczyki jednej z zabitych kobiet, ale nie dla siebie. Prokurator uznał te tłumaczenia za niewiarygodne, skoro jego przestępstwo potwierdziło kilku świadków. Skierował akt oskarżenia do sądu.

PROCES SOŁTYSA MALINOWSKIEGO

6 września 1949 r. rozpoczął się proces Edwarda Malinowskiego przed Sądem Apelacyjnym w Białymstoku. Sołtys nie przyznał się do winy, składając obszerne wyjaśnienia w sprawie oskarżeń o zabór mienia, wysługiwanie się Niemcom i wydanie Żydów. Przekonywał, że zarzuty są kłamliwe, a ich autorzy kierują się zemstą z powodu osobistych zatargów. Oskarżyciele w sądzie nie byli już tak stanowczy w swoich twierdzeniach. Okazało się, że nie widzieli opisywanych wydarzeń albo nie byli pewni, kto wydał kryjówkę Żydów. Potwierdzili też, że mieli z Malinowskim zatargi. Inni świadkowie w pełni potwierdzili wersję sołtysa: tym, który wskazał bunkier, mógł być leśniczy, którego zresztą potem zabili żydowscy partyzanci. Dodatkowo do sądu wpłynęła petycja kilkudziesięciu mieszkańców Malinowa potwierdzająca, że sołtys był w czasie wojny porządnym człowiekiem, nie odpowiadał za śmierć Żydów, a fałszywe oskarżenia to zwykła zemsta.

Rozstrzygające okazały się zeznania trzech świadków żydowskich, których Malinowski powołał w swojej obronie: Marii Wiśniewskiej z Wrocławia, Lejby Prybuta z Białegostoku oraz Chuni Kapłana z Warszawy. Wiśniewska zeznała: „parę dobrych tygodni ukrywałam się u Malinowskiego i on mnie karmił pomimo, że nie miałam ani grosza. W nocy w jego stodole było pełno Żydów, Malinowski dawał im jeść. Ja zawdzięczam Malinowskiemu życie, gdyż wyrobił mi aryjskie papiery, a potem, umówiwszy się ze mną, zameldował, że uchylam się od robót przymusowych. Zostałam wówczas aresztowana i odesłana do Niemiec" (AIPN Bi, 403/18, t. 1, k. 81–82). Wprawdzie Wiśniewska w trakcie likwidacji bunkra była już w Niemczech, jednak odpowiedzialność Malinowskiego za tę tragedię wykluczyli przebywający wówczas w okolicy Lejb Prybut i Chunia Kapłan. Prybut zeznał: „zachodziłem dwa razy do oskarżonego, nie obawiałem się go, mimo że wiedziałem, iż jest sołtysem: za każdym razem Malinowski dał mi chleba i słoniny (...) Żydzi dobrze mówili o Malinowskim" (k. 83). Hunia Kapłan zeznał, że Malinowski pomagał także jemu, ostrzegając i wspierając innych Żydów w okolicy. Cała trójka świadków żydowskich jako denuncjatora wskazywała leśniczego. Hunia Kapłan i Lejb Prybut potwierdzili też, że kolczyki, które sołtys zabrał z miejsca zbrodni, trafiły w ręce potrzebujących. Kapłan zeznał: „kolczyki należące do narzeczonej Berka Zymkesa odebrał on od Malinowskiego. Mówił mi o tym" (k. 83). Sytuacja była oczywista. Edward Malinowski ratował Żydów, a nie zadenuncjował. Zapadł wyrok uniewinniający, a prokurator nie złożył apelacji.

Ale prócz akt sądowych w tej sprawie jest jeszcze jedno źródło. Maria Wiśniewska, która broniła w 1949 r. Malinowskiego w sądzie, już jako Maria Wiltgren w 1996 r. złożyła obszerną relację. Powstała więc ona pół wieku po wojnie, a autorka miała wówczas ok. 80 lat. Nic dziwnego, że relacja zawiera błędy i przekłamania, a wiele elementów swojego życiorysu autorka przedstawiła inaczej niż w znanych, wcześniejszych wersjach. Jako denuncjatora Żydów z bunkra (ich liczbę zwiększyła do 22) Wiltgren wskazała leśniczego, ale też bliżej nieopisanego „Malinowskiego". W Malinowie było ich wówczas kilkudziesięciu. Generalnie w tej relacji panuje chaos, w którym przewija się kilku Malinowskich, w tym dwóch sołtysów. Nie ma w niej

eprasa.pl 484cb83f52

Filomena Leszczyńska

stwierdzenia, że denuncjatorem Żydów z bunkra był sołtys Edward Malinowski, jak rzekomo na podstawie tego źródła napisała Engelking. Ponadto Maria Wiltgren stwierdziła, że „aryjskich papierów", na których podstawie wyjechała do Niemiec, nie dostała już od sołtysa Malinowskiego, tylko sama je kupiła. Sołtys zaś nie wspierał jej mimo braku pieniędzy, jak zeznała w czasie rozprawy w 1949 r., tylko ją okradł. Mimo to Wiśniewska miała go bronić w sądzie, bo Malinowski dostał karę śmierci (wiemy, że to nieprawda). Relacja Wiltgren z 1996 r. to w mniejszym stopniu obraz przeszłości, a bardziej ilustracja znanych historykom problemów z wiarygodnością świadectw składanych przez osoby w podeszłym wieku ponad pół wieku po wojnie.

TAKA NAUKA JACY NAUKOWCY

W „Dalej jest noc..." sprawę sołtysa Malinowa Barbara Engelking opisała właśnie na podstawie relacji Marii Wiltgren z 1996 r. Malinowski został w książce złodziejem i denuncjatorem Żydów, mimo że sama relacja takiej informacji wprost nie zawiera. Engelking napisała w książce, że Wiśniewska złożyła w 1949 r. fałszywe zeznania w jego obronie, wiedząc, iż jest on odpowiedzialny za śmierć „kilkudziesięciu" (w bunkrze było ich 18) Żydów. Zeznania Lejby Prybuta i Chuni Kapłana przemilczano. Tak więc w książce „Dalej jest noc" powstała nowa wersja działań sołtysa Malinowskiego, której przeczą wiarygodne źródła historyczne. W przypisie autorka zacytowała jeszcze fragment zeznania Wiśniewskiej z 1949 r., który „poprawiła" w charakterystyczny dla niej sposób. W zdaniu: „ukrywałam się w stodole Malinowskiego i on mnie karmił, pomimo że nie miałam ani grosza", usunęła podkreślony fragment. Przecież sołtys miał być złodziejem, a nie bezinteresownie wspierać Żydów.

Dlaczego autorka tak postąpiła? Na podstawie analizy jej piśmiennictwa twierdzę (polecam mój obszerny artykuł naukowy na ten temat w „Dziejach Najnowszych" z 2018 r.), że prawda nie miała tu znaczenia. Materiały archiwalne w pracach Engelking nie są fundamentem do rekonstrukcji naukowych, tylko materiałem do poszukiwania informacji, za których pomocą można budować jak najgorszy obraz Polaków. Dlatego wykorzystała w tej sprawie jedno niewiarygodne źródło, odrzucając inne, przy okazji „odpowiednio" interpretując treść relacji Wiltgren i „poprawiając nożyczkami" jej zeznanie z 1949 r. jako Marii Wiśniewskiej.

Pozew o ochronę dóbr osobistych złożyła bratanica sołtysa Edwarda Malinowskiego Filomena Leszczyńska, twierdząc, że stryj został uwolniony od fałszywych zarzutów mściwych ludzi dzięki zeznaniom Żydów, których ratował w czasie wojny. Autorzy książki odrzucili wartość tego wyroku i zeznań trzech żydowskich świadków z 1949 r., opierając się wyłącznie na mało wiarygodnej relacji Marii Wiśniewskiej vel Wiltgren z 1996 r., która w czasie dramatycznych wydarzeń była na robotach w Niemczech. W sądzie twierdzili, że świadkowie zeznający na procesie na korzyść sołtysa byli sterroryzowani przez lokalne polskie podziemie. W przypadku chłopów z Malinowa można by jeszcze w to uwierzyć, bo rodzina Malinowskiego wspierała lokalną grupę Narodowego Zjednoczenia Wojskowego Czesława Pileckiego „Jaskółki". Ale to wyjątkowo mało prawdopodobne wobec faktu, że owi świadkowie nie bali się oskarżać Malinowskich w sądzie o współpracę z NZW. Tylko oskarżeń o śmierć Żydów i okradanie ich przez Malinowskiego w czasie wojny już nie powtarzali.

Ważniejsze, że na procesie zeznawało trzech Żydów, którzy w 1949 r. mieszkali w Białymstoku, Warszawie i we Wrocławiu. Ich też zastraszył osaczany już wówczas przez bezpiekę patrol „Jaskółki", ukrywający się na terenie małego skrawka powiatu bielskiego? To było wówczas absolutnie poza możliwościami tego oddziału i tej organizacji. Wersja o zastraszeniu świadków (szczególnie żydowskich) to oczywisty nonsens, wersja zmyślona w celu obrony w sądzie spreparowanej w książce wersji historii, w której odrzucono wiarygodność

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 484cb83f52

kolekcji wiarygodnych źródeł (w tym trzech zeznań żydowskich), by jak najgorzej opisać Malinowskiego w oparciu o jedną wątpliwą relację złożoną 50 lat po wojnie. Relację, w której nie ma dostatecznych przesłanek do oskarżenia sołtysa Edwarda Malinowskiego o współodpowiedzialność za śmierć „kilkudziesięciu" Żydów z bunkra.

W czasie procesu Barbara Engelking przyznała nawet, że pomyliła różnych Malinowskich, bo nie wiedziała, że tylu ich było w Malinowie. Po przeczytaniu akt sprawy, w której w oczy biją realia szlacheckiego zaścianka Malinowo, podobne tłumaczenia budzą tylko zażenowanie. Sąd w swej łaskawości nakazał listowne przeproszenie Filomeny Leszczyńskiej, co jakoś zamknęłoby sprawę, a autorów książki kosztowało... kopertę i znaczek.

„NAJWYŻSZA PÓŁKA"

Jednak Barbara Engelking i Jan Grabowski złożyli apelację. Akcji obrony autorów książki podjęły się wpływowe gremia polskiej nauki. „Wolność prowadzenia badań naukowych jest fundamentem uprawiania historii" – napisali w apelu naukowcy z Polskiej Akademii Nauk. Święta racja. Pytanie tylko czy w przypadku opisu sołtysa Malinowskiego i generalnie „Dalej jest noc" mamy do czynienia z wynikami badań naukowych. Do protestów przeciw „procesowi historyków" przyłączyły się zagraniczne instytucje. Co szczególnie istotne z punktu widzenia masowego i fałszywego obarczania w rzeczonej książce niemieckimi zbrodniami Polaków, protestowało także Stowarzyszenie Historyków i Historyczek Niemiec (VHD). W kraju szczególnie aktywny był prof. Dariusz Stola z PAN, były dyrektor Muzeum Polin. W audycji radia Szczecin wygłaszał peany na rzecz pisarstwa Grabowskiego i Engelking, uznając ich za autorów z najwyższej półki prześladowanych (pośrednio) za pieniądze polskich władz, które ukrywają się za plecami Filomeny Leszczyńskiej. Mówił o możliwości drobnej pomyłki, powtarzał zmyśloną historię o terroryzowaniu świadków na procesie, a samego sołtysa Malinowskiego opisał jako uczestnika obławy na Żydów z widłami w rękach... Tak kończy się zabieranie głosu bez znajomości podstawowych faktów i dokumentów.

Po tej medialnej kampanii Sąd Apelacyjny w Warszawie odrzucił pozew Filomeny Leszczyńskiej, twierdząc, że sala sądowa nie może być miejscem historycznej debaty, stając po stronie wolności nauki. Niby z jednej strony zasadnie, ale problem ze sprawą sołtysa Malinowskiego i generalnie z książką „Dalej jest noc" pozostaje. Bo tu nie o jakieś potknięcia chodzi, tylko o zaplanowane, konsekwentne przeinaczanie historycznych faktów, fałszywe relacjonowanie źródeł, ich „przycinanie nożyczkami", a nawet systemowe przerabianie. Takimi metodami w rzeczonej książce na dużą skalę budowano fałszywe (indywidualne i zbiorowe) oskarżenia wobec setek i tysięcy Polaków. Przypisywano im zbrodnie dokonane przez Niemców, Ukraińców, a nawet żydowskich kolaborantów. Nawet tych ratujących Żydów przedstawiano jako chciwców, donosicieli i zbrodniarzy.

> Tu nie o jakieś potknięcia chodzi, tylko o zaplanowane, konsekwentne przeinaczanie historycznych faktów, fałszywe relacjonowanie źródeł, ich „przycinanie nożyczkami", a nawet systemowe przerabianie. Takimi metodami na dużą skalę budowano fałszywe oskarżenia wobec tysięcy Polaków. Przypisywano im zbrodnie dokonane przez Niemców, Ukraińców, a nawet żydowskich kolaborantów. Nawet tych ratujących Żydów przedstawiano jako chciwców, donosicieli i zbrodniarzy

Sprawa sołtysa Malinowskiego to wierzchołek góry lodowej. Niektóre przypadki takich praktyk opisałem w swoich artykułach, ilustrując je przykładami przerabianych w książce dokumentów. Jak do tej pory najpoważniejszą odpowiedzią było oświadczenie przedstawicielki macierzystej jednostki Barbary Engelking, Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk z 2019 r., w którym... zagrożono mi sądem. To jak to jest z tą wolnością debaty naukowej?

Już gdzieś napisałem i chętnie powtórzę: ok. 30 proc. zweryfikowanych przeze mnie cytatów w monografii Barbary Engelking zostało uszkodzone za pomocą „przycinania nożyczkami" w sposób zmieniający ich sens i treść. Ale jest i znacznie grubiej. W pewnej żydowskiej relacji np. znalazłem kilka „poprawek", po których niemieckie zarządzenia przeciwżydowskie wprowadzone w 1941 r. w jednym z miasteczek wyglądają bardziej na działania lokalnych „gojów". Opublikowałem też dowody świadczące, że takie metody są obecne w innych monografiach tej książki, a od lat można je znaleźć w różnych pracach Jana Grabowskiego. „Najwyższa półka" nauki...

Sama Barbara Engelking zapytana przed salą sądową przez dziennikarza, czy ustosunkuje się do moich zarzutów, odpowiedziała ponoć, że nie zamierza. Nie tracę nadziei, że w końcu doczekam się wyjaśnień – jeśli nie od autorów tych „metod badawczych", to choćby ze strony kogoś z prominentnych naukowców PAN zaangażowanych w obronę książki „Dalej jest noc". Może któryś z nich przy okazji wskaże wiarygodne świadectwo potwierdzające, że sołtys Edward Malinowski jest współwinny śmierci „kilkudziesięciu" Żydów?

Autor jest pracownikiem IPN, artykuł odzwierciedla wyłącznie jego poglądy

eprasa.pl 484cb83f52

Nienawistnicy, pyszałki i ordynusy w przestrzeni publicznej i ich językowe popisy.

Lament polonisty

*J. Sztaudynger „**Plujmy sobie**”*

Plujmy sobie nawzajem w kaszę!

To takie polskie, to takie nasze...

Możecie państwo w to nie uwierzyć, ale piszę prawdę. Gdy usłyszałem wiadomość o intelektualnym i językowym popisie na antenie TVN24 naszej eksgwiazdy z początków Solidarności, dziś frustrata i ordynusa, zagotowało się we mnie. Pomyślałem przez mgnienie, że Konrad nie chce zejść ze sceny i wspomniałem Mickiewiczowski dwuwers: „Dla Boga, on osłabiał, patrz – miota się, dąsa,/ To jest wielka choroba, patrz, on usta kąsa”. Ale zaraz nadleciały inne skrzydlate słowa, bardziej adekwatne: „Na tym polega uwiąd starczy,/ Że zamiast mówić – człowiek warczy” (J. Sztaudynger: „Gniewającemu się staruszkowi”) albo jeszcze inne, tego samego fraszkopisarza, troszkę bardziej gorzkie: „Modelowała go natura:/ Z młodego orła – na starego knura” („Kariera orła”).

* * *

Poczułem, że nie zniosę już dłużej wylewania się językowego chamstwa w przestrzeni publicznej. Ponieważ na stres wszelki stosuję jako antidotum pracę, poszedłem do biurka, żeby podumać nad właśnie nabytym przeze mnie podręcznikiem do klas maturalnych (pracuję jako polonista w liceum). Otworzyłem książkę i – zupełnie przypadkowo, proszę mi wierzyć! – pokazała mi się strona działu nauki o języku z podrozdziałem zatytułowanym „Świat podlega ocenie – język a wartości”. Kiedy przejrzałem ten rozdział, pomyślałem z absolutną pewnością, że nauki, która jest w nim klarownie wyłożona, znaczna część, lwia część polskich uczestników dyskursu politycznego, z w ł a s z c z a z lewej strony – tego tematu nie „przerabiała” w szkole albo na lekcjach z tym tematem kompletnie nie uważała lub była nieobecna. Albo też jednym uchem słuchała, drugim wypuszczała, czyli mówiąc wprost, ziarno logosu padło na grunt twardy, skalisty bądź zachwaszczony.

Oto najważniejsze tezy krótkiego wykładu podręcznikowego dla nastolatków:

– każdą wypowiedź mamy prawo ocenić pod kątem jej prawdziwości i skutków, które powoduje, a także pod kątem jej estetyki, poprawności językowej zrozumiałości i etyki,

– wypowiedź etyczna to taka, w której odbiorcę traktuje się podmiotowo (a nie instrumentalnie), a język nie jest używany po to, by wyrazić swą wrogość,

– obowiązuje zatem mówienie prawdy, wystrzeganie się manipulacji, przemilczeń, niedopowiedzeń,

– obowiązuje tabu przypisywania rozmówcy złych intencji, niepopełnionych czynów, obrażania go oraz nakaz szanowania innych poglądów od własnych,

– godne potępienia jest grożenie rozmówcy, odmawianie mu jego praw człowieka (wolności, równości, godności), które przynależą się każdemu z nas,

– nie dopuszcza się wszelkiej słownej dyskryminacji z powodu wyznania, koloru skóry, pochodzenia czy przekonań,

– zabrania się używania wulgaryzmów, „które mogą być odbierane jako przejaw pogardy i agresji”,

– „Zasady etyki słowa powinny być przestrzegane zwłaszcza w wystąpieniach publicznych, które są odbierane jako pewien wzór komunikowania się”.

W powieści Romaina Rollanda „Jan Krzysztof” tytułowy bohater pyta serdecznego przyjaciela, co studiuje, a odpowiedź – „Etykę” – ripostuje zdziwieniem: „To to się studiuje?”. Takie samo pytanie można zadać pod adresem nauczania etyki językowej. Odpowiedzi udzielił niedawno minister Czarnek, argumentując konieczność nauczania etyki w szkołach (jako zamiennika wobec lekcji religii) faktem mnożenia się przypadków moralnego dna wśród ludzi polityki czy mediów. Niektórzy przecież na słowo „cnota” rechoczą jak żaby, a na dźwięk słowa „sp...lać” śmieją się – powiedzmy – dumnie, z apetytem na więcej.

Posłuchajmy dwóch uniwersyteckich mędrców, co sądzą o ostatnio modnych w Polsce rynsztokowych frazach czy

eprasa.pl 484cb83f52

słowach. Jeden z nich tak oto każe: „[...] przyśpiewki takie jak »J...ć PiS« i okrzyki »W...ć« to nie są po prostu wulgaryzmy, ale językowa ekspresja, która ma nadać siłę przekazowi, pokazać gniew i wpłynąć na rzeczywistość. Przecież te formuły nie służą obrażeniu kogoś, one manifestują niezadowolenie i złość" (Piotr Jakub Fereński https://uni.wroc.pl/kultura-protestu/. Proponuję autorowi tej wypowiedzi wyrazić w taki sposób swoje niezadowolenie z zachowania pana Frasyniuka bezpośrednio wobec niego – nie postoi długo na nogach, gdyż krewki nasz ekshero słynie z mocnej i szybkiej ręki. Inny mędrzec próbujący zrewolucjonizować polską aksjolingwistykę to pan Michał Rusinek, sekretarz naszej wielkiej, wspaniałej Wisławy Szymborskiej, która ma szczęście nie znać jego obecnej fascynacji: „Wyraz »wypierdalać« jest niezwykły pod względem fonetycznym. Kryje w sobie brutalność, siłę, bunt, ale też wyzwolenie. Krzycząc je na ulicy, dajemy upust emocjom, pokazujemy siłę, że tak powiem, nieparlamentarnej demokracji". (https://www.newsweek.pl/polska/michal-rusinek-o-jezyku-protestowq/qttyy4x). Panie Rusinek, czy pan nie zna języka polskiego? Czy pan nie zna stokrotnie „piękniejszych" i mocniejszych bluzgów naszej pięknej mowy?! Przytoczyłbym je panu z lubością, gdyż niektóre z nich bardzo lubię, ale emitowane w przestrzeni publicznej, proszę pana, brzmią one kloacznie.

Ordynus lubi chwalić się swoją pogardą dla myślących inaczej, lubi tę swoją pogardę i umiłowanie językowego krętactwa albo rynsztoka i krzyczy: „Róbta, co chceta!", a na pełnym tolerancji, dobroci i szacunku dla innych quasi-Woodstocku każe krzyczeć radośnie młodzieży „J...ć PiS"; a kiedy zelżona przez niego kobieta, wybitna prawniczka i posłanka, domaga się w sądzie sprawiedliwości, on płacze jak baba i skarży się, że czuje się, jakby żył w państwie totalitarnym. Ten Caligari włada sercami i umysłami tysięcy nastolatków, i nie tylko zresztą, w Polsce. W Poznaniu ostatnio wtórował mu osławiony poseł, który z takąż samą uciechą zachęcał tłum młodych do skandowania tej samej urodziwej frazy „J...ć PiS!".

Jeszcze kilka lat temu niektórzy dżentelmeni krygowali się, robili ceregiele, np. pan, który dwa dni temu wyzwał polskich żołnierzy od psów i śmieci, podczas lipcowej grandy pod Wawelem w roku 2017 szpanował plakietką z ową piękną frazą – owszem, ale napisaną.... cyrylicą! Prawda, że trochę grzeczniej niż w rodzimym języku? Ale czemu akurat alfabetem Rosjan? I czemu obecnie ten sam pan zabiera głos, wprawdzie nie po rosyjsku, ale na wyraźną korzyść Rosji? Jestem tylko polonistą, więc zostawię te pytania mądrzejszym ode mnie.

> Co ma zrobić z tymi wszystkimi odrażającymi językowymi fantami szkolny polonista, który uczy kultury języka, albo wychowawca klasy, który nie zapomina o przypominaniu zasad savoir vivre'u?

* * *

Co ma zrobić z tymi wszystkimi odrażającymi językowymi fantami szkolny polonista, który uczy kultury języka, albo wychowawca klasy, który nie zapomina o przypominaniu zasad savoir vivre'u? Jak wytłumaczyć nastolatkom zapatrzonym miłośnie w tego jegomościa o wyglądzie opryszka ze zdezelowanego wesołego miasteczka, że zachowuje się nikczemnie? Czy ma im cytować poetę: „Młodzieńcze, rówieśników namów,/ Aby mniej dobrze grali chamów"? (J. Sztaudynger: „Do młodzieńców"). Wszyscy rodzice i wychowawcy wiemy, a wiedzą to także demoralizatorzy, że akurat chamstwo, prostactwo, bunt, rebelia, anarchia bywają niezwykle uwodzicielskie dla młodych dusz.

W październiku, kiedy podczas osławionej „lempartowej" gorączki uczniowie jednej z moich klas włączyli się na lekcję zdalną z awatarami eksponującymi faszystowski symbol błyskawicy tzw. strajku kobiet, nie wytrzymałem i zerwałem lekcję (słusznie dostałem za to upomnienie na piśmie), ponieważ młokosy, a w szczególności „młokoski", nie zgodziły się na usunięcie nienawistnej symboliki. W tym samym dniu dowiedziałem się, że mój 12-letni wnuk dostał naganę od wychowawcy, ponieważ zamieścił na czacie klasowym wpis zawierający ulubioną frazę totalsów „J... PiS". Moi uczniowie, podtruci oparami nienawiści, woleli posłuchać niewiasty, która miała dla wszystkich Polaków i dla młodych, a także dla dzieci znany nam wszystkim imperatyw: niszczyć, niszczyć, niszczyć wszystko, co śmierdzi etyką, moralnością, porządkiem, ładem etc. I – oczywiście – opluwać, albo słowami („Srrraaaam na was, wy psy!"), albo dosłownie (vide plucie na policjantów).

Swoją drogą trzeba ze smutkiem zapytać, gdzie byli, gdzie są w czasach chamienia obyczajów i degeneracji polskiej mowy nasze autorytety językoznawcze, nasi luminarze. Na przykład ci, którzy z taką stanowczością i swadą przekonywali o nieprzyzwoitości słowa „zajebisty", coraz częściej niedawno jeszcze promowanego w polskojęzycznych komercyjnych mediach? Jeden prof. Jerzy Bralczyk miał odwagę i honor zdystansować się wobec koszarowych zaśpiewów motłochu. Innym uczonym lingwistom dedykuję dystych Sztaudyngerowski: „Niedola wielu luminarzy:/ Jedni nie mają głowy, drudzy – twarzy" (fraszka „Niedola").

Czy można w to uwierzyć? W to, że owa drapieżna jak lampart dama dostała Nagrodę Miasta Wrocławia za swoją „walkę o demokrację"? Albo że rektorzy niektórych uczelni ogłosili 28 października godziny rektorskie, aby studenci mogli sobie pobluzgać? Trudno w to uwierzyć, ale to są fakty. Żebym był dobrze zrozumiany – to, o co toczyła się rozgrywka w tamtym czasie, było arcypoważną i arcytrudną sprawą, a protesty miały swoje istotne uzasadnienie, ale forma, jaką zastosowano, była dziczą w najczystszej postaci.

eprasa.pl 484cb83f52

Zresztą słowo „dzicz" „nie jest słowem właściwym", „nie objaśnia owego" fenomenu – tysięcy ludzi, młodzieży i dzieci trzymanych przez rodziców za ręce, krzyczących radośnie „W...lać!" albo „Dym w kościołach!". Dziki człowiek nie zna bluzgów, on ma szacunek do języka, nie zna kłamstwa, jego życie jest w całości zespolone z sacrum. „Byle czego się nie pisze" – mówi do synka niepiśmienny Kaziuk w „Konopielce", udający, że coś pisze na śniegu.

To, o czym tu biadolę, jest „spadaniem", o którym pisał już ponad pół wieku temu Tadeusz Różewicz w głośnym poemacie, z którego dwa sformułowania użyłem już w poprzednim akapicie. Z tym, że spadaniem dziejącym się w tempie szalonym. Spadaniem „poziomym", gdyż nie wiadomo, gdzie jest góra, a gdzie dół, nie ma pionowości, jest chaos horyzontalności, albowiem „w świecie współczesnym/ dno zostało usunięte/ [...] i nikt już nie może/ stoczyć się na dno/ ani leżeć na dnie". Nie ma rzeczy świętych, a więc nie ma także uwrażliwienia na rynsztok językowy. Dlatego, dla takich postmodernistycznych motywacji niektórzy utytułowani pracownicy nauki głoszą apologię owego języka ściekowego, często pisemnie, co już cytowaliśmy, a czasem nawet przez megafon, radośnie i zbereźnie dając upust wrogości do tradycji, ładu, porządku, jak to było w Szczecinie, gdzie pani profesor, na szczęście nie w todze!, wykrzykiwała właśnie takie treści.

Jak mam podać moim uczniom informacje z rozdziału podręcznika o kulturze języka, o tym, że każdego rozmówcę trzeba szanować, gdy wiedzą oni, jak wypowiedział się osławiony europoseł, były minister spraw zagranicznych, o innym polityku – pośle, na antenie wiadomej stacji TVN, czczącej, a jakże!, zasady demokracji i kultury w relacjach międzyludzkich? Pan studiował może w Oksfordzie, panie europośle, ale wyraźnie za długo palił pan pewnego dnia na balkonie papierosa w towarzystwie Ławrowa.

Albo jak mam wytłumaczyć studentom (jestem także uniwersyteckim filmoznawcą), że ulubiona aktorka Mistrza Andrzeja Wajdy była kiedyś jedną z największych dam naszego świata artystycznego, jeśli studenci mogą mi zacytować jej słynną skargę na nasz straszny porządek ustrojowy w Polsce: „Czuję, jakby codziennie ktoś na mnie srrrał"? Jak mam przekonywać moich spragnionych autorytetów adolescentów do szanowania władzy, kiedy słyszą, jak podczas jakiejś uroczystości pewien lewicowy hołysz z tłumu krzyczy do prezydenta RP: „Duda, ty ch...ju"? A inna dama, też z lewej – dziennikarskiej – strony, kilka wiosen temu, kiedy prezydent nie ustąpił naciskom opozycji, wyraziła swoją taką oto mądrość: „Duda został przecwelony". Pytam: czy to był tekst jakiegoś babska z kicia!!?? Nie, to był tekst dziennikarki!

* * *

I jeszcze jedna boleść polonisty. Tym razem nie chodzi o wulgaryzmy czy inwektywy ad personam. Tym razem idzie o obrazę ad societatem, o językowo ładne, a jakże, obrażenie wszystkich Polaków przez naszą dame avec des dreadlocks, uhonorowaną przez Szwedów Noblem. Pisarz może pobluzgać, czy to na kartach swoich utworów, czy nawet publicznie, jak agent sowiecki Hemingway (lubił pokląć, popić i zlać kogoś, no i oczywiście poszpiegować), może być niemiły i niesympatyczny dla swoich rodaków, jak Michel Houellebecq dla Francuzów, może być infantylny jak nasza dame avec des dreadlocks w swojej oracji w Akademii Królewskiej, może też jak ona opowiadać o nieistniejących światach Jungowskich. Ale nie może kłamać na temat swojego kraju i swojego narodu, nie może ich oczerniać i szkalować.

Wszystkim, którzy obecnie nie umieją powściągnąć swojego języka i nadużywają go, szkodząc w ten sposób Polsce, dedykuję jeszcze jedną fraszkę mistrza Sztaudyngera:

„Łatwiej"

Polakom łatwiej żyć bez ojczyzny
– Ta prawda z dziejów się wyłania.
Polakom łatwiej żyć jest bez ojczyzny
Niźli bez pyskowania.

Sławomir Bobowski
Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego, kierownikiem Zakładu Teorii Kultury i Sztuk Widowiskowych Instytut Filologii Polskiej UWr, polonistą i filmoznawcą

Fot. Wiola Wiaderek/Shutterstock.com

eprasa.pl 484cb83f52

Między Franciszkiem, Benedyktem a przyszłym papieżem

W kontekście kolejnych konklawe pilnego uregulowania wymagają dwie kwestie: ustąpienia Ojca Świętego oraz statusu papieża emeryta. Wszystko to ma związek z chorobą Franciszka i jego ewentualną abdykacją

GRZEGORZ GÓRNY

Na początku lipca świat obiegły zdjęcia z Rzymu przedstawiające Franciszka wiezionego na wózku inwalidzkim przez korytarze kliniki Gemellego i ściskającego ręce wzruszonym pacjentom. Ponieważ on sam był uśmiechnięty, a oficjalne komunikaty utrzymane w uspokajającym tonie, nikt nie przypuszczał, że sprawa jest poważna. Musiały minąć dwa miesiące, by w rozmowie z dziennikarzem hiszpańskiej rozgłośni radiowej COPE najważniejszy pacjent rzymskiego szpitala przyznał, iż życie uratowała mu doświadczona pielęgniarka z 30-letnim stażem. Podczas gdy inni namawiali go na leczenie antybiotykami, ona doradziła mu stanowczo operację. Decyzja okazała się słuszna, lekarze musieli usunąć pacjentowi 33 cm jelita grubego.

NOWE KONKLAWE?

Niedługo po operacji, która odbyła się 4 lipca, zaprzyjaźniony z otoczeniem Franciszka chilijski komentator religijny Luis Badilla, szef opiniotwórczego

eprasa.pl 484cb83f52

portalu Sismografo, napisał: „Jest pewien bardzo istotny szczegół, którego w tych godzinach wielu nie docenia, ignoruje lub nim manipuluje: choroba, która dotknęła papieża Franciszka, jest ciężka i zwyrodnieniowa. Może mieć też charakter przewlekły. Z pewnością Ojciec Święty powróci do Watykanu, by kontynuować swą podróż śladami Piotra, ale już nigdy nie będzie taki sam. Cała retoryka o supermenie Jorgem Mariu Bergogliu szkodzi jego wizerunkowi i charyzmie... Wie, że będzie musiał bardzo zmienić swoje życie: zmęczenie, odpoczynek, ograniczenia, odżywianie, rehabilitacyjne ćwiczenia fizyczne".

Informacja o ciężkiej i zwyrodnieniowej chorobie Franciszka sprowokowała całą serię publikacji dotyczących tzw. prekonklawe, czyli przeglądu szans potencjalnych sukcesorów do papieskiego tronu. Watykanista Sandro Magister swój tekst na blogu zatytułował: „Konklawe w zasięgu wzroku". Włoski dziennik „Libero" doniósł z kolei na pierwszej stronie: „Tamy tamy w Watykanie. Panuje atmosfera konklawe".

Tego samego dnia wspomniany portal Sismografo opublikował duży tekst na temat członków kolegium kardynalskiego. Zgodnie z obowiązującym teraz prawem, zatwierdzonym przez Pawła VI, maksymalna liczba purpuratów, którzy podczas konklawe mogą wybierać następcę św. Piotra, wynosi 120. Ten sam papież w 1970 r. postanowił, że kardynałowie, którzy ukończą 80 lat, tracą czynne prawo do udziału w konklawe. Obecnie jednak na skutek kreacji dokonywanych przez Franciszka liczba kardynałów elektorów wynosi 122, a więc dwóch więcej niż może uczestniczyć w wyborze papieża (przy czym liczba ta nie obejmuje 73-letniego Giovanniego Angela Becciu, którego proces karny toczy się obecnie w Watykanie, a którego Franciszek pozbawił wszelkich przywilejów kardynalskich we wrześniu 2020 r. w związku z oskarżeniami o malwersacje finansowe).

Obecnie wśród 122 uczestników potencjalnego konklawe znajduje się 13 purpuratów wykreowanych przez Jana Pawła II, 39 przez Benedykta XVI oraz 70 przez Franciszka. Wkrótce jednak proporcje te ulegną zmianie. Jak informuje Sismografo: „do końca 2022 r. nie będzie już 12 kardynałów elektorów". Wynika to z faktu, że w tym czasie wiek 80 lat osiągnie 12 hierarchów, wśród nich m.in. tacy dostojnicy, jak Angelo Scola, Gualtiero Bassetti i Gianfranco Ravasi z Włoch, Ricardo Blázquez Pérez z Hiszpanii, Norberto Rivera Carrera z Meksyku, André Armand Vingt-Trois z Francji czy Óscar Andrés Rodríguez Maradiaga z Hondurasu. To sprawi, że w rok 2023 Kościół wejdzie ze 110 papieskimi elektorami.

> Franciszek po wyjściu ze szpitala w rozmowie z radiem COPE zdementował, jakoby miał zamiar podawać się do dymisji. Powiedział ze śmiechem: „Kiedy papież jest chory, wieje wiatr lub huragan konklawe". Jednak we wcześniejszych wypowiedziach nie wykluczał swego przejścia na emeryturę

Zdaniem dobrze poinformowanego Sismografo „te dane dają podstawy do prawdopodobieństwa, iż do końca przyszłego roku lub w pierwszych miesiącach kolejnego papież Franciszek zwoła swój ósmy konsystorz w celu powołania nowych kardynałów, w szczególności elektorów". Wówczas należy się spodziewać wykreowania 10 kolejnych purpuratów. Jeśli do tego dojdzie, wybrańcami zostaną zapewne zwolennicy linii duszpasterskiej obecnego pontyfikatu, mający zagwarantować jego ciągłość. Wśród tzw. papabile, czyli głównych pretendentów do sukcesji po Franciszku, najczęściej wymieniane są nazwiska trzech kardynałów: Luisa Tagle (prefekta Kongregacji Ewangelizacji Narodów), Mattea Zuppiego (metropolity Bolonii) i Pietra Parolina (watykańskiego sekretarza stanu).

TRZECH PAPIEŻY?

Watykaniści zadają sobie pytanie nie tylko o przyszłego papieża, lecz także o sposób odejścia obecnego. Czy Franciszek zdecyduje się trwać na tronie Piotrowym, mimo ciężkiej choroby, do końca (jak Jan Paweł II), czy też abdykować (jak Benedykt XVI)? Sam zainteresowany już po wyjściu ze szpitala we wspomnianej rozmowie z radiem COPE zdementował, jakoby miał zamiar podawać się do dymisji. Powiedział ze śmiechem: „Kiedy papież jest chory, wieje wiatr lub huragan konklawe".

Komentatorzy przypominają jednak inne wypowiedzi Franciszka. W maju 2014 r. stwierdził on: „Wierzę, że biskup Rzymu, papież, gdy jego siły słabną – bo teraz żyjemy tak długo – musi zadać sobie te same pytania, które zadał sobie papież Benedykt". Miesiąc później w wywiadzie dla „La Vanguardia" wyznał: „Papież Benedykt wykonał bardzo wielki gest... Ponieważ żyjemy dłużej, osiągamy wiek, w którym nie możemy dalej zajmować się sprawami. Zrobię to samo, poproszę Pana, kiedy nadejdzie czas i powie mi, co mam robić, a na pewno mi powie". W lutym 2019 r. w rozmowie z argentyńskim dziennikarzem Nelsonem Castro na pytanie, jak wyobraża sobie swoją śmierć, odpowiedział: „Jako papież, urzędujący lub emerytowany. W Rzymie. Nie wrócę do Argentyny".

Tak więc Franciszek nie wyklucza swego przejścia na emeryturę. Gdyby stało się to za życia Benedykta XVI, mielibyśmy do czynienia z wyjątkową sytuacją, a mianowicie ze współistnieniem trzech papieży. Co prawda zdarzyło się to już raz w historii Kościoła – na początku XV stulecia, tyle że wówczas rywalizowali oni ze sobą: dwóch okazało się antypapieżami, a tylko jeden prawowitym następcą św. Piotra. Teraz jest nieco inaczej.

Fot. Grzegorz Gałązka/Mondadori Portfolio/Sipa USA/East News

eprasa.pl 484cb83f52

Pilnego uregulowania wymaga zresztą obecna sytuacja, w jakiej znajduje się Stolica Apostolska, a mianowicie funkcjonowanie obok siebie dwóch papieży. Prawo kanoniczne nie przewiduje bowiem istnienia takiej funkcji jak papież emeryt. Nie ma on prawa istnieć, a jednak... istnieje. Nikt w związku z tym nie wie, jakie przysługują mu prawa i przywileje. Decyzja Benedykta XVI, by zostawić sobie taki tytuł, wprowadziła ogromne zamieszanie w życie Kościoła hierarchicznego.

Najmocniej protestował przeciw niej kard. Walter Brandmüller, notabene osobisty przyjaciel Josepha Ratzingera, który z ubolewaniem stwierdzał, że wraz z rezygnacją Benedykta w jednej chwili zniszczona została dwutysiącletnia tradycja Kościoła. Jego zdaniem pozostawienie takiej luki prawnej w prawie kanonicznym, jak nieistniejący status papieża emeryta, mogłoby w przyszłości zagrozić jedności katolicyzmu, dlatego wyraził on nadzieję, iż wkrótce doczekamy się „prawnej regulacji dymisji papieskiej".

PONTYFIKAT WYJĄTKOWY?

W obliczu tej niepewności oraz pogarszającego się zdrowia Franciszka watykaniści spodziewają się, że ogłosi on w najbliższym czasie list apostolski w formie motu proprio, w którym ureguluje kwestię „papiestwa emerytowanego".

W zamyśle Benedykta XVI miała to być decyzja wyjątkowa. Tak przynajmniej tłumaczył to w swym głośnym przemówieniu w 2016 r. jego osobisty sekretarz abp Georg Gänswein, mówiąc o „pontyfikacie wyjątkowym" na wzór „stanu wyjątkowego", a więc pewnego (uzasadnionego wyższą koniecznością) odstępstwa od reguły. W nowym dokumencie Franciszka ów wyjątek może stać się jednak normą. Komentatorzy spekulują, że może on wprowadzić wiek emerytalny dla papieża i ustalić go np. na 85. rok życia. Tyle lat miał Benedykt XVI, gdy ustąpił w lutym 2013 r. Tyle lat osiągnie też Franciszek w grudniu 2022 r.

Część historyków Kościoła uważa, że byłby to dalszy ciąg ewolucji zapoczątkowanej po Soborze Watykańskim II. Wiek emerytalny dla biskupów (75 lat) wprowadził dopiero Paweł VI w 1970 r. W kodeksie prawa kanonicznego taki zapis pojawił się dopiero w 1983 r. Instytucja papieża emeryta miałaby być więc analogiczna do emerytowanego biskupa.

W tym miejscu rodzi się jednak zasadniczy problem. Biskup, który przechodzi na emeryturę, traci władzę nad diecezją, jednak nie przestaje być biskupem, ponieważ jego godność wynika ze święceń biskupich. W przypadku papieża sytuacja jest odmienna, ponieważ nie ma czegoś takiego jak święcenia papieskie. Każdy papież w porządku sakramentalnym jest biskupem. Jako biskup Rzymu przejmuje urząd papieski. Zrzekając się tego urzędu, zrzeka się więc tytułu papieża, lecz nadal pozostaje biskupem. Tak rozumiano to w Kościele przez dwa tysiące lat. Decyzja Benedykta XVI o stworzeniu funkcji papieża emeryta stanowi więc nie tylko wyłom w historii Kościoła, lecz także naruszenie wewnętrznej logiki prawa kanonicznego. Trudno byłoby na gruncie tego prawa usankcjonować w ogóle istnienie takiej funkcji. Dlatego kard. Brandmüller wyrażał nadzieję, iż był to akt jednorazowy, który więcej się nie powtórzy.

Okazuje się jednak, że wyobrażalna jest kolejna abdykacja z powodu złego stanu zdrowia. Spodziewany dokument Franciszka w formie motu proprio miałby tego typu sytuacje regulować. Gdyby nowe prawo ustanawiało próg wiekowy ustąpienia papieża (np. po ukończeniu 85 lat), wówczas pojawiłby się kolejny problem kanoniczny. Obecnie obowiązujące przepisy mówią, że decyzję o swej rezygnacji papież musi podjąć w całkowitej wolności, bez żadnych nacisków z zewnątrz. W tej sytuacji wiekowe ograniczenie posługi papieskiej stanowiłoby poważne naruszenie jego wolności, ponieważ zmuszałoby go do abdykacji, odbierając swobodę wyboru.

KOLEKTYWNE PAPIESTWO?

Tego rodzaju problemów jest znacznie więcej. Nie ma np. opracowanej formuły oficjalnej abdykacji papieskiej. Benedykt XVI, który tekst swojej rezygnacji ułożył sam, użył sformułowań budzących poważne spory wśród kanonistów. Część z nich zwraca uwagę, że wyrzekł się on nie tyle samego urzędu papieża (munus), ile czynnej formy sprawowania tego urzędu (ministerium). Skorzystanie z tej właśnie formuły uzasadnia posługiwanie się przez niego tytułem papieża emeryta. Oznacza to jednak, że godność papieska może być podzielna na dwie osoby. O tym właśnie mówił osobisty sekretarz Benedykta XVI, wspomniany już abp Georg Gänswein, który twierdził, że dziś mamy do czynienia z dwoma wymiarami posługi papieskiej: aktywnym, czynnym, duszpasterskim (Franciszek) i biernym, modlitewnym, kontemplatywnym (Benedykt). Taka konstrukcja jest jednak niezgodna z całą dwutysiącletnią tradycją Kościoła, która nigdy nie dopuszczała istnienia naraz dwóch prawowitych papieży.

Jako poważny problem uznał to także kard. George Pell, który w swym dzienniku więziennym napisał: „Przepisy dotyczące roli papieża po rezygnacji wymagają wyjaśnienia, po to by wzmocnić jedność Kościoła. Chociaż papież w stanie spoczynku może zachować tytuł papieża emeryta, powinien zostać przywrócony do kolegium kardynalskiego, ma być tam znany jako kardynał X, papież emeryt, nie powinien nosić białej sutanny papieskiej i nie powinien nauczać publicznie".

Wielu komentatorów najbardziej niepokoi jednak coś innego. Ustanowienie instytucji emerytowanego papiestwa stanowiłoby poważny krok na drodze do desakralizacji urzędu Piotrowego. Nieprzypadkowo papież nazywany jest Ojcem Świętym, z ojcostwa zaś nie można zrezygnować. Namiestnik Chrystusa na ziemi, przechodzący na emeryturę, przekształciłby się w kogoś w rodzaju prezesa międzynarodowej korporacji, kończącego swe urzędowanie i udającego się na zasłużony odpoczynek. Nie przypominałby już następcy św. Piotra, któremu Chrystus powiedział: „Gdy byłeś młodszy, sam się przepasywałeś i chodziłeś, dokąd chciałeś; lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a kto inny cię przepasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz".

eprasa.pl 484cb83f52

Broń jądrowa w Polsce? Czas zacząć działać

Jeżeli w Niemczech wygrają zwolennicy denuklearyzacji kraju, to Polska, wobec agresywnej polityki Rosji, powinna sprowadzić nad Wisłę amerykańskie ładunki jądrowe. Dlaczego? Bo tylko one mogą zagwarantować nam bezpieczeństwo

MAREK BUDZISZ

Fot. Shutterstock

Ostatnie, przeprowadzone w 2017 r. przez rosyjskie i białoruskie siły zbrojne, ćwiczenia Zapad kończyły się symulowanym uderzeniem nuklearnym na cele przeciwnika. Zdaniem ekspertów, takich jak choćby doradzający w kwestiach bezpieczeństwa Joemu Bidenowi w czasie kampanii wyborczej Michèle Flournoy i Jim Townsend, jest to element rosyjskiej strategii określanej mianem „eskalacji celem deeskalacji". Przewiduje on użycie ładunków jądrowych w czasie konfliktu zbrojnego po to, by pokazać przeciwnikowi, że Moskwa może posunąć się tak daleko, a w związku z tym nie warto przeciągać konfliktu i lepiej zawrzeć pokój na jej warunkach. Z tego też powodu Putin, oferując „europejską przestrzeń bezpieczeństwa", dba o to, by rosyjska przewaga w zakresie głowic nuklearnych o charakterze niestrategicznym, czyli takich, które mogą razić cele w Europie, ale już nie dolecą do Ameryki, była przygniatająca.

Najwięksi optymiści z grona amerykańskich ekspertów są zdania, że w rosyjskich arsenałach jest obecnie 840–1000 głowic nuklearnych, które mogą być przenoszone na odległość do 500 km, natomiast pesymiści, że może ich być nawet 5,4 tys. Scenariusze gier wojennych przeprowadzanych przez USA po konflikcie w Donbasie i aneksji Krymu zakładały, że Rosja dysponuje potencjałem 2 tys. głowic zamontowanych

eprasa.pl 484cb83f52

na niestrategicznych platformach ich przenoszenia. NATO może im przeciwstawić w najlepszym razie maksimum 500. To efekt ugruntowanego po rozpadzie ZSRR przekonania Stanów Zjednoczonych, że Europa nie jest zagrożona ze strony Rosji oraz że prawdopodobieństwo, iż stanie się teatrem działań wojennych, jest niewielkie, a w związku z tym nie ma sensu zwiększania potencjału odstraszania, w tym nuklearnego. Tylko że teraz żyjemy już w innych czasach, a problem europejskiego bezpieczeństwa nuklearnego sam się nie rozwiąże.

Zresztą światowy trend polega na tym, że wszystkie mocarstwa dysponujące ładunkami jądrowymi modernizują swoje arsenały i zwiększają liczbę głowic. Ostatnio o działaniach w tym kierunku poinformowała Wielka Brytania. Jak napisał Bo Ram Kwon, ekspert z Korea Institute for Defense Analyses (KIDA), o wejściu do grona mocarstw nuklearnych, w obliczu rysujących się zagrożeń, coraz głośniej mówi się w Seulu i Tokio.

NIEMIECKI PROBLEM

Paradoksalnie państwa kontynentalnej Europy, które nie dysponują własnym potencjałem nuklearnym, bo te, które są w innej sytuacji, jak choćby Francja, nawet nie myślą o rozbrojeniu, chcą podążać w zupełnie innym kierunku, tak jakby zagrożenie ze strony Rosji zniknęło. Głównym problemem są Niemcy, w których powyborczy układ sił może doprowadzić do decyzji o wycofaniu się z Nuclear Sharing, programu, który został w czasach zimnej wojny wdrożony po to, by państwa niebędące mocarstwami nuklearnymi, a należące do NATO, nie tylko cieszyły się z amerykańskiego parasola, ale by ich siły zbrojne były przygotowane do wspólnego z Amerykanami działania. Steven Pifer, ekspert w Brookings, wpływowym amerykańskim liberalnym think tanku, napisał nawet niedawno, że program ten przewiduje przekazanie przez Stany Zjednoczone do dyspozycji sojuszników w Europie ładunków jądrowych w razie konfliktu.

Mniej niż trzy tygodnie przed wyborami parlamentarnymi w Niemczech na prowadzeniu są nadal socjaldemokraci, a żadna z trzech głównych partii nie przekracza 25 proc. poparcia. Najpopularniejszym kandydatem na kanclerza jest uznawany za dość bezbarwnego technokratę Olaf Scholz z SPD. Nie przesadzając, jakim wynikiem skończą się wybory, już dziś można zaryzykować tezę, że nowa koalicja będzie się różniła dość znacznie od obecnie rządzącej. Nawet jeśli odrzucimy pogląd, że możliwa jest rewolucyjna zmiana, czyli odejście chadeków do opozycji i zbudowanie koalicji przez socjaldemokratów, Zielonych i FDP, to i tak niemiecką politykę czekają zmiany. Zresztą budowa nowego rządu może trwać długo. Skoro po poprzednich wyborach negocjowanie umowy koalicyjnej trwało sześć miesięcy, teraz, w nowych realiach, wcale nie musi być szybsze, a nowy kanclerz z pewnością będzie mieć słabszą pozycję niż ustępująca Merkel.

> „Jestem przeciwnikiem stacjonowania broni atomowej w Niemczech, przeciw pełnomocnictwom, aby nią dysponować i tym bardziej przeciwko jej użyciu" – powiedział współprzewodniczący niemieckiej socjaldemokracji Norbert Walter-Borjans

Innymi słowy, Niemcy wkroczą w czas politycznych turbulencji, kształtowania się nowych relacji między rządzącymi partiami i budowy spójnego programu nowego rządu. Nie wpłynie to pozytywnie na skłonność do podejmowania trudnych decyzji związanych choćby z obronnością, które niezależnie od fazy sezonu politycznego muszą zostać wprowadzone w życie. Chodzi w tym przypadku m.in. o kwestię dalszego udziału Niemiec w systemie Nuclear Sharing, będącym jednym z elementów amerykańskiego parasola nuklearnego nad Europą. Tobias Bunde, kierujący zespołem analitycznym Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, który co roku publikuje raport na temat głównych wyzwań stojących przed światem euroatlantyckim, napisał niedawno, że istnieje realne zagrożenie wyjścia Niemiec z tego programu, a politycy państw NATO nie są przygotowani na taki scenariusz. Co prawda, jak zauważył, na ostatnim szczycie paktu północnoatlantyckiego europejscy członkowie Sojuszu opowiedzieli się za utrzymaniem nuklearnego charakteru NATO, jednak wydarzenia mogą przyspieszyć, zaskakując elity strategiczne państw europejskich. Bunde zwraca również uwagę na to, że w świetle badań opinii publicznej 66 proc. Niemców opowiada się za całkowitą denuklearyzacją swego kraju, co z kolei skłania siły polityczne stojące na lewo od chadecji, aby wprowadzać tego rodzaju postulaty do swego programu.

Niemieccy Zieloni, na swej marcowej platformie wyborczej, opowiedzieli się za „nowoczesną Bundeswehrą", odrzucili „arbitralny" pułap 2 proc. wydatków na cele wojskowe w relacji do PKB, zadeklarowali wolę odejścia od „przestarzałych doktryn powstrzymywania z czasów zimnej wojny" i postulują, aby ich ojczyzna była krajem „wolnym od broni atomowej". Zwłaszcza ten ostatni zapis jest intrygujący, bo to za rządów przyszłej koalicji, której częścią raczej na pewno będą Zieloni, ma być przesądzona kwestia zakupu przez Luftwaffe samolotów F-18 Super Hornet, których posiadanie jest warunkiem uczestnictwa Niemiec w programie Nuclear Sharing. Dotychczas eksperci byli zdania, że gdyby Niemcami miał rządzić zielono-chadecki tandem, to ci pierwsi byliby skłonni do rozwiązań kompromisowych, ale nastawienie socjaldemokratów, którzy mogą objąć urząd kanclerza, jest jeszcze bardziej, w kwestii denuklearyzacji Niemiec, radykalne. Rolf Mützenich, kierujący frakcją socjaldemokratyczną w Bundestagu, powiedział w zeszłym roku w wywiadzie dla dziennika „Der Tagesspiegel", że jego zdaniem amerykańskie bomby atomowe składowane na terytorium Niemiec nie zwiększają bezpieczeństwa kraju, ale na odwrót, powodują znaczne jego zmniejszenie. Po tym jak w Niemczech rozgorzała dyskusja na ten temat, napisał artykuł, w którym argumentował, że w istocie wpływ Berlina na amerykań-

eprasa.pl 484cb83f52

skie decyzje w kwestiach nuklearnych jest iluzoryczny, a w czasach po pandemii COVID-19 wydatki na niepotrzebne, jego zdaniem, programy zbrojeniowe, powinny być cięte, a nie zwiększane. W opinii Mützenicha nie stałoby się nic złego, jeśli Niemcy odstąpiłyby od propozycji zakupu myśliwców F-18 Super Hornet (co oznacza faktyczne wyjście Berlina z wojskowej części programu), a pozostali jedynie w politycznym Komitecie Planowania Strategicznego. Stanowisko Mützenicha poparł wówczas współprzewodniczący niemieckiej socjaldemokracji Norbert Walter-Borjans, który powiedział, że jego opinia jest prosta: „Jestem przeciwnikiem stacjonowania broni atomowej w Niemczech, przeciw pełnomocnictwom, aby nią dysponować i tym bardziej przeciwko jej użyciu".

ANTYNUKLEARNE NASTROJE W BELGII, HOLANDII I WE WŁOSZECH

Jeśli Niemcy będą zwlekać z decyzjami niezbędnymi, aby przedłużyć ich uczestnictwo w programie Nuclear Sharing, to mogą, z racji swej pozycji w Europie, uruchomić efekt domina. Warto przypomnieć w tym kontekście, że w parlamencie belgijskim w styczniu 2020 r. głosowano rezolucję wzywającą Stany Zjednoczone do wycofania ładunków nuklearnych z bazy w Kleine-Brogel. Przepadła ona wówczas wynikiem 74 głosów przeciw wobec 66 za, ale w lutym tego roku sytuacja znacząco się zmieniła w obliczu podpisania przez pięć partii, po 500 dniach negocjacji, porozumienia przewidującego powołanie koalicji rządowej. Jednym z elementów porozumienia programowego jest nie tylko przyłączenie się Belgii do grupy państw popierających traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (TPNW), który przewiduje denuklearyzację państw sygnatariuszy, ale zajęcie aktywnej pozycji w tej sprawie i zorganizowanie w Brukseli kongresu państw opowiadających się za nuklearnym rozbrojeniem. Jak się wydaje, oczywiście o ile rządząca Belgią koalicja nie zmieni zdania, przyszłość amerykańskiej bazy, w której składowane są bomby jądrowe, jest przesądzona.

Rząd Holandii był dotąd przeciwny uczestnictwu kraju w TPNW, jednak nastawienie opinii publicznej w tej sprawie jest diametralnie odmienne. Z przeprowadzonych w styczniu tego roku badań wynika, że 78 proc. społeczeństwa chciałoby uczestnictwa Holandii w tym porozumieniu, co musiałoby doprowadzić do likwidacji bazy w Volkel, w której, według ostatnich danych, składowanych jest 20 amerykańskich ładunków nuklearnych. Rząd Holandii, mając świadomość stanu nastrojów społecznych, dotychczas nie ujawniał informacji ani na temat tego, że na terenie kraju w ogóle znajdują się ładunki nuklearne, ani tym bardziej ich liczby. Wydaje się jednak, że tego rodzaju polityka w najbliższej przyszłości, w związku z narastaniem nastrojów antyamerykańskich i pacyfistycznych w Europie, nie będzie mogła być kontynuowana.

W gruncie rzeczy bardzo podobnie wygląda nastawienie opinii publicznej we Włoszech, gdzie znajdują się dwie amerykańskie bazy (Aviano i Ghedi), w których, według dostępnych informacji, mają być umieszczone ładunki jądrowe. I tam liczba przeciwników amerykańskiej obecności nuklearnej kształtuje się na poziomie 80 proc. Nawet jeśli włoski rząd będzie kontynuował dotychczasową politykę w tym zakresie, powstaje pytanie, czy wobec zmian nastrojów w Niemczech i Belgii program Nuclear Sharing będzie kontynuowany przez Stany Zjednoczone? Tym bardziej że wiosną tego roku eksperci ujawnili, iż Waszyngton wycofał swoje ładunki jądrowe z tureckiej bazy İncirlik. Czy trwająca właśnie procedura Posture Review, oceny przydatności 700 amerykańskich baz wojskowych zlokalizowanych poza granicami kraju, nie skłoni Waszyngtonu, wobec niechęci państw i społeczeństw europejskich do partycypowania w programie, do decyzji o zwinięciu parasola nuklearnego nad Europą, a przynajmniej tej jego części, która obejmuje taktyczne ładunki jądrowe?

Strategia „stawiania na Niemcy", jaką w sprawach transatlantyckich realizuje administracja Bidena, przynosi jak dotąd ograniczone efekty. Jak napisał na łamach „Financial Times" Edward Luce, między obecnym prezydentem Stanów Zjednoczonych a jego poprzednikiem różnice w kwestiach europejskich sprowadzają się „w gruncie rzeczy do retoryki", a do starych podziałów dochodzą nowe. Niemcy nie mają zamiaru wycofywać się z rynku chińskiego, a ostatnia decyzja Komisji Europejskiej o nowych ograniczeniach komunikacyjnych dla Amerykanów jest lepszym miernikiem rzeczywistych intencji niż najbardziej kwieciste deklaracje.

Choć nie maleje presja wywierana przez Waszyngton na sojuszników, aby ci w większym stopniu odpowiadali za własne bezpieczeństwo (pieniądze), niewiele się zmienia. Może zatem dojść do sytuacji, kiedy Amerykanie, zmęczeni niezdecydowaniem Europejczyków i politycznym patem w Berlinie, ograniczą swoje zaangażowanie zarówno w program Nuclear Sharing, jak i szerzej, nuklearne gwarancje dla Europy. Gdyby tak się miało stać, to bezpieczeństwo Polski uległoby poważnemu osłabieniu, co już winno skłaniać nasz rząd do rozpoczęcia energicznej akcji.

POLSKA I RUMUNIA MUSZĄ ZADBAĆ O BEZPIECZEŃSTWO

Tego rodzaju scenariusz, nawet jeśli uznać go za teoretyczny, wymusza działanie państw NATO, których bezpieczeństwo jest najbardziej zagrożone, czyli przede wszystkim, z racji potencjału, Polski i Rumunii. Zeszłoroczna wypowiedź ambasador Mosbacher, która zasugerowała, że w razie dalszej zwłoki Berlina w sprawie zakupu samolotów zdolnych do przenoszenia ładunków jądrowych Waszyngton może rozważyć przeniesienie ich do Polski, pokazuje, że przynajmniej w części amerykańskiej klasy politycznej idea rozszerzenia programu Nuclear Sharing o Polskę i Rumunię może być dobrze przyjęta.

John Bolton napisał niedawno na łamach „The Wall Street Journal", że po Afganistanie administracja Bidena musi pokazać swoją stanowczość wobec Chin i Rosji, co powinno przyjąć kształt współpracy Stanów Zjednoczonych „z koalicjami subnatowskimi, głównie z Europy Środkowej i Wschodniej" po to, by powstrzymywać Rosję i tłumić agresywne instynkty Putina.

W Polsce są już amerykańskie instalacje rakietowe mogące przenosić ładunki jądrowe, a zakup F-35 da nam techniczne możliwości uczestnictwa w programie Nuclear Sharing. Czas na energiczną akcję polityczną zmierzającą do sprowadzenia nad Wisłę amerykańskich ładunków jądrowych.

eprasa.pl 484cb83f52

Tajemnice Wawelu

Wawel to wielka synteza naszych losów i naszych chęci. Zestawiając kalendarium Wawelu z kalendarium Rzeczypospolitej, widzimy, że tak naprawdę zlewają się one w jedno. Patrząc chociażby na krużganki – okazałość dziedzińca obrazuje, jak duże znaczenie w XVI stuleciu miała Polska

Z prof. Andrzejem Betlejem, dyrektorem Zamku Królewskiego na Wawelu, rozmawia Piotr Słabek

Wawel to w powszechnej świadomości przede wszystkim komnaty, katedra, miejsce pochówku królów. Czym oprócz tego jest Wawel?

Andrzej Betlej: Mówiąc o Wawelu, mamy do czynienia z dwiema rzeczywistościami. Pierwsza wynika z historycznego znaczenia tego miejsca, w jak najszerszym tego słowa rozumieniu. To rezydencja królów, miejsce, które łączy się z dziejami państwowości i narodu. Z natury rzeczy ten aspekt odwołuje się do pewnych stałych wartości, pewnych imponderabiliów. Z jednej strony zatem wizerunek Wawelu jako ostoi, skały, punktu odniesienia do losów Rzeczypospolitej i jej historii nie tylko dziejowej, lecz także artystycznej – jest tutaj oczywisty. Z drugiej strony możemy rozumieć Wawel jako instytucję muzealną, której zadaniem jest ochrona i przekazywanie dziedzictwa.

Pomimo że w spojrzeniu z zewnątrz instytucja ta może się wydawać czymś stałym, w rzeczywistości jednak wciąż się zmienia. Aktywność muzeum, zwłaszcza w ostatnich kilkunastu miesiącach, wyraźnie pokazuje, że Wawel to miejsce, które można odkrywać wciąż na nowo. Poszerzamy kolekcję eksponatów, tworzymy nowe

Fot. Anna Stankiewicz

eprasa.pl 484cb83f52

wystawy. Otwieramy przestrzenie wystawiennicze, które dotychczas nie były znane lub udostępniane.

Pokutuje pewne stereotypowe spojrzenie na to miejsce: „Byłem na Wawelu raz czy dwa razy w życiu – to wystarczy". Tymczasem muzeum wciąż oferuje coś nowego. Nawet to, co jest klasyczną częścią naszych zbiorów, jak kolekcja arrasów, staramy się pokazywać w nowym świetle tak, aby umożliwiać coraz lepsze zrozumienie historii tego miejsca.

Nawiązując do historii tego miejsca, moglibyśmy powiedzieć, że dzieje wzgórza wawelskiego są w pewnym sensie odbiciem dziejów Polski, jej wzlotów i upadków...

To prawda. Myślę, że z wielu określeń Wawelu jednym z najtrafniejszych jest to: Wawel to wielka synteza naszych losów i naszych chęci. Zestawiając kalendarium Wawelu z kalendarium Rzeczypospolitej, widzimy, że tak naprawdę zlewają się one w jedno. Patrząc chociażby na krużganki – okazałość dziedzińca obrazuje, jak duże znaczenie w XVI stuleciu miała Polska. Od dekad sprzed II wojny światowej aż po dziś na Wawelu odbywają się najważniejsze wydarzenia historyczne oraz dyplomatyczne, dość wspomnieć jubileuszowy zjazd premierów grupy V4, który z okazji 30-lecia formatu odbył się w lutym tego roku.

Które okresy z historii Wawelu są najmniej znane?

Wydaje mi się, że najtrudniejszym okresem do zaprezentowania jest wiek XVIII. Zamek wykorzystywany był wówczas incydentalnie, prowadzono prace restauracyjne. Jedynie okres końcowy, gdy pojawiła się słynna sala kolumnowa na I piętrze, jest nieco lepiej rozpoznany. Wawel nie odgrywał w XVIII w. roli miejsca, w którym odbywały się wielkie wydarzenia historyczne (poza pogrzebami i koronacjami królów). Jest to najsłabiej rozpoznany okres, któremu poświęcone będą nasze badania i konferencje naukowe.

Jaki wpływ na funkcjonowanie wzgórza wawelskiego miało przeniesienie stolicy do Warszawy?

Przeniesienie miejsca przebywania króla na przełomie XVI i XVII w. w zdecydowany sposób umniejszyło rangę rezydencji. Nie czyniono większych inwestycji budowlanych wynikających z państwowego mecenatu. Zamek został spustoszony przez Szwedów – i w połowie XVII w., i na początku XVIII stulecia. Trzeba jednak pamiętać, że pomimo przeniesienie miejsca rezydencji królewskiej do Warszawy cały czas na wzgórzu wawelskim funkcjonował skarbiec koronny, czyli jedna z podstawowych instytucji Rzeczypospolitej. To w nim przechowywano regalia, czyli insygnia królewskie – przedmioty będące oznakami władzy króla. Utratą splendoru i odarciem z majestatu Rzeczypospolitej było zajęcia Krakowa i znamienne włamanie do skarbca oraz zrabowanie insygniów koronnych przez Prusaków w 1795 r. – ważna data, jeśli chodzi o wzgórze wawelskie oraz rzecz jasna całą Rzeczypospolitą.

Czy po przeniesieniu stolicy do Warszawy królowie wciąż przyjeżdżali na Wawel?

Należy to rozpatrywać w odniesieniu do poszczególnych władców. I tak w przypadku obu Wettynów – byli oni zobowiązani do co najmniej półrocznego pobytu w Warszawie. Drugie pół mieli spędzać w Dreźnie, w związku z powyższym w naturalny sposób Kraków oraz Wawel pozostawały poza sferą ich zainteresowania. Zresztą wszystkie nici polityczne ciągnęły w kierunku Warszawy. Pod tym względem rzeczywiście można powiedzieć o pewnej obojętności niektórych władców w stosunku do wzgórza wawelskiego. Jakieś jaskółki zainteresowań pojawiły się za czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego, choć miało to charakter incydentalny. Kraków w olbrzymiej Rzeczypospolitej, nawet po pierwszym rozbiorze, pozostawał miastem, z którego do granicy było stosunkowo niedaleko. To nie było miasto, które topograficznie znajdowało się w sercu Rzeczypospolitej.

W kontekście ważnych dla zamku postaci znamy przede wszystkim królów. O jakich jeszcze ludziach związanych z Wawelem warto wiedzieć?

Jeśli chodzi o Wawel w postaci znanej nam dziś, a który został na nowo wykreowany w końcu XIX w., to należy wspomnieć kilka wyjątkowych osobistościach. Prof. Adolf Szyszko-Bohusz, człowiek, który de facto ukształtował i wypromował w dwudziestoleciu międzywojennym Wawel. To on wyznaczył kierunek odbudowy i restauracji tego miejsca. Ponad ćwierćwiecze brał udział w tej spektakularnej inwestycji. To człowiek, który autentycznie żył Wawelem, myślał w kategoriach reprezentacji tego miejsca, jednocześnie podchodząc czasem do spuścizny w sposób swobodny. Do tej pory poznawać go można nie tylko jako wybitnego modernistę, architekta, lecz również pewnego rodzaju kreatora wizerunku tego miejsca. Ten aspekt umyka często tym, którzy mówią o Szyszko-Bohuszu jako twórcy.

Z mniej znanych postaci – mnie osobiście, a wynika to być może z funkcji, jaką pełnię – fascynują te związane z okresem tworzenia muzeum oraz rezydencji po 1945 r. Pojawiła się tutaj swego rodzaju kolonia lwowska, wyjątkowych postaci ekspatriowanych ze Lwowa – wszak pierwszym dyrektorem muzeum był Tadeusz Mańkowski, wybitny historyk sztuki. Na czele innej instytucji wawelskiej, Kierownictwa Odbudowy Zamku, stanął wybitny architekt Witold Minkiewicz, a następnie Alfred Majewski, który wcześniej odbudowywał zamki i rezydencje, zajmując się pracami konserwatorskimi we Lwowie.

Powstało tutaj niesamowite środowisko intelektualne składające się ze znakomitych znawców historii sztuki i architektury, na wzgórzu mieszkali bowiem i Adam Bochnak, i Jerzy Szablowski. Nieco zapomnianą kartą historii wzgórza wawelskiego jest również aktywność wielu wybitnych archeologów, którzy pracowali na Wawelu – tak naprawdę dzięki ich pracy możemy oglądać to, co obecnie prezentujemy na ekspozycji „Wawel zaginiony".

Jakie znaczenie dla odbudowy Wawelu miało odzyskanie niepodległości?

eprasa.pl 484cb83f52

Nie tylko umożliwiło odbudowę, lecz i bardzo ją przyspieszyło. Wspomniałem już o roli Adolfa Szyszko-Bohusza, który bardzo dobrze rozumiał wzgórze wawelskie pod względem historycznym i podkreślał jego znaczenie dla kraju, jako miejsca kluczowego w historii Polski. Spotkał się on z wyjątkowo przychylnym odbiorem instytucji odradzającego się państwa. Podkreślę raz jeszcze, że Adolf Szyszko-Bohusz był szczególnym architektem i wizjonerem. Zdumiałby się pan, widząc projekt przebudowy wzgórza wawelskiego jego autorstwa. Wszyscy mamy w głowie wspaniały projekt „Akropolis" Stanisława Wyspiańskiego, którego rozmach do dnia dzisiejszego może służyć jako źródło inspiracji i wizualizacji roli Wawelu. Ten projekt zakładał powstanie na Wawelu pomieszczeń Sejmu, Senatu, Parlamentu Odrodzonej Rzeczypospolitej, siedziby Polskiej Akademii Umiejętności. Oprócz tego zagospodarowane miało być otoczenie Wawelu, powstać miały teatr, muzeum narodowe.

Ekspozycja „Wawel odzyskany", na którą gorąco zapraszam, zestawia model Wyspiańskiego z projektem Szyszko-Bohusza, który utrzymany jest w zupełnie innym stylu. Proponuje budowle zaskakujące, wielki plac z kolumnadą i pomnikiem Piłsudskiego. Szyszko-Bohusz był człowiekiem bezkompromisowym, myślał w kategoriach Wawelu i jego znaczenia. Niektóre elementy, do których jesteśmy w tym momencie przyzwyczajeni, jako wrośniętych w wizerunek Wawelu, chociażby loggia od strony ulicy Grodzkiej – są kreacjami Szyszko-Bohusza. Rozumiał on, że Wawel powinien mieć takie miejsce, w którym Krakowowi przyglądać się mogła królowa Bona. Loggia królowej Bony to dobry przykład architektonicznej kreacji z jednej, a żywego podejścia do historii z drugiej strony.

Nawiązując jeszcze do „Wawelu odzyskanego", jak wyglądał proces odzyskiwania Wawelu?

Na skutek uchwały Sejmu Galicyjskiego z 1880 r. zamek wawelski został przekazany na rezydencję cesarza Franciszka Józefa, co pozwoliło wyprowadzić ze wzgórza wawelskiego wojska austriackie, które miały tutaj swoje koszary. Był to jeden z ciekawszych wybiegów politycznych. Dzięki niemu uzyskano dostęp do miejsc, które były dotychczas wykorzystywane przez wojsko i dlatego niedostępne. Gdy powołano w 1905 r. Kierownictwo Odnowienia Zamku Królewskiego i rozpoczęto prace restauracyjne, tak naprawdę stało się to w pewnych aspektach pisaniem historii Polski na nowo.

> Wawel jest miejscem snucia opowieści. Tę o wzgórzu prezentują nasze wystawy – „Wawel zaginiony", a także „Wawel odzyskany". Myślę, że nowa odsłona wnętrz wawelskich, ekspozycja, nad którą obecnie pracujemy, również na to pozwoli

Co zastano na Wawelu? W jakim stanie był zamek? Jak wykorzystywano komnaty królewskie?

Komnaty królewskie wykorzystywano jako sale sztabowe bądź pomieszczenia dla wyższych oficerów. Pojawiły się nowe budowle, na przykład istniejący do dzisiaj budynek szpitala, znajdujący się od strony Wisły. Zastano właściwie tylko i wyłącznie przestrzenie, puste wnętrza, częściowo przekształcone, przebudowane – omurowane krużganki, których filary zostały obłożone cegłami. Z oryginalnego wystroju, poza nielicznymi detalami, nic nie ocalało. Pierwszym obiektem w zbiorach Zamku Królewskiego na Wawelu jest „Hołd Pruski" Jana Matejki. W 1882 r., w czasie posiedzenia Sejmu Krajowego we Lwowie, obraz został podarowany przez artystę jako impuls do stworzenia kolekcji, którą prezentować będzie można na wzgórzu wawelskim.

Do podobnej sytuacji doszło po 1945 r., kiedy to dyrektorem muzeum został prof. Tadeusz Mańkowski. Tak naprawdę ten badacz podjął się stworzenia od podstaw ekspozycji, która miała świadczyć o roli i historii wzgórza wawelskiego. Było to wyjątkowo trudne zadanie.

Jakie zadania stawia przed sobą muzeum dzisiaj?

Obecnie rolą Wawelu jest nie tylko być, lecz także przypominać o historii – na różne sposoby. Kolekcja, którą posiadamy, jest znacząca, chcemy ją nieustannie poszerzać oraz jak najlepiej prezentować, uświadamiając naszych gości. Dlatego tak ważny jest odpowiedni opis tego, co się widzi. Zwiedzanie z przewodnikiem (lub audioprzewodnikiem) pozwala rozumieć to, na co się patrzy – kiedy spoglądamy na stropy i kasetony z głowami, dowiadujemy się nie tylko tego, że zostały one zrekonstruowane przez najwybitniejszych artystów dwudziestolecia międzywojennego, lecz również na przykład tego, że są one naśladownictwem stropów, które znajdowały się w zamku w Podhorcach na Kresach. Naszą ideą jest to, żeby każdy mógł wejść i jak najpełniej rozumieć i docenić to, co widzi.

Wawel jest miejscem snucia opowieści. Tę o wzgórzu prezentują nasze wystawy – „Wawel zaginiony", a także „Wawel odzyskany". Myślę, że nowa odsłona wnętrz wawelskich, ekspozycja, nad którą obecnie pracujemy, również na to pozwoli.

Wawel jest miejscem żywym, które oferuje całą gamę nowych perspektyw. Rolą muzeum jest stwarzać jak najdogodniejsze możliwości ku temu, by odwiedzający wzgórze wawelskie mogli te perspektywy odkrywać.

eprasa.pl 484cb83f52

Kawą i mieczem

Wiktoria wiedeńska załamała potęgę turecką i zatrzymała jej pochód na północ. O tym, że armią sprzymierzonych dowodził Jan III Sobieski, wiedzą wszyscy. Historia mogła się jednak potoczyć inaczej, gdyby nie tajna misja innego Polaka, Jerzego Franciszka Kulczyckiego

WOJCIECH LADA

W lipcu 1683 r. wiedeńczycy mieli poważne powody do niepokoju. Ich miasto było co prawda wciąż potężną twierdzą, której mury powstrzymały niegdyś turecki najazd samego Sulejmana Wspaniałego, ale było to dobre półtora wieku wcześniej. Już wtedy owe mury zaczynały się sypać i wszyscy doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Kolejni cesarze zlecali co prawda ich remont, zatrudniano nawet włoskich inżynierów, doskonale obeznanych w najnowszych trendach konstrukcji fortyfikacji, ale jednocześnie skąpiono pieniędzy i prace od dziesiątków lat tkwiły w martwym punkcie.

Leopold I nie różnił się pod tym względem od swoich poprzedników. Był dobrym władcą, doskonale się orientował w sytuacji politycznej i potrafił wyciągać z niej korzyści. Miał jednak jedną wadę – był inteligentny, ale nieznośnie powolny. „Przewidywał, ale nigdy nie uprzedzał faktów" – oceniał brytyjski historyk John Stoye. A właśnie w 1683 r. uprzedzanie faktów bardzo by się wiedeńczykom przydało. Dla nikogo wszak nie było tajemnicą, że od kiedy 40 lat wcześniej Turcy zajęli południowe Węgry, ich ekspansja skierowana była na północ i prędzej czy później konfrontacja z cesarstwem stawała się nieunikniona. I to raczej prędzej, bo od prawie dwóch lat wojska tureckie wspierały antyhabsburskie powstanie Imrego Thökölya na Węgrzech, teraz zaś siły te zostały wyraźnie wzmocnione, zaś sam Thököly został uznany przez sułtana Mehmeda za króla.

Leopold o wszystkim tym doskonale wiedział, a jednak nie zrobił zupełnie nic. Nie zainwestował nawet pieniędzy w remont murów miejskich, które ku przerażeniu mieszkańców w dalszym ciągu nieubłaganie się sypały. Nikogo też specjalnie nie zdziwiło, że kiedy 7 lipca armia turecka pod wodzą Kara Mustafy stanęła pod miastem, cesarz po prostu uciekł i zatrzymał się dopiero w odległej o trzysta kilometrów Pasawie. Spieszył się, zdążył jednak wysłać kilka listów z błaganiem o pomoc. Jeden z nich trafił do przebywającego wówczas w Wilanowie Jana III Sobieskiego:

„Nie tylko oczekujemy wojsk Waszej Królewskiej Mości, ile osoby Waszej, pewni, że osoba Wasza Królewska na czele swoich wojsk i Wasze imię, tak groźne dla wspólnych nieprzyjaciół, same zapewnią ich klęskę" – pisał Leopold.

„Nietrudno będzie w Polszcze o tureckie konie" – skomentował Sobieski i już 18 lipca wyjechał z Wilanowa.

RAKIETOWE SZYFRY

Wbrew pokutującej opinii do końca XVIII w. stosunki Polski z Niemcami zazwyczaj były całkiem niezłe. Zachodnia granica należała do najbardziej stabilnych, więcej krzywdy doznaliśmy choćby od Szwedów niż od Niemców, a słynne później określenie – Drang nach Osten – tak naprawdę odnosiło się raczej do polskiej niźli niemieckiej polityki zagranicznej. Faktycznie jednak sytuacja, jaka nastąpiła 3 września na zamku Stetteldorf, była zupełnie bezprecedensowa. Otóż tego dnia, zasiedli wspólnie na naradę wojenną dwaj polscy hetmani koronni, Jabłonowski i Sieniawski, książę Karol Lotaryński, margrabia Herman Badeński – przewodniczący cesarskiej Nadwornej Rady Wojennej, oraz elektor saski Jan Jerzy III, ojciec późniejszego króla Polski Augusta II. Zebrali się, by radzić w kwestii odsieczy Wiednia. Zanim to jednak nastąpiło, książę Karol uroczystym krokiem podszedł do Sobieskiego i z ukłonem wręczył mu buławę marszałkowską. Tym samym, po raz pierwszy i ostatni w dziejach, polski król stawał się naczelnym wodzem zjednoczonych wojsk niemieckich.

Dotarcie pod miasto zajęło armii tydzień, bo droga wiodła przez trudne do pokonania, lesiste góry. „Przeprawialiśmy się przez te góry, żeśmy nie wchodzili albo nie wstępowali, aleśmy się wspinali. Począwszy tedy od piątku nie jemy nic ani nie śpimy, ani konie nasze" – skarżył się Sobieski w liście do Marysieńki. Mimo to 11 września wojska polskie, niemieckie i austriackie zajęły pozycje na wzgórzach Lasu Wiedeńskiego. I był na to najwyższy czas. Morale obrońców miasta topniało z godziny na godzinę po wyjątkowo zaciekłych atakach tureckich między 4 a 9 września – podobnie jak zmniejszała się ich liczba: dziesiątkowały ich strzały wroga, ale też panująca w mieście zaraza. „Mogli prowadzić dalej walkę z przeważającymi siłami jeszcze przez tydzień lub dwa tygodnie dłużej, ale bez wątpienia każdego dnia ich opór byłby mniej skuteczny" – oceniał Stoye.

eprasa.pl 484cb83f52

W momencie przybycia Sobieskiego Turcy znajdowali się w odległości strzału od zamku cesarskiego, usytuowanego pośrodku miasta. „Zdobycie przez nieprzyjaciela w początku września jednej baszt broniących wejścia do stolicy mogło pociągnąć za sobą groźne skutki, osłabić ducha oblężonych i łamać ich opór. Tak zapewne by się stało, gdyby nie wiadomość o nadejściu Sobieskiego" – pisał Janusz Pajewski.

Ale uzyskanie tej wiadomości nie było wcale sprawą prostą. Zasadniczo w tamtych czasach komunikacja między obrońcami oblężonego miasta i wojskami odsieczy odbywała się za pomocą sygnałów świetlnych. Te tzw. rakiety „sprawiały nieznośnie nieukontentowanie Turkom", bo istotnie ich organizacja była wzorowa i nie byli w stanie nic na to poradzić. A jak działało to w praktyce, wiemy choćby dzięki „Dyariuszowi wiedeńskiej okazyji" Mikołaja Dyakowskiego. Otóż, jak zanotował pamiętnikarz, wieczorem 11 września Sobieski nie położył się spać, lecz leżąc w namiocie na materacu oczekiwał raportów. Około godz. 22 koniuszy koronny Matczyński dostrzegł rakietę wystrzeloną z wieży św. Stefana i zameldował: „Miłościwy królu, już jeden znak wyszedł". Na co Sobieski: „To już wie, żem Dunaj przeprawił". Po drugiej rakiecie: „To już wie, żem się od taborów ruszył". I po trzeciej: „Niech będzie Bóg pochwalony, już wie o tym, że się tu, na tym miejscu z wojskiem znajduję".

O ile jednak dzięki sygnałom świetlnym dało się poinformować obrońców o obecności odsieczy, o tyle odsiecz nie mogła poznać sytuacji obrońców ani ustalić z nimi planu działania. W mieście z kolei nie znano kierunku natarcia i spodziewanych sił – trudno było w tej sytuacji ustalić najskuteczniejszą metodę współpracy. W tej sytuacji niezbędne było posłużenie się wysłannikiem. Kimś, kto niepostrzeżenie opuści miasto, przejdzie niezauważony przez cały obóz turecki, dotrze do obozu wojsk sojuszniczych, przekaże i odbierze raporty, a potem – bagatela – wróci tą samą drogą. Misja wydawała się samobójcza, ale, jak się okazało, chętnych nie zabrakło. Na ochotnika zgłosił się mianowicie niejaki Jerzy Franciszek Kulczycki.

SZPIEDZY W TURECKIM CHAOSIE

Miał wówczas 43 lata, sumiaste wąsy i nawet nosił się nieco z turecka. I nic w tym dziwnego. Urodził się co prawda w majątku pod Samborem na dzisiejszej Ukrainie, ale większość życia spędził, podróżując po terenach imperium osmańskiego. Był szlachcicem, nie przejmował się jednak chyba przesadnie stanowymi konwenansami, trudnił się bowiem handlem, co dla mieszkańców polskich zaścianków było zazwyczaj zajęciem uwłaczającym – nawet wówczas, gdy klepali biedę. Kulczycki jednak najwyraźniej był już człowiekiem innej epoki, w dodatku obdarzonym żyłką awanturnika.

Nie wiadomo, jakimi drogami i kiedy dokładnie, ale gdy jako dorosły już człowiek pojawił się w Belgradzie, znał doskonale język turecki i zajmował się tłumaczeniem transakcji dla lokalnego oddziału austriackiej Wschodniej Kompanii Handlowej. Zapewne korzystał z okazji i nie ograniczał się do tłumaczeń, bo wyszedł na tym z na tyle dużym majątkiem, by założyć w Leopoldstadt – dziś dzielnicy Wiednia – własną firmę handlową, która całkiem nieźle prosperowała. I w takiej właśnie sytuacji zastał go najazd wojsk Kara Mustafy. Kulczycki z pewnością był cwaniakiem, ale też człowiekiem odważnym – z miejsca zgłosił się do obrony miasta.

Nie wiemy też, co skłoniło go do podjęcia się tej skrajnie ryzykownej misji – zapewne po prostu wrodzona brawura. Tak czy inaczej, 13 sierpnia po zapadnięciu zmroku wraz z przyjacielem, niejakim Janem Michałowiczem, opuścił po kryjomu miasto. Sam początek wyprawy wydawał się stosunkowo prosty. Obaj byli przebrani za Turków, znali język i zwyczaje, po ciemku bez większego problemu wtopili się w masę koczujących pod miastem żołnierzy. Na razie nigdzie dalej się nie wybierali. Postanowili spędzić noc w jakiejś kryjówce w obozie i w drogę ruszyć dopiero rankiem. O świcie rozpoczął się najtrudniejszy etap. Zdecydowali się na scenariusz brawurowy, bo szli otwarcie pomiędzy namiotami, w tłumie tureckich żołnierzy – nie tylko się nie ukrywając, lecz wręcz zwracając na siebie uwagę pozdrowieniami, zagadywaniem, a nawet głośnym podśpiewywaniem tureckich piosenek.

Wszystko to wydaje się stosunkowo proste, ale trzeba pamiętać, że obóz był ogromny. Tworzył nieregularne półkole naszpikowane niemal po horyzont namiotami, wokół których roili się żołnierze, zwierzęta, a dym palonych ognisk dość skutecznie ukrywał rzeczywiste jego rozmiary przed oczami obrońców. Paradoksalnie, wrażenie potęgi najeźdźców zwiększał błąd, który popełnili. Otóż zasadniczo każdy obóz wojskowy ma pewien strategiczny porządek – nawet jeśli jego mieszkańcy atakują, musi być jednocześnie miejscem obronnym. A obóz turecki nie był. Jak opisywał to jeden z naocznych świadków: „Każdy wie, że obóz założony przez dobrego generała ma również szyk bojowy; ale obóz Turków, stosownie do ich pradawnej tradycji, był po prostu chaotyczną masą namiotów i ładunków, ustawionych w półkolu". Dla Kulczyckiego była to jednak okoliczność korzystna. Ustawione byle gdzie namioty i krzątający się wokół nich żołnierze, tworzyły bałaganiarską plątaninę, w której dwóch wesoło maszerujących „Turków" nie zwracało niczyjej uwagi.

Jak dotąd mieli szczęście. Przez nikogo nie niepokojeni wydostali się wreszcie z obozu. Wbrew pozorom nie ułatwiło im to zadania, bo właśnie dopiero teraz pojawiło się ryzyko, że przypadkowy patrol uzna ich za dezerterów lub że padną ofiarą walczących po stronie tureckiej wojsk węgierskich, wołoskich lub tatarskich, które ze szczególnym okrucieństwem plądrowały austriackie wsie i miasteczka. Szczęście jednak sprzyjało im dalej. Aby dotrzeć do obozu Karola Lotaryńskiego, musieli przekroczyć Dunaj. Udało im się to, gdyż zupełnie przypadkiem spotkali na wyspie pośrodku rzeki uciekinierów, którzy schronili się tu przed gwałtami najeźdźców. „W nocy z 13 na 14 sierpnia pośród załogi wiedeńskiej zapanowała wielka radość, gdyż na jednym ze wzgórz otaczających stolicę zapłonął ogień. Był to znak umówiony, sygnalizujący, że wy-

eprasa.pl 484cb83f52

słannicy znajdują się już w bezpiecznym miejscu" – pisał Pajewski. Dobę później dotarli bezpiecznie do miastecka Stillfried, gdzie spotkali księcia Karola i przekazali mu listy od dowódcy obrony miasta Ernesta von Starhemberga. Jak z nich wynika, była to naprawdę ostatnia chwila.

Jak zauważał Stoye: „Zachował się jeden z listów Kaplira (Kaspara Zdenka – jednego dowódców obrony miasta) zaadresowanych do cesarza Leopolda. Wspomina w nim, że Turcy zaczęli podkładać miny pod rawelinem zamkowym, natomiast zapas granatów u obrońców niemal się wyczerpał i znajdują się oni w bardzo niekorzystnej sytuacji z powodu braku wykwalifikowanych minerów. Liczby zabitych w ostatnich walkach były wysokie. Wielu innych zmarło od chorób. Sam Starhemberg również się rozchorował. Najbliższa przyszłość rysowała się rzeczywiście ponuro".

Profesor komentował dalej, że odsiecz miała wreszcie prawdziwe, choć z natury rzeczy nieco już nieaktualne informacje o warunkach obrony, jej słabych punktach, a także postępach Turków. W czasie gdy podejmowano decyzje o przeprowadzeniu natarcia i pisano listy do dowództwa obrony, posłańcy spędzili spokojną noc w obozie, a rankiem wyruszyli w drogę powrotną. Cały dzień minął im bez poważniejszych przygód. Byli wypoczęci i najedzeni – kucharze austriaccy z pewnością zaopatrzyli ich w prowiant na drogę, szli więc początkowo w żywym tempie, chcąc jak najszybciej dostarczyć listy obrońcom.

W tureckim obozie musieli zwolnić, zapewne też nie podśpiewywali jak poprzednio, bo też wkroczyli tu w nocy i żołnierze przeważnie spali. I to właśnie stanowiło największe niebezpieczeństwo – tym razem nie mogli po prostu wtopić się w chaotyczny tłum. I w końcu stało się. Wyczulone straże zainteresowały się podejrzanymi wędrowcami – ktoś wszczął alarm i Kulczycki z towarzyszem nie mogli już dłużej udawać. Poderwali się do biegu, skryli początkowo w jakiś spalonych zabudowaniach i dopiero po pewnym czasie, korzystając z powstałego zamieszania, dopadli najbliższej bramy.

Około 4 rano zakończyli swoją najważniejszą eskapadę w życiu. W południe wojska odsieczy zobaczyły sygnały dymne unoszące się z wieży św. Stefana,

Pomnik Jerzego Franciszka Kulczyckiego we Lwowie

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 484cb83f52

„Pod błękitną butelką" – jedna z pierwszych wiedeńskich kawiarni

Fot. www.dorotheum.com

zaś po zmroku dobre wieści o dotarciu posłańców potwierdziły im trzy sygnały rakietowe. Misja Kulczyckiego odwiodła włodarzy Wiednia od poddania się tureckiemu wezyrowi i podtrzymała ducha walki w obrońcach miasta.

NIEOCZEKIWANE SKUTKI ZWYCIĘSTWA

Bitwa pod Wiedniem rozniosła siły tureckie i załamała ekspansję turecką na północ. Wielu badaczy, choćby Norman Davies, ocenia ją jako jedną z najważniejszych bitew czasów współczesnych i są zgodni, że kluczowa rola w zwycięstwie przypada Polakom – choć dobrze pamiętać, że nie byli jedyną siłą walczącą z Turkami. Na pewno rolę Polaków znacznie zwiększył Kulczycki i co do tego wszyscy byli zgodni. Od rady miejskiej otrzymał natychmiast 100 dukatów i dom, a po bitwie król Jan Sobieski pozwolił mu wybrać sobie, co tylko zechce z obozu wroga. Ku zaskoczeniu wszystkich, nie wziął wcale drogich dywanów, kosztowności czy wspaniałych koni. Poprosił o niewyglądające zachęcająco worki z czymś, co zwycięzcy potraktowali jako paszę dla wielbłądów. Znający Bliski Wschód Kulczycki wiedział jednak, że ma do czynienia z czymś znacznie cenniejszym. W workach mianowicie znajdowała się wyborna turecka kawa. Hojnością wykazał się też cesarz Leopold, obdarzając go tytułem cesarskiego tłumacza języka tureckiego. Nie musiał też płacić podatków przez 20 lat.

Zbiwszy w ten sposób niemały majątek, Kulczycki zdecydował się otworzyć w Wiedniu pierwszą – a przynajmniej jedną z pierwszych – kawiarnię. Lokalizację wybrał doskonałą, bo jego lokal znajdował się przy ulicy Schlossergassi, bardzo blisko katedry. Szczegółów nie znamy, ale zdaje się, że nie podawano tam wyłącznie kawy – na to przynajmniej wskazywałaby jego nazwa, „Pod błękitną butelką". Legenda mówi też, że to Kulczycki wpadł na pomysł słodzenia kawy miodem, inna wspomina, że jako pierwszy postanowił podawać ją z mlekiem. Prawda to czy nie, faktem jest, że od tego momentu kawa stała się wiedeńską specjalnością, a sam Kulczycki – jedną z popularniejszych osobistości miasta.

Kto wie, może trochę zdobycznych ziaren kawy uszczknął i Sobieski, wkrótce bowiem zrobiła ona rewolucję również w Polsce. Jeśli tak, byłby to jeden z najmniej docenianych aspektów wiktorii wiedeńskiej, która tak po prawdzie samej Polsce wiele nie przyniosła – poza sławą Sobieskiego, rzecz jasna. W każdym razie kilkadziesiąt lat później niezastąpiony Jędrzej Kitowicz pisał: „Gdy zaś nastała kawa i rozeszła się po wszystkich domach pańskich, szlachty majętniejszej i bogatszych mieszczan, dawano ją najprzód z rana z mlekiem i cukrem, po której pijano wódkę, a herbatę, jako sprawującej suchoty i oziębiającej żołądek, wcale zarzucono; policzono ją w liczbę lekarstw przeciw gorączce i do wypłukania gardła po ejekcjach, mianowicie z gwałtownego pijaństwa pochodzących. Po każdym także stole dawano gościom kawę, jednym z mlekiem, innym bez mleka [...] Kawa od ludzi majętnych przeszła nareszcie do całego pospólstwa, podniosły się po miastach kafenhauzy, szewcy, krawcy, przekupnie, przekupki, tragarze i najostatniejszy motłoch udał się do kawy". Cóż dopiero w Wiedniu?

Jerzy Kulczycki zmarł z pewnością bardzo bogaty, a nastąpiło to niewiele ponad dziesięć lat po bitwie, na której losach tak silnie zaważył.

eprasa.pl 484cb83f52

Marcin Dorociński i Maja Ostaszewska kontra Adam Woronowicz i Iza Kuna, ale też każde z osobna w kontrze do swoich medialnych wizerunków. Tak prezentują się w kinowej komedii „Teściowie". Dla tej czwórki warto wybrać się na to wybuchowe wesele

Weselny rollercoaster

Fot. Gosia Turczyńska

eprasa.pl 484cb83f52

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Fot. Michał Chojnacki

„Tu jest jakby luksusowo" można by powiedzieć, choć okoliczności są zdecydowanie inne niż w filmie, z którego ten cytat pochodzi. I bez wątpienia wnętrza czterogwiazdkowego hotelu Polonia Palace, ulokowanego w samym centrum Warszawy i łączącego dawną jakość ze współczesnymi udogodnieniami, mogą robić wrażenie. Nie tylko na Wandzie i Tadeuszu, którzy przyjechali do stolicy z Sochaczewa, a w hotelu zjawili się jako niedoszli teściowie.

Luksusowe – jako się rzekło – wnętrza, na dodatek świetnie scenograficznie wykorzystane i sfilmowane, to jednak przestrzeń ograniczona. Tak jak akcja zamknięta w ramy weselnej imprezy. Na dużym ekranie, gdzie najlepiej sprzedają się pełne efektów specjalnych megawidowiska, kameralna jedność czasu, miejsca oraz ciągu zdarzeń to dla twórców nie lada wyzwanie. Chyba że wspiera ich taka obsada.

MISTRZOWSKA CZWÓRKA

Po sukcesie serialu „Gambit królowej", w którym (wyciszając wszystkie aktorskie atuty) wcielił się w Vasilya Borgova, szachowego przeciwnika Beth Harmon, Marcin Dorociński wraca w „Teściach" do polskiego kina, czarując zarówno ekranowym wizerunkiem, jak i znakomicie poprowadzoną rolą.

W oczekiwaniu na kolejną produkcję Netflixa z udziałem aktora – czyli serial „Erynie" oparty na kostiumowym kryminalnym cyklu o komisarzu Edwardzie Popielskim autorstwa Marka Krajewskiego, w którym stworzył główną kreację – możemy go oglądać we współczesnej roli. W rozkręcającej się dramatyczno-komediowej akcji, w której wesele musi się odbyć bez najważniejszych gości, czyli młodej pary, bohater Dorocińskiego długi czas daje przykład opanowania i spokoju. Jest buforem dla filmowej żony, brawurowo zagranej przez Maję Ostaszewską, oraz niedoszłych teściów (Iza Kuna, Adam Woronowicz).

– Małgorzata to bardzo silna, władcza kobieta. Inteligentna, elegancka, wyrafinowana, potrafi być zarazem wredna, wyższościowa i bardzo złośliwa – charakteryzuje swoją postać aktorka.

O samym filmie mówi, że są w nim sceny, dialogi i sytuacje bardzo śmieszne, ale ją ujęły w scenariuszu przede wszystkim momenty przejmujące, wzruszające. – Pokazujemy kobietę, która niczym współczesna Dulska stara się z całych sił trzymać w ryzach swoje pozornie idealne życie, podczas kiedy wszystko wokół się rozpada. Relacje są powierzchowne. Choć wydaje się perfekcyjną królową śniegu, w środku czuje się samotna, nierozumiana – dodaje.

OJCIEC, MĄŻ, MLECZARZ

Ostaszewska podkreśla, że każda z głównych postaci ma potencjał mocno komediowy, jednocześnie w każdej z nich dochodzi w którymś momencie do „przełamania". Dlatego są tak nieoczywiste i przez to ciekawe dla widzów oraz pełne wyzwań dla aktorów.

Dawkujący medialne wypowiedzi Dorociński w jednym z wpisów na Instagramie zapewnia, że „Teściowie" to „skrząca się dowcipem komedia (...) ale też przestrzeń do refleksji".

Iza Kuna, która – wcielając się w pełną pretensji matkę panny młodej – wyszła z dotychczasowej medialnej roli – wyemancypowanej, pewnej swoich atutów i możliwości, współczesnej kobiety, również na Instagramie komplementuje kolegów aktorów. Wspomina też twórcę zdjęć Michała Englerta oraz autora scenariusza, prywatnie jej chłopaka Marka Modzelewskiego.

Tymczasem filmowy małżonek Wandy na specjalnym koncie na Instagramie (hasło: tesc_tadeusz) przedstawia się: „Ojciec/mąż/mleczarz". Grający go aktor wyposaża bohatera w cechy prowincjusza, który wraz z kolejnymi kieliszkami wódki nabywa odwagi do coraz bardziej roszczeniowej postawy.

JAZDA BEZ TRZYMANKI

Adam Woronowicz podkreśla, że idealne zgranie czwórki bohaterów (i aktorów) wymagało od wszystkich wyjątkowego skupienia i poprzedzone było długimi próbami oraz szlifowaniem tekstów. „Wartością dodaną" planu „Teściów" okazał się hotel Polonia. Zamknięty z racji pandemii, oferował komfortowe warunki. – Na żadnej hali nie zbudowalibyśmy podobnej scenografii. Kuchnie, pokoje, sale balowe – wszystko było na miejscu – podkreśla Woronowicz.

W takich oto okolicznościach i w takim aktorskim towarzystwie mogła się rozwinąć weselna filmowa katastrofa. Gdy – mimo odwołanego tuż przed ołtarzem ślubu – na uroczystym przyjęciu zjawiają się rodziny obu stron, po kurtuazyjnym wstępie, od słowa do słowa, od jednego kieliszka wódki do drugiego, niedoszli teściowie uprzejme uśmiechy zamieniają w ostrą wymianę zdań. Aż do spektakularnej kulminacji.

Nakręcana przez tytułowych bohaterów weselna „jazda bez trzymanki", to popis całej aktorskiej czwórki. Trzeba się zgodzić z reżyserem Kubą Michalczukiem, gdy mówi: – Debiutując, nie mogłem sobie wymarzyć lepszej obsady.

Reklama | 66/0821/F

eprasa.pl 484cb83f52

PGNiG

FILM **BRACI SYKÓW**

WYSZYŃSKI

ZEMSTA CZY PRZEBACZENIE

MECENASEM FILMU JEST

POLSKIE GÓRNICTWO NAFTOWE I GAZOWNICTWO

Premiera 17 września 2021 r.

3 MIŁOŚCI

Duchowe yo-yo

ROBERT TEKIELI

Dzisiaj świat broni raczej panien głupich przed dyskryminacją ze względu na intelekt, a nie zastanawia się, skąd wzięły mądrość panny mądre. Ba, dziś prostolinijną mądrość się wyśmiewa. Nie jest sexy, stęchła jakaś. Podobnie jak cnota. Czyli utrwalona zdolność do czynienia dobra. Cóż, wasza sprawa, idźcie raczej do sprzedających i kupcie sobie.

Gdzie miłość wzajemna i dobroć, tam znajdziesz Boga żywego. Rozejrzyj się wokół siebie. Boli? Lustro mnie woła. Bez prawdy nie ma miłości, nie ma wiary, nie ma zwrócenia się ku największemu dobru.

Od religii, kultury, sztuki, filozofii, mądrości, tradycji, doświadczenia, od innych ludzi człowiek oczekuje porady, jak być szczęśliwym, jak osiągnąć spełnienie. Pytania o szczęście, o los, człowiek stawia od zawsze. Pytania o naturę Boga, wszechświata, człowieka – to kwestie światopoglądowe. Interesują mniejszość. Człowiek pyta religię nie o to, jak zbudowany jest świat, lecz o to, jak przeżyć życie, by osiągnąć happy end. Wielu nie stawia sobie takich pytań. Duchowość, prawdziwa duchowość dla nich nie istnieje albo wydaje się im mało interesująca, bo stawia wymagania.

Życie duchowe jest jak utrzymywanie czystości w sypialni. Każdego dnia pod łóżkiem pojawia się nowy kurz. Sprzątanie kurzu nie jest beznadziejne, jest konieczne. I możliwe.

Życie duchowe to nieustanny ruch. Co oznacza, że albo się rozwijam i dzięki temu staję się z dnia na dzień odrobinę lepszy, albo się zwijam. Zsuwam w dół. Linia życia duchowego nigdy nie jest równoległa. Kulka zawsze się toczy. W górę lub w przepaść. A otchłań umie się maskować, zbliżać się na łapkach kota. Cichuteńko. Można jej nie zauważyć. Ale ona zawsze wypatruje moich oczu. Poznanie Boga jest w naszym interesie, bo to Bóg karmi duszę, rozszerza nasze serce. A to daje szczęście.

Człowiek nie musi być świadom, że się kaleczy. Aborcja, gdy jest nieświadomym zabiciem dziecka, to nie grzech, bo ten musi być świadomy. Ale ma konsekwencje: syndrom poaborcyjny, cierpienie. Otumaniających ludzi oszustów i sprzedawców fałszywej nadziei mamy od zawsze na pęczki. Ideolodzy, doradcy życiowi, okultyści. Wszyscy oni, tacy nowocześni, wszyscy mówią: grzech nie istnieje. Ale nie możesz ominąć tego, czego nie widzisz.

Moje serce cały czas nie poddaje się mojej woli. To nie wola prowadzi moje życie, a pragnienia. Chore mniej lub bardziej, ukryte mniej lub bardziej. I czynię zło, którego nie chcę. Sam, sam z siebie umiem tylko krzywdzić. Ale człowiek nie jest w sytuacji beznadziejnej.

Czynienie dobra związane jest z wysiłkiem. Z poświęceniem czasu, ze zmęczeniem, z walką duchową. Słowem, z cierpieniem. Więc mogę w ten sposób „zrównoważyć" cierpienie skrzywdzonych przeze mnie, cierpienie będące konsekwencją mojego grzechu. Czyściec to część jeziora ognistego, o którym mówił Jezus. W czyśćcu jesteśmy wyżarzani cierpieniem, którym mogliśmy zadośćuczynić za nasz grzech. Ale tego nie zrobiliśmy.

Można za-dość-uczynić za grzechy. Być hojnym w bezinteresownym rozdawaniu dobra. Uczynić dość. Czyli dużo. I nasze grzechy są zakryte. Jest więc nadzieja dla największego nawet zło-czyńcy.

Przeciwnik natury ludzkiej to osoba pozbawiona nadziei. Jezus swoją krwią wykupił nas z tej niewoli. Z niewoli grzechu. Uzależnienia, zaniżonej samooceny, z otchłani rozpaczy, czyli bez-nadziei.

Rozpacz to decyzja o odrzuceniu Boga. Może być radykalna, świadoma. Może też przyjść cichuteńko. Rozpacz nie jest chorobą, jest decyzją, konsekwencją egoizmu, cynizmu, lenistwa.

Miłość to krew, pot, łzy. Miłość zmienia świat materialny. Najwięksi ludzie na świecie, najwięksi wewnętrznie, święci, są sługami najmniejszych, biednych, brudnych, zawszawionych. Są najwięksi, bo widzą świat oczyma potrzeb drugiego człowieka. Miłość unieważnia obcość, samotność. Miarą człowieka jest miara miłości danej bliskim i dalekim bliźnim.

To Bóg ożywia ludzkiego ducha, daje prawdziwą nadzieję. Będziesz kochał Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem, z całej swojej mocy – oto recepta na szczęście.

Mogę się trzymać przykazań, bojąc się kary. Mogę też jedynie ufać Bogu i iść za Nim, kierując się rozsądkiem. Mogę wreszcie pozwolić Mu rozpalić w moim sercu miłość.

Wzloty, porywy i codzienny kurz. Upadki. Duchowe yo-yo. Świat z definicji broni upadku. Swojego i mojego. Wysiłek duchowy jest niezbędny. Bóg chce nade mną pracować. Samo-rozwój to samo-tność. Dawanie bliskim i dalekim przynosi radość i mądrość. Mądrość!

Bóg nas kocha. Do szaleństwa. Bóg oszalał, dając nam wolną wolę. Jego Syn doświadczył naszej wolności. Skrajnego okrucieństwa. Jezus zrobiłby to jeszcze raz tylko dla ciebie. Chce dać ci radość. Zaryzykowałem. Bóg jest zawsze blisko mnie. Ja nie zawsze jestem blisko Boga. Daj i mnie Panie zaszaleć hojną bezinteresownością.

eprasa.pl 484cb83f52

Warte W jakim celu zostało napisane coś, co nie zostanie przeczytane? Grzegorz Kapla wie, że atrakcyjność jest warunkiem koniecznym każdej literatury. Wysokiej i popularnej. Dowodem „Bezruch", jego najnowsza powieść o „Serbii", czyli podkomisarz Oldze Suszczyńskiej z Komendy Stołecznej Policji.

Wcześniej mieliśmy „Bezdech", „Bezwład", „Bezmiar".

Literatura wagonowa nie musi odmóżdżać. Nie musi obrażać inteligencji i epatować, apelując do najniższych instynktów. Nie czytam książek, w których celem piszącego jest tylko podbrzusze i splot słoneczny. Choć nośnikiem atrakcyjności horroru i kryminału, dwóch najważniejszych pofrankensteinowych gatunków popkulturowych, jest właśnie konstruowanie sytuacji, od których ściska w dołku. Kapla w swych kryminałach oferuje nie tylko miły relaks, również refleksję. Idziemy chętnie za intrygą, przy okazji zatrzymując się nad skomplikowaniem materii rzeczy i niezmiennością natury człowieka zawsze dążącego do miłości, czyli niesamotności.

„Serbia" to dziewczyna z prowincji, która musi udowodnić, że w męskim świecie da radę. Warszawa to labirynt, szczególnie jeśli nie możesz ufać tym, których kochasz. W labiryncie dwoje policjantów próbujących być uczciwymi w świecie, gdzie zabrakło miejsca na miłość.

Kapla opowiada historie splątane z sobą na śmierć i życie. Źli ludzie w wielkim mieście przejmują nieruchomości. Jeśli ktoś stanie im na drodze – spłonie. Pod Sejmem protesty opozycji, nowa władza odbiera esbekom emerytury, na Krakowskim Przedmieściu smoleńska demonstracja. Stan wojenny, Marzec '68, pandemia. Współczesne zbrodnie, zagadki z przeszłości. Jesteś partnerem czy tylko przynętą? W swych kryminałach Grzegorz Kapla zgrabnie snuje intrygi. I tę miłosną, i tę polityczną, i tę o zbrodni.

„Teraz to kobiecie wypada być wegetarianką..." – lubię jego zmysł obserwacji, umiejętność wychwycenia i zapisania stanu świadomości „zwykłych ludzi". Trudno uchwytnego „tego, co się mówi", „tego, co wszyscy wiedzą". I mądrość: „Serbia" nigdy nie kupiła mikrofalówki, bo nie miała zaufania do nowoczesnych technologii. „Nie może być tak, że dostaje się coś bez żadnego wysiłku. W mikrofali musiało tkwić coś podejrzanego". I tkwi: po podgrzaniu w mikrofalówce jedzenie zasila nasz organizm już niczym więcej tylko martwą chemią.

Grzegorz Kapla opublikował setki reportaży w magazynach i gazetach. Kilka reporterskich książek: o Gruzji, Azerbejdżanie, o „Chinach bez wzajemności" oraz „Duchy we śnie, duchy na jawie" – opowieść o ludzie Dani żyjącym w interiorze Nowej Gwinei, który widział samolot i komputer, ale żyje w epoce kamiennej, choć odkąd zawitali do niego misjonarze, nie je swoich wrogów.

Podróżnik Grzegorz Kapla wie już, że eliksiru na złamane serce nie znajdzie się, włócząc się dookoła świata. Ale już materię do książek – tak. Spod słów krzesanych przez niego lecą iskry: „Życie jest podróżą, pisanie jest nieprawdopodobną przygodą, w której samotność piszącego spotyka się z samotnością czytelnika, czyż nie na tym polega czytanie?". Czemu nie jest najbardziej znanym polskim pisarzem? Dziś już dobre frazy nie wystarczą. Dziś artystów i pisarzy na szczyt popularności wynoszą ideologiczne prądy. I interesy mocarstw, choćby regionalnych.

Bolesława Prusa uważano za popkulturowca, literackiego szarpidruta, felietonistę. Nie za pisarza. Wcześniej musiał bowiem zarabiać dziennikarką na życie. Kwestionowano kompetencje „wyrobnika" do wypowiadania się o sprawach doniosłych dla społeczeństwa. A on swą twórczością przewyższył wszystkich, którzy na początku XX w. decydowali w Polsce o fejmie. Środowisko literackie to osobliwa zaiste menażeria. Do dziś literaturę i sztukę hierarchizuje mafia. Konglomerat masońsko-homoseksualno-marksistowski. Szczypiorski, Stasiuk, Twardoch, Dehnel, Tokarczuk – wystarczy, że wycomingoutujesz, naplujesz na swój kraj, czekają na ciebie niemieckie i Sorosowe granty, nagrody literackie i orkiestra medialna.

Grzegorz Kapla odważył się żyć z pisania. I nikomu nie służyć. Schował się pod latarnią. Socjotechnicy ideolodzy nie mają jeszcze wpływu na mainstreamową komercję. Kapla może pisać, co chce. To zobowiązuje.

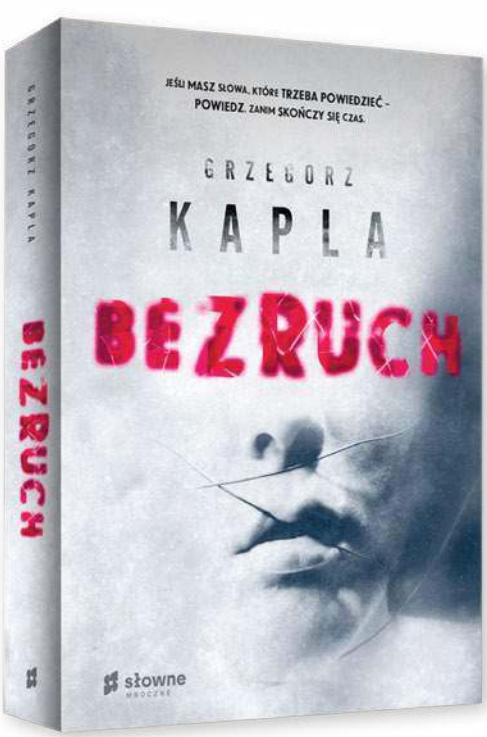

Polskim filmowcom i pisarzom od lat poprzeczkę ustawiła za wysoko filmowa „Ziemia obiecana" oraz powieściowa „Lalka". I tu mam dla Grzegorza Kapli zadanie. Dziennikarzył jak Prus, jest osobny, literackiego Nobla nie dostanie. Ale za dekadę, dwie chciałbym, żeby nas wszystkich zaskoczył. I zrobi to, byle zrozumiał, że Bóg uczynił Wszechświat maszyną do wychowywania ludzi. Że mądrość i zdolność do owocowania wzrasta dzięki bezinteresowności, dzięki wzrastaniu w miłości.

Uch. Ciężko czyta się frazy nieubezpieczone ironią czy drwiną. Ukradziono nam język. Bolą proste słowa. Choroba toczy kulturę.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 484cb83f52

Wojciech Stanisławski

Krawat i sznur

Czyżby sezon na redaktorów naczelnych? Drugi już w 2021, po „Demiurgu", portret człowieka tej profesji i rangi politycznej również wybija się ponad obfitą produkcję biograficzną

Jest to przy tym portret zarysowany zwięźle, a z nerwem, z dociekliwością połączoną z darem selekcji. Ten dar podkreślam, bo to za jego sprawą w pierwszej kolejności dostrzec można, że praca Michała Przeperskiego wyróżnia się na tle dziesiątków żmudnych, taśmowo niemal produkowanych monografii, których autorzy nie to, że nie stosują się do Wolterowej maksymy głoszącej, iż „sekret bycia nudnym polega na tym, by powiedzieć wszystko", ale bodaj nigdy o niej nie słyszeli, toteż uzyskawszy dostęp do tuzina teczek IPN cytują je niemal in extenso. Przeperski miał, jak sądzę, nieco więcej źródeł do dyspozycji (by wymienić tylko oryginalną wersję „Dzienników" Rakowskiego, istotnie różniącą się od wersji opublikowanej, do której dotarł w Hoover Institute) i pół wieku PRL do opisania. A mimo to dynamika tej biografii jest uderzająca, pochłania się ją, w pierwszej lekturze pomijając większość przypisów. Nie da się wprawdzie skomentować jej bohatera frazą: „Jak ślicznie, lekko tańczysz pan" (Rakowski był zgrabny, lecz politycznie stąpał ciężko), ale sama książka ma w sobie lekkość i zarazem żelazny rygor baletu.

Tym bardziej godne to uznania, że jest to – zgodnie z podtytułem – biografia polityczna. Rakowski był niewątpliwie, jak zauważa we wstępie autor, najbarwniejszym z pierwszych sekretarzy. Oczywiście, była to barwność na skalę pożal się Boże peerelowską, z chromatyką na poziomie plasteliny produkcji Inco-Veritas, zawsze wyblakłej i tłustej: dacza, samochód, szejker do koktajli. Ale z drugiej strony, no tak: trzy języki, weekendy pod żaglami, próby literackie (zapomniana dziś sztuka teatralna, wystawiona w 1964) – trudno wyobrazić sobie zażywającego podobnych uciech Gomułkę, nie mówiąc o towarzyszu Tomaszu. Do tego sławna żona, flirty polityczne i romansowe, warszawka bawiąca na Mazurach – starczyłoby tego nie na jedną, ale na trzy „interesujące" biografie niczym ze stron „Vivy!", ze zdjęciami Tadeusza Rolkego i obowiązkowo kopią jakiegoś listu Osieckiej.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Michał Przeperski, „Mieczysław F. Rakowski. Biografia polityczna", Instytut Pamięci Narodowej, 2021

Nic z tego. Książka Przeperskiego to precyzyjny opis kariery politycznej, będący (niezależnie od głębokiego zainteresowania autora osobą Rakowskiego) okazją do analizy mechanizmów awansu, rywalizacji, kooptacji i blokowania w komunistycznej elicie władzy – „case study", szczególnie barwne ze względu na bohatera. Już tylko próba zdefiniowania poglądów naczelnego „Polityki", którego fascynuje „technokracja" (przez co rozumie elementy racjonalizmu w gospodarce, ciekawość nowych technologii i metod, wolną od fascynacji życzliwość dla konsumpcji i popkultury), podejście „internacjonalistyczne" i analiza klasowa, daleko mu zaś od „dogmatyzmu", „rewizjonizmu", ale i „pałkarzy", to świetny wgląd w złożoność życia politycznego w PRL pod formalną kontrolą monopartii i quasi-pluralizmu, jaki wytwarzała rywalizacja koterii i frakcji, zabiegi o pozyskanie sympatii Kościoła czy elit artystycznych.

Ta książka to również studium taktyki arywisty. Rakowski zagaduje Gierka, oswaja Tejchmę, trzyma się Starewicza, dworuje z „partyzantów" i odcina od KOR-owców – stale zatroskany i niepewny o swą pozycję. Przeperski ofiarowuje bohaterowi swojej książki tyle, ile dobry sędzia podsądnemu: bezstronność, z uwzględnieniem (szczególnie w przypadku uwarunkowań rodzinnych i społecznych Rakowskiego) „okoliczności łagodzących". Nie znajdziemy w tej biografii drwin, przygan i „młotkowania", od których roi się w pracach z zakresu historii najnowszej pisanych przez autorów z temperamentem publicystycznym. Biografista Rakowskiego stara się zrozumieć czynniki determinujące wizję świata self-made mana

eprasa.pl 484cb83f52

spod Kcyni: trauma niemieckiej okupacji i śmierci ojca, ambicje i ciekawość świata, brak dostępu do innej niż stalinowska wizji świata w formacyjnych latach wyznaczały granice możliwej ewolucji Rakowskiego. A zarazem obfitość przytaczanych bez komentarza cytatów z jego zapisków i memoriałów składa się na obraz oportunisty doskonałego, zarazem odrażającego i niewinnego, bo chyba nigdy nie zdał sobie sprawy, jak żenująca była ta bezustanna, pazerna gra na siebie, jaką uprawiał przez pół wieku.

Czy rzeczywiście odrażającego oportunisty? Zastanawiam się nad tym, myśląc, na ile wizerunek Rakowskiego zależy od oczu patrzącego. Inaczej widziała go inteligencka Warszawa udręczona marcową nagonką i widząca w „Polityce" „jedyne pismo, które się nie zeświniło", inaczej – roczniki wściekłe i zrozpaczone po Grudniu 1981, inaczej jeszcze postrzegają go badacze, z perspektywy kilku dekad oceniający granice peerelowskiego „liberalizmu", którego Rakowski stał się (trochę wbrew swojej woli) eksponentem.

Upływ lat sprzyja pobłażliwości. Rakowski, przez tylu uważany za makiawela na szczytach władzy, w dniach stanu wojennego plasujący się tuż po Urbanie, jeśli idzie o cynizm polityki informacyjnej (spotkanie w Stoczni Gdańskiej ze sławetną sceną zdejmowania krawata, kolejne tomy „Listów" doń, drukowanych w masowych nakładach) okazuje się na poły dziecinny, na poły zniewolony gorączkowym pragnieniem, by być „in". Ta determinacja zapewniała mu niezniszczalność: „Fryzury Mieczysława Rakowskiego", gorzki pamflet Tyrmanda, powinien był sprawić, że jego bohater wyłysieje ze zgryzoty i upokorzenia: nic z tego, porósłszy jeszcze gęściej loczkami, dalej prowadził poważne rozmowy w kłębach dymu: zmienić ton głosu, gdy wiadomo, że w pokoju podsłuch, napisać list do Pierwszego, zaśmiać się, kiedy można, „wyjść do ogrodu i wrócić kiedy wyniosą ciało". Rakowski jako postać z moralitetu, stanowiąca przestrogę przed parciem do awansu, ale i przed sytuacją człowieka niezdolnego do rozstania się z obozem władzy, choć w prywatnych zapiskach komentuje bez złudzeń niekompetencje lub cynizm jego członków? Zaiste, również wymiar moralitetu udał się Przeperskiemu znakomicie – rzekłbym, ponadczasowo.

Wyszywanka z blizn

Sam trik, sam mechanizm jest prosty, choć urzekający, i bezlitośnie go tu zdemaskuję. Napisać cykl opowiadań o grupie przyjaciół ze szkoły, których losy – a właściwie losy ich rodziców, ojczymów, dziadków – okazują się splecione z sobą w sposób, którego Nina, Misza, Dima i Łesia nie rozczeszą do końca książki (to my zaczynamy w połowie lektury gorączkowo kreślić na wewnętrznej stronie okładki nie tyle drzewo, ile żywopłot genealogiczny, żeby zrozumieć, czyja babcia pochowała narzeczonego, a czyja przechowała się podczas Hołodomoru)? Świetny pomysł, na pewno wpadli na coś podobnego Iberoamerykanie albo paryżanie z OuLiPo, można by sprawdzić, ale nie chcę iść do biurka.

Tyle że ten pomysł na konstrukcję cyklu opowiadań (minipowieści?) pisany jest losami mieszkańców Ukrainy w XX w.: osnowa zawiązana jest w latach 30. i doprowadzona do dziś, skoro Dima, nieśmiały i schludny Dima, zginął pod Donieckiem. I w dodatku pisany w większości z perspektywy dzieci, patrzących na ogień i śnieg z całą ciekawością, bezradnością i rzeczowością, z jaką patrzy na świat człowiek siedmioletni. I to już wszystko, i można by się zżymać na tak oczywistą, niczym niełagodzoną, bezwstydną grę na uczuciach czytelnika – ale i tak przy zdaniu: „Na jednym z głównych skrzyżowań między dwoma wielkimi drzewami przerzucono długą metalową rurę i na niej kołysało się kilkoro powieszonych – dwóch mężczyzn z Rubiżnego, starszych już, jeszcze ktoś, kogo Masza nie znała i rozczochrana, bez palta, mama Maszy", trzeba na chwilę przerwać czytanie, przy tym i przy kilku jeszcze zdaniach, tak.

Kateryna Babkina panuje nad tym tonem w sposób doskonały, nie pozwalając mu ani na moment osunąć się w ckliwość, są to nieodmiennie relacje zdawane chłodnym, trochę jąkającym się dyszkantem, na granicy niezrozumienia tego, co zostało zobaczone, a czego potworność odsłania się dopiero w naszych oczach. Nie jest to zresztą w żadnym razie cierpiętnicza „proza wojenna", żywopłot genealogiczny pięciu rodzin rośnie przez spokojne, kluszczane lata zastoju, jest liryzm i ulotne piękno srebrzystych bąbelków w błękitnej wodzie bsenu „Olimpijskiego", są gorączkowe, pstrokate, czasem kokainowe lata niepodległej Ukrainy – ale z pokoleniami przekazywana jest krzywda, komu jako dziecku rodzina rozleciała się w czystce i wojnie na cztery wiatry, będzie okładał własną sznurem od żelazka, tak po prostu jest. Proza Babkiny to opowieść o „Ukrainie z PTSD", o posttraumie idącej przez cztery pokolenia, o ciasno splecionych bliznach – i o jedynym, co można położyć przeciw nim na szali: młodych orzechach, różowym świetle świtu, żółtych oknach domu w zimowym zmierzchu.

Kateryna Babkina, „Nikt tak nie tańczył, jak mój dziadek", tłum. Bohdan Zadura, Warsztaty Kultury, 2021

eprasa.pl 484cb83f52

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Bokser w piekle

Napiszę tym razem wyjątkowo o filmie kinowym, który wszedł do wyludnionych po pandemii sal. Mowa o „Mistrzu" Macieja Barczewskiego. Usprawiedliwieniem niech będzie fakt, że to tekst o ułomnościach naszej dyskusji o kinie, także tej telewizyjnej.

Film startował w pandemii dwa razy, był – niezauważony – na poprzednim, zdalnym festiwalu w Gdyni. Nakręcił go debiutant. Prawnik, który skończył filmówkę i był współproducentem dwóch filmów fabularnych. Może stąd świeżość jego spojrzenia.

Świeżość niedoceniona przez większość krytyków. Narzekali, że nie dowiedzieli się niczego nowego, a film naśladował amerykańskie kino sportowe. To opowieść o Tadeuszu Pietrzykowskim, bokserze „Teddym", który trafił do Auschwitz i wygrywając kolejne walki, ku uciesze Niemców, walczył o przetrwanie. Choć w finale o innego więźnia, także o godność.

Co ciekawe, analogie z amerykańskim kinem sportowym, z jego kultem rywalizacji i triumfalizmem, dostrzegł też zwolennik „Mistrza" Łukasz Adamski. Ja go odebrałem inaczej. Rytuał bokserskich pojedynków spleciony z nieustanną, makabryczną walką o życie służy tu czemu innemu, podobnie jak film o muzykach grających w obozie nie byłby przede wszystkim filmem o muzyce.

Mikołaj Mirowski przypomniał mi, że to w III RP dopiero drugi film sięgający po tematykę niemieckich lagrów. Pierwszym był kontrowersyjny „Kornblumenblau" Leszka Wosiewicza z 1989 r. Dlaczego? Myślę, że choć filmowcy nie stronią od drastyczności, to ta obozowa ich przerasta. Nie wiedzą, jak ją opowiedzieć usadowionym w fotelach ludziom.

Trzeba by pokazać nie tylko potworność machiny. W piekle mało komu udawało się zachować 100 proc. człowieczeństwa. Jedni więźniowie ratowali się kosztem innych. Niemcy zmuszali ich do wzajemnego wdrapywania się po własnych karkach. Coś z tego uchwycono w „Kornblumenblau". I bardzo delikatnie, ale zasygnalizowano także w „Mistrzu".

Czy należało pójść dalej? Nie wiem, potrzeba wydrapywania na wierzch prawdy walczy we mnie ze współczuciem. W wiwisekcji ludzi, którzy z głodu wyrywali innym miskę zupy, jest coś z powielania tamtego okrucieństwa. Ba, z kreowania nieuprawnionych wniosków. Bo czymś innym jest upodlenie oczywistych katów, czym innym – ofiar. To nie był jeden wspólny świat.

Ale wiem, że pamiętać o stworzeniu takiej machiny trzeba. To obowiązek. W „Mistrzu" dostajemy pamięć, przestrogę, wezwanie do empatii, nawet w tak przerażających realiach. I nawet jeśli jest to empatia wybiórcza. „Teddy" walczy o życie młodziutkiego współwięźnia, ale nie jest w stanie, balansując na granicy własnego życia, pamiętać zawsze o wszystkich. Nie jest też w stanie uniknąć upokorzenia, bo przecież staje się zabawką. Jednak wciąż jest rzecznikiem własnego człowieczeństwa.

Za mało rozmawiamy o „Mistrzu". To skromny, wstrząsający film z wielką rolą Piotra Głowackiego w roli tytułowej. Aktor zmienił swoją powierzchowność jak Joaquin Phoenix, ale przede wszystkim pokazał swoją potężną charyzmę. A w tle ciekawa, choć rysowana pojedynczymi kreskami galeria postaci: Piotr Witkowski jako kapo i bokser Walter czy Grzegorz Małecki, który jako jeden z hitlerowskich katów łączy mechaniczne okrucieństwo z selektywnymi, niejasnymi odruchami. One się zdarzały nawet w piekle.

To film sugestywnie nakręcony przez Witolda Płóciennika. Wychodziłem z kina oblepiony jego zdjęciami niczym błotem. I z ładną rolą do niedawna dziecięcego aktora Jana Szydłowskiego w roli Janka, którym próbuje się opiekować „Teddy". Ten film dołuje mnie, a równocześnie oczyszcza. Może i za cenę pewnego tuszowania realiów, które były jeszcze straszniejsze. Trudno mu to jednak wypominać.

Piotr Zaremba

SIECI

GAZETA BANKOWA

wGospodarce.pl

wPolityce.pl

W POLSCE/PL

XXX Forum Ekonomiczne

7–9 września 2021

Europa w poszukiwaniu przywództwa

- *Największa w Europie Środkowo-Wschodniej platforma spotkań i debat*
- *Ponad 3 tys. gości z Europy, Azji Środkowej, USA*
- *Forum Eksportu, Forum Idei, Forum Innowacji, Forum Ochrony Zdrowia, Forum Regionów, Forum Energetyczne, Forum Ukraińskie*
- *Nagrody Forum Ekonomicznego: Człowiek Roku, Firma Roku, Organizacja Pozarządowa Europy Środkowo-Wschodniej*

Partnerzy dodatku:

ORLEN

PFR Polski Fundusz Rozwoju

PZU

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl 484cb83f52

Forum Ekonomiczne – odliczanie przed startem

Zbliża się najważniejsze spotkanie polityczne w Europie Środkowej. Główne rozmowy poświęcone będą poszukiwaniu przywództwa w Unii, nowemu paktowi klimatycznemu oraz wprowadzeniu Polskiego Ładu

Forum Ekonomiczne to najważniejsza międzynarodowa konferencja polityczno-gospodarcza w Europie Środkowo-Wschodniej. Organizowane już od 1992 r., każdorazowo przyciąga premierów, ministrów, najważniejszych polityków i biznesmenów z kraju i Europy. Przez 30 lat Forum stało się platformą wymiany poglądów i kształtowania opinii liderów. Jest to olbrzymie przedsięwzięcie organizacyjne. Przygotowania zajmują miesiące pracy, setki wysłanych zaproszeń, odbytych rozmów i wykonanych telefonów. Nad organizacją wydarzenia czuwa Fundacja Instytutu Studiów Wschodnich. W tym roku udział weźmie w nim prawie 4 tys. gości. Odbędzie się ponad 350 paneli oraz wiele imprez towarzyszących. Wszystkie te wydarzenia będzie relacjonowało na bieżąco kilkuset dziennikarzy z kilkudziesięciu państw.

Tegoroczna edycja odbędzie się pod hasłem „Europa w poszukiwaniu przywództwa". Można je rozumieć wielorako. Z jednej strony pandemia koronawirusa obnażyła słabości instytucji europejskich. Państwa zaczęły z sobą rywalizować o zakup środków ochrony zdrowia, szczepionek czy respiratorów. Zamknięto granice, ograniczono swobodę przepływu obywateli i towarów. To wszystko pokazało, że w Europie brakuje silnego przywództwa gotowego na zmiany.

eprasa.pl 484cb83f52

Jednocześnie mamy do czynienia ze wzrostem zapotrzebowania na zwiększenie legitymizacji władz publicznych UE i w krajach unijnych. Jest to konieczne w celu zapobieżenia erozji zaufania do władz wspólnoty. Już teraz coraz mniej Europejczyków utożsamia się z wyborami na poziomie wspólnotowym.

Z drugiej strony w największych krajach Europy nadchodzą wybory. Jak wynika z sondaży, może dojść do zmiany rządów. Wybory w Niemczech, Francji oraz być może we Włoszech mogą prowadzić do zmiany kursu Unii. Goście Forum będą dyskutowali o tym, jaki kierunek może zostać obrany.

Wśród tematów wiodących znajdą się rozmowy o nowym pakiecie klimatycznym. Pakiet legislacyjny „fit for 55" będzie się wiązał ze znaczącymi zmianami dla gospodarki i obywateli państw członkowskich. Wielką niewiadomą pozostaje, jakie skutki przyniosą szybkie zmiany obejmujące całość życia gospodarczego i społecznego Europy. Debaty na Forum Ekonomicznym będą okazją do zapoznania się z konsekwencjami rozstrzygnięć zapadających na poziomie unijnym.

Równie uważnie uczestnicy Forum przyjrzą się programom stymulującym gospodarkę, jakie uruchomiły państwa europejskie po pandemii. Jednym z nich jest Polski Ład. Uczestnicy paneli zastanowią się, czy te rozwiązania, w skali nieznanej od kilkudziesięciu lat w Europie, są dobrze przygotowane i czy dają szansę na długofalową poprawę sytuacji ekonomicznej.

Jak co roku Forum będzie gościć najważniejszych przedstawicieli polityki i biznesu. Do Karpacza przyjadą m.in. wicepremier Piotr Gliński, wicepremier Jacek Sasin, Zbigniew Rau, Michał Kurtyka, Marlena Maląg czy Konrad Szymański. Nie zabraknie prezesów czołowych polskich firm, takich jak Nikodem Iskra, Anna Rulkiewicz, Paweł Poszytek, Krzysztof Inglot czy Anna Milewska. Swoją obecnością zaszczycą imprezę także goście z zagranicy, m.in. Michael Kretschmer – premier Saksonii, Vladimir Rakhmanin – zastępca dyrektora generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa, Hannes Swoboda – prezes Międzynarodowego Instytutu Pokoju, czy Christian Hauglie-Hanssen – prezes Norweskiej Agencji Kosmicznej.

Wśród uczestników Forum Ekonomicznego dużym powodzeniem od lat cieszy się Forum Regionów. W tegorocznej edycji odbędzie się 17 paneli dyskusyjnych, poruszających szerokie spektrum samorządowych zagadnień – od polityki spójności w Unii Europejskiej i jej wpływu na przyszłość regionów po politykę fiskalną samorządów. Zaplanowano dyskusje na temat strategii rozwoju miast i gmin oraz miejsca kultury w rozwoju regionalnym. Wśród gości forum będą marszałkowie Elżbieta Anna Polak i Cezary Przybylski czy wojewodowie Łukasz Kmita i Jarosław Obremski. Jak co roku, w panelach wezmą udział także prezydenci i burmistrzowie polskich miast.

Forum od początku swojego istnienia dąży do włączania osób młodych do dyskusji na temat przyszłości Europy i świata, a także w procesy decyzyjne kształtujące naszą rzeczywistość. W tym roku odbędzie się XVI edycja Forum Ekonomicznego Młodych Liderów. Program obfituje w sesje warsztatowe, panele dyskusyjne czy debaty oksfordzkie. Ma wzbogacić młodych uczestników o wiedzę, pewność siebie oraz zainspirować do działania.

XXX Forum Ekonomiczne odbędzie się od 7 do 9 września w Karpaczu. Podczas wydarzenia zostaną przyznane nagrody w kategoriach: Człowiek Roku, Firma Roku oraz Organizacja Pozarządowa Europy Środkowo-Wschodniej

Oprócz bogatego programu merytorycznego uczestnicy Forum Ekonomicznego mogą liczyć na szeroki wachlarz imprez kulturalnych. Szczególnym zainteresowaniem cieszą się koncerty prezentujące różne gatunki muzyczne. W gronie zespołów, które w ubiegłych latach uświetniły uroczyste gale Forum, znalazły się m.in.: Sinfonietta Cracovia, Orkiestra Tomka Szymusia, Orkiestra Akademii Beethovenowskiej czy Orkiestra Kameralna Miasta Tychy AUKSO.

XXX Forum Ekonomiczne odbędzie się od 7 do 9 września w Karpaczu. Podczas wydarzenia zostaną przyznane nagrody w kategoriach: Człowiek Roku, Firma Roku oraz Organizacja Pozarządowa Europy Środkowo-Wschodniej.

Organizatorem Forum Ekonomicznego jest Instytut Studiów Wschodnich. Głównymi partnerami są: województwo dolnośląskie, miasto Wrocław oraz miasto gospodarz – Karpacz, Port Lotniczy Wrocław oraz Dolnośląska Agencja Współpracy Gospodarczej. ●

3/0921/F, 5/0921/F

eprasa.pl 484cb83f52

Panele

Europa w poszukiwaniu przywództwa

Osłabiona pandemią COVID-19 Europa staje przed nie lada wyzwaniem odbudowania swojej pozycji gospodarczej oraz utrzymania istotnej roli w relacjach międzynarodowych. Jednak aby na globalnej arenie móc występować jako silny gracz, Europa musi najpierw przemówić spójnym głosem. Wydaje się, że do osiągnięcia konsensu na obecnym etapie niezbędne jest silne przywództwo. Gdzie szukać takiego przywództwa? Kto będzie w stanie udźwignąć ciężar wyznaczania Europie właściwego kierunku?

Moderator: **Bogusław Chrabota**, redaktor naczelny, „Rzeczpospolita", Polska

Udział wezmą: **Zbigniew Rau**, minister spraw zagranicznych, Polska; **Joachim Bitterlich**, profesor, były doradca Helmuta Kohla, ESCP Europe, Niemcy; **Péter Szijjártó**, minister spraw zagranicznych i handlu, Węgry; **Peter Kodwo Appiah Turkson**, kardynał, prefekt Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka, Watykan

Europejski transport na miarę XXI w.

Państwa członkowskie UE różnią się pod względem stopnia rozwoju infrastruktury transportowej. Biorąc pod uwagę, że sektor ten jest jednym z najbardziej strategicznych dla rozwoju handlu, usług i przemysłu, dla Europy niezbędne jest wypracowanie strategii w zakresie jej rozbudowy i funkcjonowania. Jak zapewnić innowacyjny, neutralny dla środowiska i bezpieczny transport? W jakie projekty inwestować, aby zapewnić szybki rozwój infrastruktury?

Moderator: **Bogdan Rzońca**, poseł, Parlament Europejski, Polska

Udział wezmą: **Andrzej Adamczyk**, minister infrastruktury, Polska; **Michał Konowrocki**, dyrektor zarządzający, Uber Poland, Polska; **Andrej Doležal**, minister transportu i budownictwa Republiki Słowackiej, Słowacja; **Oleksandr Kubrakow**, minister infrastruktury, Ukraina; **Artur Popko**, prezes zarządu, Budimex SA, Polska

W poszukiwaniu polskiej recepty na neutralność klimatyczną

W 2050 r. poziom redukcji emisji CO_2 w całej Unii Europejskiej ma wynieść 55 proc. Spełnienie tych wymagań wiąże się z odejściem od zużycia węgla i stworzeniem nowych planów dla polskiej energetyki, które pozwolą uniknąć zagrożeń dla bezpieczeństwa energetycznego kraju. Jaka jest zatem polska strategia realizacji tego celu? Czy proces nieuniknionej transformacji można przeprowadzić w sposób korzystny dla polskiej gospodarki?

Udział wezmą: **Michał Kurtyka**, minister klimatu i środowiska, Polska; **Katarzyna Byczkowsk**a, dyrektor zarządzająca, BASF Polska sp. z o.o., Polska; **Jan Krzysztof Ardanowski**, poseł, Polska; **Urszula Pasławska**, poseł, Polska; **Wojciech Hann**, prezes zarządu, Bank Ochrony Środowiska SA, Polska; **Michał Grzybowski**, prezes, Philips, Polska

Prezentacja Zielonego Ładu dla Europy Środkowej

Neutralność klimatyczna jest sporym wyzwaniem dla gospodarek do tej pory opierających się na węglu. W Europie toczy się dyskusja nad Zielonym Ładem, związaną z nim skuteczną i korzystną transformacją energetyczną oraz jej wpływem na produkcję rolną, a także nad strategią bioróżnorodności i gospodarką leśną. Przywódcy państw V4 muszą poradzić sobie z efektywnym wdrożeniem zrównoważonego rozwoju, odpowiednim dla rozwoju regionu. Które rozwiązania są najskuteczniejsze dla państw Europy Środkowej?

Moderator: **Bogdan Rzońca**, poseł, Parlament Europejski, Polska

Udział wezmą: **Grzegorz Puda**, minister rolnictwa i rozwoju wsi, Polska; **Janusz Wojciechowski**, komisarz ds. rolnictwa, Komisja Europejska, Polska; **Teresa Pamuła**, poseł, Polska; **Jarosław Sachajko**, poseł, Polska; **Robert Telus**, poseł, przewodniczący Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi, Polska

29/0721/F

eprasa.pl 484cb83f52

Najważniejsi goście

W XXX Forum Ekonomicznym w Karpaczu udział wezmą:

PIOTR GLIŃSKI – **wicepremier, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu**

Poseł na Sejm VIII i IX kadencji (od 2015), wiceprezes Rady Ministrów (od 2015), minister kultury i dziedzictwa narodowego (2015–2020), minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu (od 2020). Przewodniczący Komitetu do spraw Pożytku Publicznego (od 2017), przewodniczący Komitetu Społecznego Rady Ministrów (od 2019).

Jacek Sasin – wiceprezes Rady Ministrów

Poseł na Sejm VII, VIII i IX kadencji, wojewoda mazowiecki (2007), zastępca szefa Kancelarii Prezydenta RP (2009–2010), sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów (2018–2019). Od 2019 r. pełni funkcje wiceprezesa Rady Ministrów oraz ministra aktywów państwowych.

Michael Kretschmer – premier Saksonii

Wieloletni działacz chadeckiej partii CDU. Już w latach 90. rozpoczął swoją działalność samorządowca. Od 1994 do 1999 r. wchodził w skład rady miejskiej Görlitz, a w 2008 r. został radnym powiatu Görlitz. W 2002 r. pierwszy raz uzyskał mandat deputowanego do Bundestagu. Z powodzeniem ubiegał się o reelekcję w wyborach w 2005, 2009 i 2013 r. Premierem Saksonii został w 2017 r. Poprowadził CDU do zwycięstwa w wyborach do landtagu w 2019 r. i przedłużył swoje urzędowanie na kolejną kadencję. Obecnie stoi na czele koalicji CDU, SPD i Partii Zielonych.

Marlena Maląg – minister rodziny, pracy i polityki społecznej

Posłanka na Sejm IX kadencji (od 2019), wiceprezydent Ostrowa Wielkopolskiego (2012-2014), wicestarosta ostrowski (2015–2016), wicewojewoda wielkopolski (2016–2018), prezes Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (2018–2019). Od 2020 r. pełni funkcję ministra rodziny, pracy i polityki społecznej w drugim rządzie Mateusza Morawieckiego.

Michał Kurtyka – minister klimatu i środowiska

Ekonomista, urzędnik państwowy i doktor nauk ekonomicznych. W latach 2016–2018 związany z Ministerstwem Energii na stanowiskach podsekretarza i sekretarza stanu, w latach 2018–2019 sekretarz stanu w Ministerstwie Środowiska. Od 2019 r. minister klimatu, następnie minister klimatu i środowiska.

Richard Tice – lider Partii Reform UK

Swoją karierę polityczną rozpoczął w 2014 r. Był przewodniczącym Partii Reform UK, a także posłem do Parlamentu Europejskiego do czasu opuszczenia UE przez Wielką Brytanię. Obecnie aktywnie promuje wizję gospodarczą Wielkiej Brytanii opartą na niskich podatkach, regulowaną w sposób inteligentny i przynoszący wysoki wzrost.

Zbigniew Rau – minister spraw zagranicznych

Polski prawnik i nauczyciel akademicki. Wykładał prawo na uniwersytetach w Niemczech, Holandii, Wielkiej Brytanii, USA i Australii. W latach 80. był aktywnym członkiem Solidarności. Pełnił funkcję senatora VI kadencji (2005–2007) i wojewody łódzkiego (2015–2019). W 2019 r. został wybrany na posła RP. 6 sierpnia 2020 r. prezydent Andrzej Duda na wniosek premiera Mateusza Morawieckiego powołał go na stanowisko ministra spraw zagranicznych.

Janusz Wojciechowski – komisarz Unii Europejskiej ds. rolnictwa

Polski prawnik i sędzia. Pełnił funkcję posła do Parlamentu Europejskiego (2004–2016), prezesa Najwyższej Izby Kontroli (1995–2001), wicemarszałka Sejmu IV kadencji (2001–2004) oraz prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego (2004–2005). 1 grudnia 2019 r. objął stanowisko komisarza UE ds. rolnictwa.

Hannes Swoboda – prezes Międzynarodowego Instytutu Pokoju

Austriacki polityk i ekonomista, poseł do Parlamentu Europejskiego IV, V, VI i VII kadencji. Ukończył studia prawnicze i ekonomiczne na Uniwersytecie Wiedeńskim (Dr. iur.). Do 1986 r. był zatrudniony w Wiedeńskiej Izbie Pracy, doszedł do stanowiska kierownika działu. Od 1983 r. był radnym wiedeńskiego landtagu i rady miasta. Wieloletni działacz Socjaldemokratycznej Partii Austrii. W latach 2012–2014 pełnił funkcję przewodniczącego frakcji Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim.

Vladimir Rakhmanin – dyrektor generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa

W styczniu 2014 r. został zastępcą dyrektora generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) i regionalnym przedstawicielem Europy i Azji Środkowej.

eprasa.pl 484cb83f52

O Forum Ekonomicznym w Karpaczu, o Europie, kryzysach i szansach na ich pokonanie oraz pieniądzach na realizację polskiej racji stanu z twórcą i przewodniczącym Rady Programowej Forum Ekonomicznego **Zygmuntem Berdychowskim** rozmawiają Maciej Wośko („Gazeta Bankowa") i Maksymilian Wysocki (wGospodarce.pl)

Porozmawiajmy o kondycji europejskiej polityki i jej elit

Panie przewodniczący, wyjaśnijmy na początek pewne wątpliwości formalne. XXX Forum Ekonomiczne przed nami. XXX? Wydawało mi się, że ubiegłoroczne spotkanie było jubileuszowe...

Zygmunt Berdychowski: W ubiegłym roku Forum odbyło się w czasie pandemii. Ze względu na nadzwyczajne okoliczności, ograniczenia, które towarzyszyły nam w roku 2020, postanowiliśmy zorganizować wydarzenie nadzwyczajne, poza standardową numeracją. Było to wyjątkowe Forum Ekonomiczne, bo musieliśmy się przenieść z Krynicy do Karpacza, a liczba uczestników stanowiła zaledwie 30 proc. tych, którzy zazwyczaj biorą udział w obradach forum. Odbyło się ze stosunkowo niewielkim udziałem gości z zagranicy właśnie ze względu na obostrzenia pandemiczne. Uznaliśmy, że to wszystko daje nam legitymację, żeby to w 2021 r. zorganizować jubileuszowe Forum.

Mamy zatem XXX, jubileuszowe Forum i przenosimy się na Dolny Śląsk...

Dolny Śląsk i Karpacz zostały wybrane na miejsce Forum z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że oferta, którą przygotowały podmioty zrzeszone w Konsorcjum Dolnośląskim, okazała się najlepsza. Ze względu na skalę naszego przedsięwzięcia potrzebujemy w różnych miejscach wsparcia ze strony administracji samorządowej. Choćby przyjęcie gości w saloniku VIP na lotnisku, kiedy przyjeżdżają uczestnicy z zagranicy, przedstawiciele administracji, rządów. W roku 2019 osób na poziomie VIP – jak minister, wicemarszałek, marszałek Sejmu, premier, prezydent, były prezydent – było ponad 100. To już jest spory wydatek, który należy uwzględnić w budżecie. Kiedy rozmawiamy o uroczystości, wieczornej gali wręczenia nagród, to orkiestra, która powinna towarzyszyć tego rodzaju uroczystości może być albo przez nas opłacona, albo może być zapewniona przez naszych partnerów samorządowych, którzy na przykład w przypadku samorządu regionalnego są organem założycielskim dla filharmonii. Jednym słowem jest wiele wydatków, których ograniczenie pozwoli nam przeznaczyć te środki i siły na inne cele w czasie Forum.

Drugi powód – równie ważny – to sytuacja, w której po 10 latach od podpisania poprzednich umów z samorządami małopolskimi poszukiwaliśmy sposobu na to, aby wychodząc z pandemii, mieć dodatkową energię, taką dodatkową siłę. Ta dodatkowa energia pojawia się np. wtedy, kiedy nie trzeba budować miasteczka kongresowego, a w Krynicy trzeba było budować. Dzięki temu pojawia się szansa na to, że dodatkowy element związany z aktywnością, z tym potencjałem, którym dysponuje cały nasz Instytut, można przekierować do realizacji samej konferencji. Byliśmy też, właśnie w Karpaczu, świadkami zupełnie nadzwyczajnej sytuacji. Otóż współzarządzany przez PiS Sejmik Województwa Dolnośląskiego, zarządzana przez Platformę Rada Miasta Wrocławia i niewielki samorząd z absolutnych peryferii Dolnego Śląska przygotowują wspólnie ofertę i mówią jednym głosem: „Chcemy Forum Ekonomicznego!". Takie ponadpolityczne działanie daje szansę na to, że zwłaszcza teraz, kiedy potrzebujemy miejsca, w którym nie ma aż tak wielu uprzedzeń, stereotypów, schematów, gdzie te podziały polityczne nie odciskają aż tak silnego piętna, już nie tylko my będziemy nad tym pracować, żeby udało się spotkać i debatować. To był ten bardzo istotny element, który również wpłynął na ostateczną decyzję o organizacji Forum w Karpaczu.

Ale wraca „deptak" – szczególnie lubiane miejsce spotkań jeszcze z Krynicy. W ubiegłym roku brakowało go w Karpaczu.

Brakowało gości. W roku 2019 mieliśmy prawie 5 tys. osób, które przyjęły nasze zaproszenie, a w roku pandemicznym było tych osób niespełna 1,6 tys. Nie ma takiej możliwości, żebyśmy wszyscy nie byli pod wrażeniem tego, że nie ma ludzi. Nie było ich widać na sali, w strefach partnerskich, na debatach. Rok temu zatem także „deptaka" nie było z jednego prostego powodu – przygotowaliśmy wydarzenie, które odbywało się w obecności 30 proc. gości z poprzednich lat. To było zupełnie inne Forum...

Hasłem tegorocznego Forum jest „Europa w poszukiwaniu przywództwa". Pana zdaniem mamy do czynienia z kryzysem przywództwa w Europie czy też to raczej poszukiwanie „dobrego przywództwa"?

Kiedy rozmawiamy o kondycji europejskiej polityki, europejskich elit politycznych, to po pierwsze, trzeba pamiętać, że we wrześniu 2021 r. mamy wybory w Niemczech, które pierwszy raz od wielu, wielu lat odbywają się w atmosferze decyzji Angeli Merkel, która nie będzie się już ubiegać o funkcję kanclerza. Po drugie, w przyszłym roku mamy wybory prezydenckie we Francji i wszyscy żyją już w cieniu tych wyborów. Po trzecie, kolejny wielki kraj Unii Europejskiej – Włochy – cierpi na wszystkie te choroby, które wiążą się z brakiem stabilności wewnątrz parlamentu, a koalicja jest koalicją wielopartyjną, czasową, powołaną wyłącznie jako rozwiązanie, które ma umożliwić wyjście z kryzysu pandemicznego. Wybory mogą tam się odbyć nawet w tym roku. Mamy też do czynienia z sytuacjami, również w takich krajach jak Polska, które systematycznie spychane są na margines europejski poprzez formułowanie przez KE różnego rodzaju zastrzeżeń, różnego rodzaju wymogów. Te kraje nie mogą tak naprawdę w pełnym zakresie brać udziału w debacie o ustaleniu agendy europejskiej związanej z wykorzystaniem ogromnych pieniędzy, które będą wpompowane do gospodarki europejskiej.

Jednym słowem, element pierwszy jest związany z kalendarzem wyborczym. Wydaje się też, że jakby spojrzeć na kondycję liberalnej demokracji na początku XXI w., to każdy z nas widzi, że brakuje takiego przywództwa, które jest w stanie wykreować wspólny, akceptowalny program. Warto przytoczyć kilka przykładów. Otóż jeżeli dzisiaj, rozmawiając o Zielonym Ładzie albo o „pakcie dla 55 proc.", zaczynamy od tego, iż pakt jest przedstawiany – uwaga! – 14 lipca nieprzypadkowo, bo to rewolucja. Musimy sobie zadać pytanie, czy

eprasa.pl 484cb83f52

> Pandemia była – paradoksalnie – wielką szansą dla Europy na skrócenie łańcucha dostaw, na przeniesienie produkcji i uruchomienie jej właśnie na Starym Kontynencie. I już wiemy, że to się nie udało. Znów wygrywa Azja. To jest stracona szansa – być może właśnie przez ten infantylny imposybilizm

mamy przywództwo, które jest w stanie takim wielkim celom, formułowanym raz na kilkadziesiąt lat, sprostać, czy to jest przywództwo, które potrafi skłonić do rozmowy, czy będzie „zmuszać" lub czy będzie w stanie zaakceptować pewne kompromisy.

I czy w ogóle jest gotowe na kompromisy...

To jest też oczywiście pytanie o to, w jakiej kondycji jest liberalna demokracja po tym, jak już pokonała faszyzm, socjalizm i inne etatyzmy. Obudowana tak jak dzisiaj w Europie różnego rodzaju gwarancjami dla każdorazowej mniejszości, liberalna demokracja staje się coraz bardziej ociężała. Jej fundamenty, czyli wolność jednostki z jednej strony i z drugiej strony takie oczekiwanie ograniczania funkcji państwa, zmieniają się w dzisiejszej Europie w model, w którym wszystko ma być uregulowane najlepiej przez komisję, a gospodarka ma funkcjonować w warunkach niemalże planowych, z góry ustalonych, przewidzianych. Dochodzimy na przykład do takich sytuacji, jak to orzeczenie sądu w Amsterdamie, który po rozpoznaniu skargi ekologów decyduje o tym, że Shell zatrudniający na świecie ponad 100 tys. pracowników ma likwidować swój ślad węglowy nie w ciągu 15 lat, ale w ciągu 10. I nikt nie zadaje pytania, czy rzeczywiście jest to możliwe, czy podejmujący takie decyzje są wystarczająco kompetentni, czy byli dobrze przygotowani, czy ta decyzja nie obciąża gospodarki europejskiej, która przez to staje się po prostu mniej konkurencyjna. Jeżeli przyjrzymy się na przykład orzeczeniu innego sądu, czyli Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie Turowa, to znowu możemy zadać te pytania. A co się wydarzy, jeżeli w europejskim systemie mocy zabraknie nagle tych kilku procent, które produkuje Turów, gdy będziemy świadkami takiego kryzysu jak w kwietniu, kiedy Europa musiała importować „brudną" energię z Polski.

To są tylko pewne sygnały, że ta rozmowa o przywództwie w Europie to rozmowa o tym, w jaki sposób wymusić kompromis, konsens i jak ułożyć agendę tych najważniejszych spraw, aby nie dochodziło do sytuacji, w której to mniejszości narzucają pewne rozwiązania powodujące, że nasza gospodarka, że nasz model ustrojowy jest całkowicie niekonkurencyjny.

Transformacja, zmiana, a tym bardziej rewolucja oznacza też koszty.

Nie możemy sobie pozwolić, by dowolnie obciążać takimi kosztami różne gałęzie naszego przemysłu. I tu znowu taki przykład, który jest bardzo pouczający. 15 lat temu największe koncerny produkujące samochody w Europie nawet nie rozważały możliwości, aby swoją produkcję skoncentrować na samochodach elektrycznych. Dziś w związku z tym największym producentem samochodów elektrycznych jest firma ze Stanów Zjednoczonych, o której 15 lat temu nikt nie słyszał. Więcej, wartość trzech największych europejskich koncernów samochodowych na giełdzie jest mniejsza niż wartość tego jednego, amerykańskiego koncernu, który produkuje samochody elektryczne.

I wtedy musi paść to pytanie: „Dlaczego?". Ano dlatego, że staraliśmy się myśleć o mniejszości, staraliśmy się myśleć o tym, żeby realizować pewien model społecznej gospodarki, i się okazało, że przez te wszystkie zastrzeżenia, obciążenia tracimy konkurencyjność w skali globalnej.

Z tego powodu inicjujemy na Forum rozmowę o przywództwie, o tym, kto wymusi konsens, kto ustali agendę, kto zaproponuje takie czy inne fundamentalne rozwiązania. To jest rozmowa na dziś kluczowa, gdy mówimy o zmianach klimatycznych, gdy zbieramy opinie o „Fit for 55", który przedstawia komisarz Timmermans. Nie możemy tego robić „w otoczce" 14 lipca, w kontekście wydarzeń i ludzi, którzy wtedy byli przekonani, że

eprasa.pl 484cb83f52

wszystko można, że to „my" zagwarantujemy to lepiej, sprawniej, że „my" to już potrafimy, że człowiek ma taką siłę sprawczą, że nie musi się oglądać na cokolwiek, bo sam sobie ze wszystkim poradzi. Bardzo szybko się okazało, że to jest niemożliwe, i wynikło z tego tylko i wyłącznie wielkie nieszczęście.

W tym czasie trwa wyścig o globalne przywództwo, w którym regulacje w zderzeniu np. z Chinami stają się obciążeniem, hamulcem.

Pandemia była – paradoksalnie – wielką szansą dla Europy na skrócenie łańcucha dostaw, na przeniesienie produkcji i uruchomienie jej właśnie w na Starym Kontynencie. I już wiemy, że to się nie udało. Znów wygrywa Azja. To jest stracona szansa – być może właśnie przez ten infantylny imposybilizm. A sytuacja wymaga od polityków determinacji w konstruowaniu takich instrumentów, które spowodują, że wielkie międzynarodowe korporacje będą przenosić produkcję z Chin do Polski, na Słowację, do Czech, na Węgry czy do jakiegoś innego kraju w tej części Europy. To się nie będzie opłacało, dopóki Europa Środkowa nie otrzyma odpowiednich preferencji. Jeżeli dzisiaj opłaca się jechać i montować w Chinach, Indiach takie czy inne maszyny, urządzenia, to jest pochodna tego, jak nieskuteczni są dzisiaj europejscy politycy, którzy się koncentrują na wielu elementach mających w najdrobniejszych szczegółach programować sytuację wewnątrz Unii, a równocześnie nie potrafią zabiegać o to, żeby stworzyć mechanizm, który skłoni korporacje do tego, żeby przenieść się z Azji. To też jest rozmowa o tym, jakie mamy przywództwo, o jego kondycji.

Czy dyskusje podczas forum będą też dotyczyły tego, że Unia nie poradziła sobie z pandemią i czy poradzi sobie w takim razie ze skutkami pandemii?

To, że sobie nie poradziła z pandemią, to myślę, że jest już naszą wiedzą, mamy tego doskonałą świadomość. Zakupy kolejnych szczepionek pokazują, jak ogromnie duże było to wyzwanie. Teraz ważne, by konstruując jakieś scenariusze na przyszłość, wyciągnąć wnioski z tego, co się wydarzyło. Dopóki nie mamy tego przywództwa, które potrafi przedstawić agendę dającą szansę na wypracowanie kompromisu, dopóki nie mamy przywództwa, które wymusza ten kompromis w sytuacjach ekstremalnych, nie możemy liczyć na to, że takie decyzje będą sprawnie podejmowanie. Zwłaszcza jeżeli chodzi o inwestycje w Europie Środkowej, związane z tym ułatwienia, środki na budowę infrastruktury, na jej unowocześnienie – trudno liczyć, że to się samo zrealizuje. I jeżeli spojrzeć na ostatnie 16–17 lat, czyli od momentu wejścia Europy Środkowej do Unii, to krajem, który odnosi z tego powodu największe korzyści, są nasi zachodni sąsiedzi. Niemiecka gospodarka ogromnie dużo skorzystała nie tylko na pracownikach, którzy pojechali do pracy, lecz przede wszystkim na tych ogromnych korytarzach transportowych, które sprawiły, że można było tutaj, niedaleko Poznania, niedaleko Wrocławia uruchomić ogromne zakłady. To z kolei umożliwiło, że eksport niemiecki stał się eksportem konkurencyjnym. Ich sukces był możliwy, dlatego że podjęli decyzję o lokowaniu w Polsce. I dzisiaj tak samo muszą myśleć o tym, żeby lokować w Europie Środkowej te inwestycje, które zostały umieszczone przez wielkie europejskie korporacje w Azji – ze względu na bezpieczeństwo i ze względu na korzyści, które będą osiągać.

Tych kryzysów, które trwają lub są przed nami – poza COVID-19 – jest więcej. Sytuacja na Ukrainie, Białorusi to tematy bliskie także panu, organizatorom forum – Instytutowi Studiów Wschodnich. Czy w tym roku wybrzmi też ten wyraźny sygnał, który płynie z Forum Ekonomicznego, że ta część Europy potrzebuje zainteresowania bogatej części Europy?

Tu są największe rezerwy, jeżeli chodzi o przyspieszenie rozwoju gospodarczego całej Europy. W przypadku Ukrainy to jest prawie 40-milionowy rynek, więc trzeba walczyć, żeby maksymalnie wykorzystać jego potencjał. Ukraina musi być częścią europejskiej gospodarki, musi być częścią europejskiego krwiobiegu gospodarczego. Wszystkim to będzie się bardzo opłacało i na tym interes zrobią i Polacy, i Niemcy, i Francuzi, i Włosi, i sami Ukraińcy. Co do tego nie mam absolutnie żadnych wątpliwości i dlatego od wielu lat staramy się mocno pokazywać na Forum tę część Europy jako niezwykle atrakcyjne miejsce do inwestycji, do robienia biznesu. Nie ma Europy bez Ukrainy.

> Rozmowa o przywództwie w Europie to rozmowa o tym, w jaki sposób wymusić kompromis, konsens i jak ułożyć agendę tych najważniejszych spraw, aby nie dochodziło do sytuacji, w której to mniejszości narzucają pewne rozwiązania powodujące, że nasza gospodarka, że nasz model ustrojowy jest całkowicie niekonkurencyjny

Europa nie będzie mogła się rozwijać, jeżeli równocześnie na peryferiach będzie taka czarna dziura. Będziemy wtedy musieli wydawać więcej pieniędzy na armię, będziemy musieli wydawać więcej pieniędzy, by tam się bronić. Mamy przykład z ostatnich dwóch tygodni, gdy musimy bronić się przed imigrantami, którzy są dowożeni ciężarówkami przez reżim, który nie chce zaakceptować woli swoich obywateli.

Afganistan to nowy punkt zapalny oznaczający niebezpieczeństwo napływu dużej grupy uchodźców. Ale może warto wykorzystać potencjał wykształconych, chętnych do osiedlania się w Europie Afgańczyków, którzy muszą uciekać z ojczyzny przed talibami?

eprasa.pl 484cb83f52

Polska, podobnie jak każdy inny kraj w Europie, powinna prowadzić rozumną politykę imigracyjną. Zapewniamy wizy wjazdowe i dobre warunki dla rozwoju tych obywateli, którzy najzwyczajniej w świecie są nam potrzebni. Kiedy jednak mówimy o uchodźcach politycznych, to nie powinniśmy się oglądać absolutnie na żadne ograniczenia. Ale w 90 proc. przypadków nie mówimy o wychodźstwie politycznym, powodowanym brakiem przestrzegania praw człowieka, tylko o imigracji ekonomicznej. I tutaj powinniśmy być absolutnie pragmatyczni. Powinniśmy realizować cele, które sobie wyznaczamy. Jeśli potrzebujemy matematyków, fizyków, poszukujemy tych, którzy mogą zapełniać nasz rynek pracy – dajemy szansę także imigrantom. Pragmatyzm, pragmatyzm i jeszcze raz pragmatyzm.

Wracając do sytuacji w Afganistanie, uważam, że rolą kraju średniego – takiego jak Polska – jest uzupełniać, wspierać działania krajów wielkich, takich jak Stany Zjednoczone. Nie możemy się łudzić, że będziemy nadawać ton, że będziemy projektowali skalę ewakuacji. Nie przesadzajmy z tym naszym znaczeniem na arenie międzynarodowej... Nie dlatego, żeby go nie było, tylko że w takich przypadkach jest ograniczone i trzeba mieć po prostu tego świadomość. Tutaj zawiedli przede wszystkim nasi najważniejsi sojusznicy: sposobem, w jaki podjęli tę decyzję, sposobem, w jaki ją zrealizowali, ale też akcją ewakuacji. W tym zakresie mogliśmy w niewielkim stopniu wpływać na postawy naszych partnerów i wydaje się, że to, co do nas należało, myśmy na końcu i powiedzieli, i zrobili. Sądzę, że tutaj specjalnie wiele nie mogliśmy uczynić i pewnie w najbliższym czasie nie będziemy mogli zrobić, bo najzwyczajniej w świecie nie jesteśmy ani Stanami Zjednoczonymi, ani Niemcami, ani Francją.

Chodzi o to, abyśmy akceptując przybyszów, stwarzając im dobre warunki, wykorzystując ich potencjał do rozwoju naszego modelu gospodarczego, ustrojowego, równocześnie nie narażali siebie samych na ryzyko eksperymentu, który może się zakończyć niepowodzeniem. Wydaje się, że jesteśmy świadkami takich symptomów, które sygnalizują przynajmniej w części porażkę takiego bezgranicznie otwartego podejścia do tych wszystkich, którzy chcieliby tu razem z nami być. Coraz więcej ważnych polityków w Europie ma świadomość, że Europy nie stać na wszystkich, którzy chcą tu przyjechać. To też efekt ekscytacji arabską wiosną ludów, tym, że obalimy dyktatorów i zmienimy kilka krajów. Skutkiem jest kilka milionów ludzi, którzy stanęli na granicach, prosząc o pomoc, bo świat, w którym żyli, został zupełnie zrujnowany. A my wszystkim pomóc nie możemy.

Może zwyczajnie nie da się pewnych rzeczy zmienić... Amerykanie się przekonali, że nie da się „wychować" Afgańczyków, zmienić ich systemu życia.

Jeszcze raz, wracając do początku naszej rozmowy – to jest takie przekonanie, które charakteryzuje człowieka świata Zachodu na początku XXI w.: my wszystko możemy, wszystko zaplanujemy, wszystko zorganizujemy. Mamy pieniądze, mamy telefony, samochody, samoloty – w związku z tym nikt się nam nie oprze. I okazuje się, że jednak...

Wracając do tej polskiej chęci nadawania tonu w polityce międzynarodowej: jest pewien projekt, z którym próbujemy się przebić – Trójmorze. I mam wrażenie, że cały czas jesteśmy w fazie przygotowań, na etapie rozpędu i coś się rozpędzić nie możemy... Sny o potędze?

Uważam, że to chęci jak najbardziej racjonalne. Jesteśmy krajem w Europie, państwem średniej wielkości, piątym–szóstym pod względem liczby ludności, pod względem wielkości gospodarki, w związku z tym zgłaszanie tego rodzaju aspiracji jest jak najbardziej racjonalne, na miejscu i bardzo dobrze, że jesteśmy tego świadkami. Ale kiedy stawiasz pewne polityczne cele, zawsze, kiedy konstruujesz pewną wizję i mówisz: „Tak powinien wyglądać świat za parę lat", to zawsze musi paść pytanie: „A ile na to dajesz?". Pytanie o pieniądze jest pytaniem absolutnie fundamentalnym, jeżeli chodzi o polską obecność w Europie Środkowej. Dlaczego niedomaga nasza obecność w grupie wyszehradzkiej, z którą się identyfikujemy, która jest już w różnych dyskursach europejskich podmiotem, która zaznaczyła swoje istnienie. No to zapytajmy na przykład, jaki jest program stypendialny dla Słowaków, którzy mogliby studiować w Polsce, i ile na ten cel wydaliśmy pieniędzy? Albo jaki jest program dla studentów z Czech. Jak jest wspierana i ile wydajemy na fenomenalną współpracę na poziomie samorządowym Polski i Węgier. Nie chcę już pytać o Rumunię, bo kiedy mówi się o Trójmorzu, to Rumunia jest absolutnie kluczowym partnerem, i nie pytam o Ukrainę... Bardzo dużo deklarujemy i równocześnie stać nas na stosunkowo niewiele. Jesteśmy świadkami pewnego procesu, w którym stopniowo stajemy się coraz bardziej „podmiotem", a nie tylko „przedmiotem" europejskiej polityki i debaty.

A nie jest tak, że Trójmorze biegnie po prostu w poprzek planom i projektom zachodniej Europy i stąd trudności?

Nie ma znaczenia, czy zachód albo wschód Europy ma wobec tej części świata takie czy inne plany. To dla nas nie powinno mieć znaczenia. Jeżeli formułujemy polską rację stanu, to musimy ją programować niezależnie od tego, co sądzą o niej Niemcy, Rosjanie, Amerykanie, Izraelczycy czy ktokolwiek inny. To jest Polska racja stanu i żeby ją zbudować, żeby ją głośno wypowiedzieć, nie narażając się na kompromitację, musimy sobie powiedzieć tak: tyle i tyle mamy na to, żeby zrealizować ten projekt. Oprócz woli politycznej, drugim fundamentem, w oparciu o który można budować polską obecność w Europie Środkowej, jest tworzenie wokół siebie koalicji umożliwiającej wsparcie interesów wewnątrz wspólnoty. Pod tym względem koncepcja Trójmorza wpasowuje się w tradycję, bo z tradycji pierwszej i drugiej Rzeczypospolitej wyrasta. Nowym elementem jest dziś pytanie: „Ile mamy na to pieniędzy?". ●

eprasa.pl 484cb83f52

Jaki śmigłowiec dla polskiej armii

Śmigłowiec Apache mógłby ściśle wspierać czołgi Abrams podczas penetracji pola walki głęboko za liniami wroga, gdzie mógłby wykrywać jednostki obrony przeciwlotniczej, zanim te systemy staną się zagrożeniem

Z George'em „Adamem" Hodgesem, emerytowanym podpułkownikiem Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych, weteranem czterech misji na Bliskim Wschodzie, w 2016 r. dowodzącym jedyną amerykańską grupą operacyjną śmigłowców w Iraku, obecnie odpowiadającym za sprzedaż i marketing helikopterów Apache w Europie Środkowo-Wschodniej i na Bliskim Wschodzie w Boeing Defense, Space & Security, rozmawia Andrzej Rafał Potocki

Apache to najnowocześniejsza konstrukcja, jeśli chodzi o śmigłowce bojowe przeznaczone do zwalczania broni pancernej i wspierania wojsk lądowych. Ma pan na swoim koncie 1,5 tys. godzin nalotu, z czego część w warunkach bojowych. Jak się lata Apachem?

George Hodges: Doskonale. Podobnie jak w przypadku większości śmigłowców Apachem lata się poprzez sterowanie skokiem łopat wirnika głównego i ogonowego, a także płaszczyzną ścieżki lotu wirnika głównego. To, co czyni Apache'a naprawdę wyjątkowym, to kombinacja optycznych systemów celowniczych, radarowego sprzętu wykrywającego i akwizycyjnego, możliwości współpracy załogi z bezzałogowcami oraz zaawansowanej sieci komunikacyjnej i platform uzbrojenia. O jego niezrównanych możliwościach świadczy jednak radar, którego żaden z naszych konkurentów nigdy nie zaoferuje. Radar Apache'a może wykryć do 256 celów podczas pojedynczego skanowania, na obszarze do 16 km, w dymie czy mgle, pozostających pod osłoną drzew lub falujących na morzu.

Co najbardziej zapadło panu w pamięć z misji na Bliskim Wschodzie? Czy były tam jakieś mrożące krew w żyłach doświadczenia?

Spędziłem prawie cztery lata mojego życia w Iraku i Afganistanie, od wczesnych dni operacji „Iracka wolność" w 2005 r. do najbardziej intensywnych działań ofensywnych przeciwko ISIS podczas bitwy o Mosul w 2016 r. oraz w szczytowym okresie operacji w 2011 r. i 2014 r. w Afganistanie. Miałem okazję obserwować, jak śmigłowiec Apache ewoluował od najbardziej zabójczego śmigłowca bojowego na świecie do prawdziwego cudu techniki wojskowej XXI w. Do dziś pamiętam Apache uderzające precyzyjnie w cele z odległości ponad 10 km dzięki wykorzystaniu technologii manned-unmanned teaming (MUM-T). Apache może udostępniać wideo oraz dane na temat swojej pozycji i środków bojowych uzbrojonym platformom załogowym lub bezzałogowym (dronom), co umożliwia współpracę, dzięki której można wykrywać i atakować cele na rozległych obszarach pola bitwy, często daleko poza zasięgiem identyfikacji wizualnej samego Apache'a lub innego uzbrojonego systemu. Inną rzeczą, o której mogę zaświadczyć, jest to, że pomimo swojej nigdzie niespotykanej technologii Apache został zaprojektowany z myślą o przetrwaniu obsługującej go załogi. Widziałem śmigłowce, które bezpiecznie powróciły do bazy po intensywnych walkach ogniowych, z dziesiątkami dziur po kulach dużego kalibru i uszkodzeniach od ręcznych przeciwpancernych granatników.

Czy mógłby pan wyjaśnić, na czym polega misja standardowej grupy operacyjnej (skrzydła) na wojnie i jakie niesie ze sobą zagrożenia?

Armia amerykańska organizuje swoje jednostki śmigłowców bojowych Apache w grupy składające się z 24 maszyn, które, w zależności od misji, nazywa się batalionami lub eskadrami. Bataliony szturmowe koncentrują się na bezpośrednim ataku, podczas gdy podstawową misją eskadr kawalerii powietrznej jest rozpoznanie. Oprócz wspierania oddziałów lądowych amerykańskie wojsko wykorzystuje Apache jako środek manewrowy umożliwiający penetrację pola walki, wykrywanie celów, zdominowanie wrogich sił pancernych i zmechanizowanych w środowisku silnej, zintegrowanej obrony przeciwlotniczej. Apache często wykonują misje osłonowe, podczas których śmigłowce nawiązują i utrzymują kontakt z przeciwnikiem, dając dowódcy jednostki naziemnej czas na reakcję i przestrzeń do manewru. Cztery technologie, które posiada tylko AH-64E Apache – radar, podwójna optyka termowizyjna,

eprasa.pl 484cb83f52

w pełni zintegrowany system MUM-T i w pełni zintegrowany system Link-16 – pozwalają śmigłowcowi na bezproblemową integrację z czołgami, samolotami, środkami wsparcia ogniowego i systemami obrony przeciwlotniczej.

Był kiedyś film pod tytułem „Błękitny grom". Kiedy go kręcono, systemy celownicze na hełmie pilota były jeszcze fikcją. Ale dzisiaj, jak celuje pilot Apache'a? Obracając głowę, ustawiając przyrządy na hełmie?

Tak, pilot może celować w taki sam sposób, jak w „Błękitnym gromie". Wspomniałem, że Apache posiada cztery unikatowe technologie. Jedna z nich umożliwia pilotom wyświetlanie na ekranach w kabinie obrazów w wysokiej rozdzielczości w kolorze lub w podczerwieni, co pozwala szybciej i dokładniej identyfikować cele znajdujące się w większej odległości, a tym samym pozostawać poza zasięgiem wroga. Piloci mogą również korzystać z lasera na podczerwień, aby ułatwić wyznaczanie celów i zwiększyć możliwości obrazowania w podczerwieni, a operator systemów uzbrojenia siedzący z przodu i pilot siedzący z tyłu mogą jednocześnie patrzeć na swój określony segment pola walki.

Jaką wersję tego śmigłowca zaproponowałby pan Wojsku Polskiemu?

Oczywiście najlepszą (śmiech). Nasza oferta dla Polski to najnowocześniejsza, najbardziej zaawansowana konfiguracja: AH-64E Apache Version 6 (V6). Ten model został opracowany z myślą o służbie w armii amerykańskiej do lat 60. XXI w. Wersja 6 Apache posiada radar, który zza drzew lub pod osłoną terenu jest w stanie wykryć wrogie czołgi w nocy. W połączeniu z naprowadzanymi radarowo pociskami Hellfire, Apache mógłby ściśle wspierać czołgi Abrams podczas penetracji pola walki głęboko za liniami wroga, gdzie mógłby wykrywać zintegrowane jednostki obrony przeciwlotniczej, zanim te systemy staną się zagrożeniem. Znalezienie wroga w walce, nawet w najlepszych warunkach, jest niewiarygodnie trudne. W pełni zintegrowany radar to technologia, która sprawiła, że Apache stał się najgorszym koszmarem rosyjskich czołgów.

Czy pakiet będzie zawierał pełne uzbrojenie? Jeśli tak, to jakie? W końcu wasz Senat musi wyrazić na to zgodę.

Boeing współpracuje z rządem amerykańskim, aby zaoferować AH-64E w wersji 6 w ramach procedury zagranicznej sprzedaży wojskowej (foreign military sales – FMS). Omawiane są różne ilości i konfiguracje uzbrojenia, jednak ostateczne zapotrzebowanie zależy od decyzji polskiego Ministerstwa Obrony Narodowej. W związku z tym wszelkie dodatkowe pytania na ten temat należy kierować do polskiego rządu. Kongres USA zezwolił już na sprzedaż AH-64E w ramach procedury FMS jedenastu krajom partnerskim.

> Apache ma radar, który może wykryć do 256 celów podczas pojedynczego skanowania, na obszarze do 16 km, w dymie czy mgle, pozostających pod osłoną drzew lub falujących na morzu

Teoretycznie śmigłowiec Apache może operować w każdych warunkach pogodowych. Czy taki model jest planowany u nas i czy będzie wyposażony również w system przeciwoblodzeniowy?

AH-64E Apache jest rzeczywiście śmigłowcem bojowym na każdą pogodę, w pełni przystosowanym i oprzyrządowanym do wykonywania lotów według wskazań przyrządów w warunkach procedury IFR (instrument flight rules). System IFR to metoda wykorzystywana przez komercyjne samoloty do bezpiecznego lotu w chmurach. Apache ma możliwość odladzania silników, która zapewnia pełną funkcjonalność w najtrudniejszych warunkach pogodowych.

System odladzania silnika działał dobrze w Afganistanie. Ze względu na inny rodzaj chmur system przeciwoblodzeniowy na łopatach wirnika nie był tam potrzebny. W polskich warunkach atmosferycznych brak takiej instalacji może powodować, że śmigłowiec będzie przez dłuższy czas niesprawny, co może niekorzystnie wpływać na szkolenie pilotów w okresie zimowym. Czy taka instalacja jest planowana w polskiej wersji?

Mogę osobiście zaświadczyć o zdolności Apache'a do lotu, walki i zwycięstwa w najtrudniejszych warunkach zimowych. Moje lotnisko w Afganistanie znajdowało się na wysokości 2300 m, spadało na nie ponad 4 m śniegu, a my lataliśmy w czasie opadów śniegu i w warunkach oblodzenia do -28 stopni C, w nocy. Apache może walczyć i wygrywać nawet w najtrudniejszych warunkach pogodowych w Polsce.

Współpraca pomiędzy czołgami Abrams i śmigłowcami Apache jest podstawą taktyki nowoczesnej armii USA. Czołgi Abrams, których zakupienie planuje polska armia, są zawsze wspierane z powietrza przez śmigłowce Apache. Na czym opiera się ta kompatybilność?

M1 Abrams i AH-64 Apache, gdy działają samodzielnie, są najbardziej zaawansowanymi maszynami w swojej klasie na świecie. Kiedy działają wspólnie, stanowią siłę nie do zatrzymania. Apache ma większy zasięg i prędkość niż Abrams, ale nie ma zdolności do utrzymania terenu. Te dwa systemy były projektowane równolegle i od czasu ich wzajemnego wprowadzenia na początku lat 80. ubiegłego stulecia stały się prawdziwymi królami wagi ciężkiej na współczesnym polu walki. Jak wspomniałem wcześniej, Apache jest jedynym śmigłowcem na

eprasa.pl 484cb83f52

świecie wyposażonym w unikatowe technologie, których nie posiada np. śmigłowiec Viper. Są to m.in. radary, interoperacyjność z dronami, łączność w czasie rzeczywistym z całym polem walki. Wszystko to umożliwia pełną integrację z czołgami Abrams, które Polska zamierza nabyć.

Jak wiadomo, śmigłowce bojowe charakteryzują się stosunkowo wąskim polem widzenia. Ze względu na naziemną obronę przeciwlotniczą muszą latać bardzo nisko. Czasami przysiadają w terenie, by czekać na okazję do ataku, nie dając się wykryć. Stąd konieczność współpracy z samolotami F-35, które widzą znacznie więcej (samemu będąc niewidzialnymi dzięki technologii stealth). Chodzi też o walkę z myśliwcami zagrażającymi naszym śmigłowcom. Czy proponowane polskim siłom zbrojnym Apache będą miały taką zdolność?

Polski Apache będzie jedynym na świecie śmigłowcem bojowym, który może w pełni współpracować z polskim F-35. Wynika to m.in. ze zintegrowanego łącza przesyłu danych Link-16 działającego w standardzie NATO. Apache jest też jedynym śmigłowcem na świecie wyposażonym w radar kierowania ogniem (fire control radar – FCR). Jest on w stanie skanować otoczenie naziemne, powietrzne i morskie w czasie od dwóch do sześciu sekund. Dzięki tej zdolności Apache może się ukryć za terenem, wystawić swój radar, aby zeskanować pole walki w poszukiwaniu celów, nie będąc wykrytym przez wroga. Po zakończeniu skanowania Apache może wystrzelić amunicję pokładową lub wysłać pozyskane informacje do innych maszyn na polu walki, które następnie mogą zaatakować cele ze swoich ukrytych pozycji. W połączeniu z naprowadzanymi radarowo pociskami Hellfire Apache może ściśle wspierać F-35 podczas penetracji linii wroga w celu wykrycia zintegrowanych jednostek obrony przeciwlotniczej, zanim te systemy będą stanowiły zagrożenie. Systemy te mają różną powierzchnię odbicia fal radarowych i emitują energię radarową, którą Apache może szybko wykryć i zaatakować element systemu obrony powietrznej długo, zanim on sam wykryje i namierzy nasz śmigłowiec.

Podczas swojej 22-letniej kariery wojskowej G. „A". Hodges zdobył bogate doświadczenie we wspieraniu armii amerykańskiej i sił koalicyjnych, operując na śmigłowcach AH-64 Apache i CH-47 Chinook

M142 HIMARS to wprowadzany w Wojsku Polskim System Rakietowy Artylerii Wysokiej Mobilności. Na czym będzie polegała współpraca śmigłowców z tym systemem?

Dzięki integracji sieciowej Apache z wykorzystywanym w NATO łączem przesyłu danych Link-16, każdy element tej sieci, w tym HIMARS, może wymieniać z innymi elementami sieci swój obraz taktyczny w czasie zbliżonym do rzeczywistego. Link-16 wspiera również wymianę wiadomości i danych obrazowych oraz zapewnia dwa cyfrowe kanały głosowe. Bez tej zdolności śmigłowiec bojowy będzie w bardzo niekorzystnej sytuacji, próbując współdziałać z sojusznikami z NATO. Polski śmigłowiec bojowy, który może wysyłać i odbierać wszystkie zbiorcze dane z pełnej sieci czujników i wyrzutni biorących udział w walce, stanowi potężny mnożnik sił na polu bitwy. Jest zdolny atakować cele daleko poza zasięgiem wzroku i własnych czujników oraz precyzyjnie namierzyć cele dla artylerii rakietowej dalekiego zasięgu, takiej jak HIMARS czy niewidzialnych myśliwców F-35.

A co ze współpracą z dronami?

Wygląda to tak jak w powyższym przypadku.

Czy proponowany Polsce śmigłowiec Apache posiada urządzenie do określania priorytetów i klasyfikacji celów?

Tak. Radar FCR jest zdolny do skanowania środowiska naziemnego, powietrznego i morskiego w czasie od dwóch do sześciu sekund, z możliwością lokalizowania, kategoryzowania i przypisywania środków bojowych do celów o priorytecie od najbardziej do najmniej śmiercionośnego – wszystko to z pozycji pozostającej poza linią wroga.

Dlaczego teraz jest dobry czas na zakup tych śmigłowców?

Polska jest członkiem NATO i nigdy nie będzie samotnie stawiać czoła pojawiającym się zagrożeniom. Od 2016 r. Dowództwo Europejskie Stanów Zjednoczonych prowadzi operację Atlantic Resolve – w ramach tych działań w regionie na stałe stacjonują Apache Wojsk Lądowych USA. To najlepsza okazja dla polskich pilotów, aby szkolić się z amerykańskimi kolegami. Dodatkowo kluczowi sojusznicy NATO, tacy jak Wielka Brytania i Holandia, modernizują obecnie swoje floty Apache'ów do wersji AH-64E(v6).

eprasa.pl 484cb83f52

Zakończyła się IV edycja Forum Wizja Rozwoju w Gdyni

Za nami IV Forum Wizja Rozwoju – największa konferencja gospodarcza w północnej Polsce. Wydarzenie odbyło się 26–27 sierpnia w Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni. Eksperci ze środowiska akademickiego, przedstawiciele biznesu, politycy oraz naukowcy wzięli udział w kilkudziesięciu panelach dyskusyjnych

Forum Wizja Rozwoju to jedno z największych wydarzeń gospodarczych w kraju, w trakcie którego znamienite grono ekspertów debatuje nad szerokim spektrum zagadnień kluczowych dla rozwoju polskiej gospodarki. Wydarzenie odbyło się pod honorowym patronatem premiera Mateusza Morawieckiego, którego uroczyste wystąpienie oficjalnie otworzyło tegoroczną konferencję.

– Azymut w kierunku przyszłości wiąże się z wypracowaniem śmiałych i odważnych wizji, jakie są przedmiotem dyskusji na kolejnej edycji Forum Wizja Rozwoju w Gdyni, w którym mam przyjemność dziś uczestniczyć – powiedział prezes Rady Ministrów.

W trakcie dwóch dni zrealizowano 61 paneli dyskusyjnych w ramach kilkunastu bloków tematycznych dotyczących m.in. energetyki, ekonomii, gospodarki morskiej, polityki senioralnej czy geopolityki. Nowością w programie był kongres „3W – woda, wodór, węgiel", współorganizowany z Bankiem Gospodarstwa Krajowego.

– Wkroczyliśmy w epokę, od której mogą zależeć kolejne dekady – mówił premier Mateusz Morawiecki. – W świecie gwałtownie zmieniających się paradygmatów politycznych musimy budować sieć partnerstwa. Poprzez nasze działania ostatnich tygodni bardzo wydatnie te sojusze umocniliśmy. Sprawnie przeprowadzona akcja ewakuacyjna z Afganistanu to dowód na to, że nie tylko nie zostawiamy naszych partnerów w potrzebie, ale umiemy także przeprowadzić logistycznie tak skomplikowaną operację. Dzisiaj pokazaliśmy, że w kryzysie stulecia uratowaliśmy miliony miejsc pracy, utrzymaliśmy naszą politykę społeczną, rozwijamy skrzydła inwestycji infrastrukturalnych – dzieje się tak dzięki naprawie systemu finansów publicznych.

Wsparcie merytoryczne w wielu panelach dyskusyjnych zapewniła również kadra ekspertów KGHM Polska Miedź SA – spółki, która obchodzi w tym roku 60-lecie.

– Zmieniliśmy trochę strategię od czasu, kiedy w 2018 r. jako zarząd objęliśmy swoje stanowiska – mówił Adam Bugajczuk, wiceprezes KGHM Polska Miedź SA. – Wiedzieliśmy, że musimy przygotować alternatywy dla energii elektrycznej, której ceny były

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 24/0321/F

eprasa.pl 484cb83f52

bardzo niestabilne. Uruchomiliśmy wiele procesów optymalizacyjnych związanych z hutnictwem i aktywami zagranicznymi. Chcieliśmy być gotowi na zmienne warunki – zarówno gorszą, jak i lepszą koniunkturę. Dziś niewątpliwie mamy do czynienia z tą drugą, o czym świadczy wysoki poziom cen miedzi. Nasze hasło na najbliższe 60 lat to „przyszłość jest z miedzi". Nie mamy wątpliwości, że tak właśnie będzie. Cieszymy się, że możemy już teraz zbierać owoce inwestycji i procesów, które realizowaliśmy przez ostatnie trzy lata.

W trakcie paneli pojawiał się również temat współpracy gospodarczej państw Trójmorza.

– Między krajami Trójmorza zachodzi znaczna dynamika wymiany handlowej. Główne obszary inwestycji i współpracy powinna zatem stanowić infrastruktura, w szczególności transportowa, energetyczna oraz cyfrowa – mówił Paweł Nierada, pierwszy wiceprezes zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego. – Warto pamiętać, że wszystkich nas tutaj, w Trójmorzu, połączyła żelazna kurtyna, choć w każdym kraju miała nieco inny wymiar. To właśnie wspólne, bardzo silne doświadczenia są płaszczyzną budzącą wśród naszych społeczeństw największe zainteresowanie.

Nie zabrakło rozmów dotyczących znaczenia i potencjału przemysłu ciężkiego w Polsce. Eksperci wzięli pod lupę m.in. nowe technologie, rolę hut w narodowej gospodarce i kierunki modernizacji przemysłu maszynowego. Poszukali też odpowiedzi na pytanie czy nasz kraj ma szansę w wyścigu wodorowym.

– Przemysł ciężki jest jednym z podstawowych sektorów gospodarki – przybliżył Tomasz Heryszek, prezes zarządu Węglokoks SA. – Termin ten zawiera w sobie zarówno górnictwo i wydobycie, jak i przemysł chemiczny. Jest on potężnym dostawcą pieniądza do sektorów publicznych, równocześnie generując tysiące miejsc pracy. Dla wielu krajów na całym świecie to właśnie przemysły ciężkie, zbrojeniowe i stoczniowe stanowią strategiczne działy gospodarki.

Podczas forum równie istotnym tematem związanym z transformacją energetyczną były możliwości wykorzystania wodoru do dekarbonizacji wielu sektorów gospodarki. Grzegorz Jóźwiak, dyrektor Biura Wdrażania Paliw Alternatywnych PKN Orlen, wskazał, że wodór znajdzie zastosowanie nie tylko jako paliwo alternatywne w transporcie – zarówno kołowym, jak i do zasilania napędów kolejowych – ale także w energetyce, do stabilizacji i magazynowania energii pochodzącej z OZE. Na rozpowszechnianiu się wodoru skorzysta także przemysł, który z jego pomocą obniży emisyjność prowadzonych procesów.

Pierwszy dzień konferencji zwieńczyła uroczysta gala, podczas której odbyło się wręczenie Nagród Gospodarczych w siedmiu kategoriach. Laureaci wyróżnieni zostali spośród 200 firm i instytucji. Złotą Wstęgę Forum Wizja Rozwoju otrzymał prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki.

Nagrodę dla firm najbardziej zaangażowanych w działalność charytatywną, prospołeczną lub ekologiczną otrzymała firma Woj-Mar Mariusz Gustowski. Laur przeznaczony dla jednostek naukowych lub przedsiębiorstw, które wdrażają innowację produktową lub technologiczną, otrzymał Galeon sp. z o.o. W zakresie ekomobilności (wdrażania niskoemisyjnych i ekologicznych rozwiązań w transporcie) nagrodzona została spółka PKA. Laur dla firm, które po raz pierwszy oferują swoje rozwiązania na polskim rynku i istnieją nie dłużej niż dwa lata, powędrował do spółki E1 Krzysztof Sierżęga. Nagrodę dla firm wdrażających lub rozwijających technologie informatyczne otrzymał Sprint SA. Za innowacyjność nagrodzona została spółka Wireland. Natomiast nagrodę za zarządzanie, w którym wynik finansowy nie jest jedynym priorytetem, otrzymała spółka Kruszywo.

Kolejnym uroczystym momentem było zakończenie Hackatonu – maratonu programowania. Łączna pula nagród w tegorocznej edycji wynosiła aż 60 tys. zł.

Wydarzeniem towarzyszącym konferencji było II Pomorskie Forum Kół Gospodyń Wiejskich. Uczestnicy mogli zapoznawać się z unikatowym rękodziełem i spróbować regionalnych specjałów kulinarnych. W piątek odbyło się wręczenie nagród dla Kół najbardziej zaangażowanych w rozwój pomorskich rejonów wiejskich.

Partnerem Generalnym IV Forum Wizja Rozwoju był PKN Orlen. Partnerem Strategicznym wydarzenia były Bank Gospodarstwa Krajowego, Węglokoks SA oraz KGHM Polska Miedź SA. Partnerem Głównym i Merytorycznym była Grupa Lotos SA. Partnerem Głównym były Totalizator Sportowy sp. z o.o. i Energa Grupa Orlen. Partnerem Głównym i Partnerem Hackathonu była Fundacja KGHM Polska Miedź SA. Partnerem II Pomorskiego Forum Kół Gospodyń Wiejskich była Fundacja Lotto. Partnerami+ były PGNiG oraz fundacja State Of Poland.

Fot. Renata Dąbrowska

eprasa.pl 484cb83f52

I Kongres 3W
Czeka nas nowa przemysłowa i technologiczna rewolucja

Pierwszy Kongres 3W był jednym z najważniejszych wydarzeń towarzyszących odbywającemu się w Gdyni Forum Wizja Rozwoju 2021. Inicjatywa Banku Gospodarstwa Krajowego to ważny głos w dyskusji o kierunku rozwoju polskich sektorów strategicznych i współpracy na linii państwo–integratorzy–przedsiębiorcy–nauka

Polska ma ogromny potencjał intelektualny. Innowacyjne rozwiązania, które tworzą nasi naukowcy, powinny być inspiracją do rozwoju nowych biznesów. I odwrotnie: biznes, który potrzebuje nowych technologii, szuka wsparcia w nauce. By osiągnąć sukces, potrzebujemy integratora, który z jednej strony będzie łączyć potencjalnych naukowych i biznesowych partnerów, a z drugiej pomoże stworzyć przyjazny dla nich ekosystem. BGK z chęcią podejmie się tej roli – mówiła podczas otwarcia Beata Daszyńska-Muzyczka, pomysłodawczyni kongresu, prezes zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego.

Beata Daszyńska-Muzyczka zauważyła, że ogromną szansę dla rozwoju polskiej gospodarki będą stanowić trzy zasoby: woda, wodór i węgiel. Stąd też nazwa inicjatywy BGK. Choć ma ona także drugie znaczenie.

– Kiedyś podczas rozmów z moimi współpracownikami zastanawialiśmy się, co było największym przełomem ostatniego 50-lecia, jednogłośnie ustaliliśmy, że internet, który całkowicie zmienił oblicze świata, obieg informacji. A internet to przecież WWW. Trochę przewrotnie, ale doszliśmy do wniosku, że kolejna wielka rewolucja technologiczna też będzie odbywać się pod znakiem tych trzech liter. Tym razem będzie chodziło jednak o wodę, wodór i węgiel. Stąd nazwa naszego kongresu – mówiła prezes BGK.

Co do ogromnego znaczenia tych trzech zasobów nie mieli wątpliwości także paneliści uczestniczący w kongresie.

– Woda, wodór, węgiel – na tym będziemy budować konkurencyjność naszej gospodarki – przekonywał Paweł Nierada, pierwszy wiceprezes zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego. – Prowadzimy działania, na które patrzymy w szerokim horyzoncie. Mają być one elementem zrównoważonego rozwoju, który ma prowokować do budowy potencjału gospodarki 4.0. To nie jest pomysł na tygodnie i miesiące, ale na lata. Naszą ambicją jest, aby projekt 3W stworzył przestrzeń do dyskusji między światem nauki i przemysłu, ale też polityki. Chcemy pobudzić aktywność i decyzyjność – sprawić, że zniknie zarządzanie silosowe, gdzie każdy zajmuje się tylko swoją działką. Chodzi nam o stworzenie platformy do szerokiej komunikacji i współpracy. Chcemy być pomostem dla nauki i biznesu. Chcemy wspierać dobre rozwiązania, które dadzą nam przewagę w wykorzystaniu tych właśnie trzech zasobów – wyjaśniał Paweł Nierada.

Z myślą prezesów banku zgodzili się także naukowcy i przedsiębiorcy.

– Dziś myślimy o węglu jako o czymś zamierzchłym, archaicznym, z innej epoki. A to złe patrzenie. Węgiel to nie surowiec przeszłości, ale przyszłości. Z niego będą powstawać włókna węglowe, węgiel aktywny, węgiel jednoatomowy, jego nanoformy – grafen, który przecież zaczyna wypierać krzem, chloreny, nanorurki. To jest surowiec, który czeka na swoje ponowne przebudzenie. Wielkim marnotrawstwem jest używanie go do energetyki. Dlatego nie cierpię z powodu konieczności dekarbonizacji energetyki. Przyszłość węgla tkwi w innowacyjnych technologiach, to w nich jest jego szansa – przekonywała prof. Małgorzata Jakubowska z Politechniki Warszawskiej, jedna z czołowych polskich badaczek, od lat zajmująca się wykorzystaniem tego surowca.

Ze słowami prof. Jakubowskiej zgodził się prof. Wojciech Myślecki,

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 22/0821/F

eprasa.pl 484cb83f52

prezes zarządu Global Investment Corporation.

– Potrzebny nam wielki oddech wykorzystania węgla. Węgiel będzie miał swoje dni, ale nie tam, gdzie jest teraz. Przyznajmy to: spalenie węgla w piecach jest bandytyzmem – zauważył Myślecki

Ale 3W to przecież nie tylko węgiel. To także wodór, którego znaczenie dla przyszłości naszej gospodarki na Forum Wizja Rozwoju było omawiane także w wielu innych panelach i dyskusjach. Wodór to przyszłość naszej energetyki. Ma zapewnić nam optymalne wykorzystanie zasobów pochodzących z odnawialnych źródeł energii i ich magazynowanie.

Eksperci z całego świata, także uczestnicy dyskusji I Kongresu 3W, nie mają wątpliwości, że nowoczesne elektrolizery zmienią oblicze energetyki.

– Wodór służy do magazynowania energii, co pozwala grać niestabilną energią OZE. Jestem przekonany, że w niedalekiej przyszłości wodór wykończy inne paliwa, tak jak smartfony wykończyły Nokię czy aparaty cyfrowe Kodaka. Suma korzyści z wodoru jest niesamowita – zaznaczył fizyk Marian Krzemiński, doradca prezesa PKO BP SA.

Co więcej, jak przekonywał wiceminister Ireneusz Zyska z Ministerstwa Klimatu i Środowiska, wodór to nie pieśń przyszłości, to teraźniejszość, którą już staramy się wykorzystywać.

– Polska jest trzecim producentem wodoru w Unii Europejskiej i piątym na świecie. W produkcji wodoru jesteśmy światowymi liderami. Musimy utrzymać ten stan, w czym ma pomóc opracowywana przez rząd Polska Strategia Wodorowa. To będzie nasz krok w przyszłość – mówił wiceminister.

Niestety w polskim procesie produkcyjnym wodoru na razie dominuje przede wszystkim wodór „szary", którego pozyskiwanie nie jest bezemisyjne. Tutaj konieczna jest zmiana. Tym bardziej że światowy wyścig o prym w produkcji „zielonego" wodoru już się rozpoczął i Polska chce w nim uczestniczyć. Temu m.in. ma służyć Polska Strategia Wodorowa, o której mówił Ireneusz Zyska. Jednak, by skutecznie uczestniczyć w tym wyścigu, potrzebne są nowe innowacyjne technologie i pieniądze. Nie obejdzie się bowiem bez kosztownych inwestycji w infrastrukturę. Dlatego tak ważna jest tu współpraca świata nauki i biznesu. Dlatego tak ważne jest finansowe wsparcie Banku Gospodarstwa Krajowego.

O tej współpracy mówił też Piotr Dardziński, prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz.

– Aby nauka nie szła w próżnię, naukowcy muszą wiedzieć, czym powinni się zajmować. Jakich rozwiązań oczekuje biznes, który przecież będzie korzystał z pomysłów wypracowanych na uczelniach. Potrzebny nam jest podmiot, który powie, na której gałęzi powinniśmy się skoncentrować. Podmiot, który zdefiniuje produkt ostateczny, z jakiego będzie chciał korzystać.

Dotyczy to przecież nie tylko wodoru, lecz także węgla i wody. Paneliści zgodnie przyznają, że wykorzystanie tego ostatniego zasobu często bywa niewłaściwe. Z jednej strony walczymy o małą retencję, a z drugiej marnujemy ogromne ilości wody, tak potrzebne do rozwoju przemysłu. Co więcej marnujemy ją bezmyślnie. To m.in. jedna z bolączek dzisiejszego rynku deweloperskiego.

– Każdy metr uszczelnionej powierzchni to strata, z tym niestety mamy do czynienia na nowych osiedlach – wyjaśniał Jacek Zalewski, dyrektor Działu Realizacji Projektów Retencjapl sp. z o.o.

– Mamy to szczęście, że źródłem wody w Polsce jest deszcz, nie sprowadzamy jej zza granicy jak w Egipcie (Nil). A przecież przesyłanie wody jest kosztowne – pierwszy raz płacimy, jak ją pobieramy, drugi raz, jak ją odprowadzamy, bo musimy ją oczyścić, a na samym końcu trzeci raz płacimy za tę wodę wodociągom. Czy stać nas na marnowanie? – pytał Zalewski.

A badania nad nowymi technologiami w zagospodarowaniu wody też są kosztowne i skomplikowane. Dziś musimy uczyć się np. tego, jak oczyszczać ją z antybiotyków, jak skutecznie planować koryta rzek. W tym ostatnim przypadku to praca nawet nie na lata, ale na dziesięciolecia – przekonywali paneliści Kongresu.

Chociaż cel inicjatywy jest jasny, prezes Beata Daszyńska-Muzyczka zwracała uwagę na jeszcze jedną kwestię. Na świadomość i odpowiedzialność społeczeństwa.

– Chcemy obudzić wśród Polaków świadomość, że ich codzienne decyzje mają wpływ nie tylko na klimat i otaczające nas środowisko, lecz także na to, jaka jest kondycja polskich przedsiębiorstw i stan naszej gospodarki – mówiła prezes BGK. To nie tylko decyzje podejmowane, gdzieś na górze są ważne. Nasza przyszłość leży także w naszych rękach. I o tym powinniśmy pamiętać.

Piotr Filipczyk

eprasa.pl 484cb83f52

Hit tygodnia

McLaren 765LT Spider – najpotężniejszy kabriolet w historii marki

Oto najnowszy McLaren – idealny dla wszystkich, którzy kochają wiatr we włosach. Spider to wersja cabrio modelu McLaren 765LT (765, bo ma 765 KM, LT oznacza zaś long tail, czyli dosłownie „długi ogon", choć tu mamy do czynienia ze spojlerem umieszczonym z tyłu). Jako że mamy do czynienia z kabrioletem, to ważna informacja: złożenie dachu ma trwać 11 s przy prędkości do 50 km/h. 765LT Spider ma być najszybszym modelem w historii marki. Do setki potrzebuje 2,7 s, rozpędzenie się zaś do 200 km/h – 7,2 s. Wszystko to za sprawą 4,0-litrowego silnika V8 z podwójnym turbodoładowaniem. Liczba 765 pojawia się jeszcze raz – tyle właśnie powstanie egzemplarzy spidera. A cena? Raczej tanio nie będzie, na auto będzie trzeba przeznaczyć ok. 2 mln zł.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

To już brzmi jak jakaś informacja z przyszłości albo co najmniej z filmu science fiction. Nissan uruchamia program, którego celem będzie wspomaganie funkcji mózgu kierowców – swoich kierowców jeżdżących w Formule E. Program o nazwie „Nissan Brain to Performance" (Nissan: od mózgu do osiągów) wykorzystuje zaawansowane obrazowanie mózgu i narzędzia analityczne w celu określenia, co decyduje o dobrych wynikach zawodowych kierowców. „Celem programu jest stworzenie skrojonych na miarę i zoptymalizowanych treningów, aby poprawić funkcje mózgu oraz jego anatomię związaną z prowadzeniem samochodów i wyścigami. Za pomocą tego przełomowego programu chcemy zrozumieć funkcje mózgu naszych kierowców wyścigowych lepiej niż dotychczas i przesunąć granice osiągów na torze wyścigowym Formuły E" – powiedział Tommaso Volpe, dyrektor ds. sportów motorowych grupy Nissan.

Mercedes-Benz szykuje się do przejścia całkowicie na energię elektryczną do końca dekady. Co prawda zastrzega, że stanie się to, jeśli tylko pozwolą warunki panujące na rynku. W każdym razie od 2025 r. wszystkie nowe modele mają być już elektryczne, a rok 2030 będzie tym, w którym firma przestanie sprzedawać modele spalinowe. „Transformacja w kierunku napędu elektrycznego nabiera tempa, zwłaszcza w segmencie aut luksusowych, do którego należy Mercedes-Benz" – stwierdził Ola Källenius, dyrektor generalny Daimler AG oraz Mercedes-Benz AG.

Elon Musk niejednokrotnie zaskakiwał swoimi pomysłami, tak jest i tym razem. Otóż jeśli będziemy chcieli zamówić teslę model S albo X, to – nawet za dopłatą – nie znajdziemy w samochodzie... kierownicy! Zastąpi ją wolant, czyli urządzenie, które ma postać otwartej od góry kierownicy i spotykane jest zasadniczo w kokpicie samolotów.

W Warszawie pojawiły się – pilotażowo w dzielnicy Wola – nowe znaki dla parkujących na chodniku. „Niebieska linia z syrenką ma pokazywać, ile co najmniej miejsca należy pozostawić pieszym, aby legalnie zaparkować samochód na chodniku" – napisał na Twitterze Zarząd Dróg Miejskich w Warszawie. Polskie prawo nakazuje zostawienie – chyba że znaki drogowe pokazują inaczej – 1,5 m przestrzeni dla pieszych na chodniku. I choć to nie jest znak drogowy, to lepiej go nie zlekceważyć – straż miejska zapewne nie zawaha się wystawić mandatu za złe parkowanie.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 484cb83f52

SIECI

Rakiety LOTOSU

- Czy Polska ma szansę stać się tenisową potęgą?
- Jak młodzi polscy tenisiści pną się w górę w światowych rankingach?
- Czy największe polskie talenty mają solidne wsparcie sponsorskie?

partner dodatku

LOTOS

eprasa.pl 484cb83f52

Czy Polska ma szansę stać się tenisową potęgą?

Rośnie grono młodych polskich tenisistek i tenisistów, którzy systematycznie pną się w górę w światowych rankingach ATP i WTA. Choć szkolenie i początek profesjonalnej rywalizacji na wysokim poziomie są w tenisie dość kosztowne, to największe polskie talenty nie muszą już się martwić o solidne wsparcie sponsorskie. Obchodzący w tym roku stulecie istnienia Polski Związek Tenisowy dzięki wsparciu sponsorów, w tym strategicznego, jakim jest LOTOS, może się szczycić coraz większą liczbą Polaków w ścisłej światowej czołówce tenisa

Jak kosztowne jest wyszkolenie dobrego tenisisty, cała Polska dowiedziała się, gdy dziennikarze zaczęli przybliżać drogę do sukcesów sióstr Radwańskich. Głośno było zwłaszcza o tym, że dziadek Agnieszki i Uli postanowił sprzedać rodzinne skarby – obrazy Kossaka i Malczewskiego, by wspomóc rozwijanie talentu wnuczek. Ale i tak było to zbyt mało, bo trening zawodniczek pochłonął także wszystkie oszczędności, jakie ich ojciec Robert gromadził przez lata na budowę domu. W wywiadach ojciec i jednocześnie pierwszy trener sióstr wielokrotnie powtarzał, że decyzja o wychowaniu zawodniczek światowego formatu była wielkim ryzykiem finansowym podjętym przez całą rodzinę. To m.in. ta historia przyczyniła się do powstania opinii o tenisie jako o sporcie elitarnym, w którym sukcesy mogą odnosić jedynie osoby zamożne.

LOTOS PZT TEAM – NAJLEPSI W DOBRYCH RĘKACH

Tymczasem trudno liczyć na wielkie sukcesy sportowe, zakładając, że osób tak zdeterminowanych i skłonnych do postawienia wszystkiego na jedną kartę jak Robert Radwański będzie na tyle dużo, że szybko doczekamy się kolejnych polskich zawodników i zawodniczek formatu Agnieszki Radwańskiej czy Huberta Hurkacza. Potrzebny był kompleksowy program wsparcia najbardziej utalentowanych, najlepiej rokujących tenisistów, by bariery finansowe nie pozbawiały ich szans na odnoszenie sukcesów na miarę swoich możliwości. To właśnie dlatego w 2019 r. powstał projekt LOTOS PZT Team, kiedy Grupa LOTOS stała się Strategicznym Sponsorem Polskiego Związku Tenisowego. Ideą założenia drużyny była chęć udzielenia pomocy najlepszym zawodnikom w Polsce już osiągającym sukcesy, ale także tym utalentowanym, zdolnym i pracowitym, którzy dotąd nie mieli wsparcia finansowego. Dzięki wsparciu Grupy LOTOS osoby te mogą brać udział

ZAPAMIĘTAJCIE TE NAZWISKA, CZYLI PODSTAWOWY SKŁAD LOTOS PZT TEAM

Weronika Baszak, Zuzanna Bednarz, Weronika Ewald, Weronika Falkowska, Magdalena Fręch, Rozalia Gruszczyńska, Katarzyna Kawa, Zuzanna Kubacha, Martyna Kubka, Xenia Lipiec, Magdalena Świerczyńska, Pola Wygonowska

Tomasz Berkieta, Michał Dembek, Karol Drzewiecki, Jakub Jędrzejczak, Maksymilian Kaśnikowski, Szymon Kielan, Mikołaj Lorens, Kamil Majchrzak, Wojciech Marek, Piotr Matuszewski, Gabriel Matuszewski, Daniel Michalski, Aleksander Orlikowski, Olaf Pieczkowski, Filip Pieczonka, Jasza Szajrych, Szymon Walków, Jan Zieliński, Kacper Żuk

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 484cb83f52

ONI WCIĄŻ ROBIĄ POSTĘPY!

• *Weronika Falkowska*
21 lat. Aktualna pozycja w rankingu WTA – 402 (30.08.2021). Najwyżej sklasyfikowana dotąd na 392. pozycji. W ostatnich latach Falkowska imponująco pnie się w górę w światowych rankingach. Dość wspomnieć, że 2018 r. kończyła na pozycji 1112. w świecie. Rok później była 930., a odkąd zaczęła korzystać ze wsparcia Grupy LOTOS w ramach LOTOS PZT Team, jej postępy przyspieszyły. Rok 2020 zakończyła na 735. pozycji, a na początku lipca była już 392.

• *Magdalena Fręch*
23-latka z Łodzi od dwóch lat przymierza się do zaatakowania miejsca w pierwszej setce rankingu WTA. Aktualnie wielokrotna mistrzyni Polski i uczestniczka drugiej rundy French Open z 2018 r. zajmuje 123. pozycję w rankingu światowym. Wsparcie Grupy LOTOS daje nadzieję na dalszy rozwój kariery tej rokującej tenisistki, która z pewnością ma potencjał na przebicie się do grona zawodniczek sklasyfikowanych bliżej ścisłej czołówki.

• *Martyna Kubka*
20-latka z Zielonej Góry wszystko, co najlepsze, ma jeszcze przed sobą. Aktualnie Martyna sklasyfikowana jest na 634. pozycji wśród singlistek i na 376. miejscu w grze podwójnej. Zielonogórzanka systematycznie pnie się w górę światowych list. Medalistka mistrzostw Polski dwa lata temu klasyfikowana była bowiem odpowiednio na 910. i 802. miejscu.

• *Kamil Majchrzak*
Pochodzący z Piotrkowa Trybunalskiego 25-latek ma za sobą wielkie sukcesy w tenisie juniorskim. Kamil to złoty medalista Letnich Igrzysk Olimpijskich Młodzieży z 2014 r., a także zwycięzca wielkoszlemowego US Open w grze podwójnej chłopców w 2013 r. Jak dotąd Majchrzak był najwyżej sklasyfikowany w rankingu ATP na 83. pozycji (23.09.2019). Aktualnie zajmuje 115. lokatę, co oznacza, że ustabilizował swoją formę. W tym roku po raz trzeci z rzędu awansował do głównego turnieju US Open z kwalifikacji. Do tej pory jego największym sukcesem był awans do trzeciej rundy turnieju w Nowym Jorku, w swoim debiucie w tej imprezie w 2019 r.

• *Kacper Żuk*
22-latek z Nowego Dworu Mazowieckiego w połowie 2019 r. w rankingu ATP zajmował miejsca pod koniec szóstej setki. Od tamtej pory systematycznie pnie się w górę i dziś jest już 173. Aktualnie Kacper trenuje pod okiem Aleksandra Charpantidisa, byłego opiekuna Huberta Hurkacza. Na ewentualny sukces w turnieju wielkoszlemowym Kacper będzie musiał jeszcze poczekać, nie udało mu się bowiem przebrnąć przez kwalifikacje do tegorocznego US Open, które zakończył na drugiej rundzie.

w turniejach zagranicznych, gromadzić cenne punkty i piąć się w rankingach.

BY ODCIĄŻYĆ KIESZEŃ RODZICÓW

Kolejnym cennym programem, który PZT realizuje dzięki wsparciu swojego Sponsora Strategicznego, jest Narodowy Program Upowszechniania Tenisa – Rakiety LOTOSU U12 oferujący wsparcie finansowe dla klubów osiągających najlepsze wyniki w szkoleniu zawodników w kategorii wiekowej do lat 12. Celem programu jest instytucjonalne wsparcie najlepszych ośrodków szkoleniowych, co pozwoli na obniżenie wydatków związanych ze szkoleniem zawodników, które obecnie są ponoszone przede wszystkim przez rodziców. Dodatkowo wsparcie ma motywować kluby do poszukiwania kolejnych tenisowych talentów. Otrzymane środki będą mogły być wykorzystane na pokrycie kosztów udostępnienia zawodnikom bazy treningowej oraz wynagrodzenie trenera klubowego.

NARODOWY DZIEŃ TENISA 2021 W 14 MIASTACH!

Wszystkie działania, jakie PZT podejmuje przy wsparciu Grupy LOTOS, mają przede wszystkim służyć stworzeniu swoistej mody na tenis, upowszechnienia tego sportu, sprawienia, by przestał być kojarzony jedynie z elitą finansową, a stał się popularny w jak najszerszym wymiarze społecznym. Służy temu także inicjatywa Narodowego Dnia Tenisa, która w tym roku odbyła się 5 września w aż 14 miastach: Bytomiu, Gdańsku, Krakowie, Łodzi, Olsztynie, Poznaniu, Puławach, Radomiu, Stalowej Woli, Szczecinie, Toruniu, Warszawie, Wrocławiu i Zielonej Górze.

– Zaczynaliśmy na Stadionie Narodowym w 2018 r., wtedy było 50 kortów zbudowanych na murawie. Teraz Narodowy Dzień Tenisa odbędzie się w 14 lokalizacjach w tym samym dniu, więc jest to przedsięwzięcie trudne logistycznie i organizacyjnie. Tysiące dzieci, rozgrywki Talentiady Tenisowej. Takie wielkie wydarzenie nie odbyłoby się, gdyby nie nasz Partner Strategiczny – Grupa LOTOS, który we wszystkich projektach nas wspiera, również w tych nieplanowanych wcześniej. Zawsze możemy na niego liczyć. Mam nadzieję, że Narodowy Dzień Tenisa dalej będzie się rozrastał – mówił, zapowiadając tenisowe święto, prezes Polskiego Związku Tenisowego Mirosław Skrzypczyński.

NDT to też przestrzeń do integracji w sporcie, jaką daje projekt, np. zajęcia tenisowe dla osób z zespołem Downa, tenis na wózkach czy mecze pokazowe osób z dysfunkcją wzroku. W programie NDT w każdym mieście znalazły się też turnieje dla najmłodszych, mecze pokazowe z udziałem najlepszych polskich zawodniczek i zawodników z LOTOS PZT Team.

– Rok temu brałam udział w Narodowym Dniu Tenisa w Puławach i myślę, że to superinicjatywa oraz promocja polskiego tenisa. Dlatego ogromne podziękowania dla Polskiego Związku Tenisowego i jego sponsora strategicznego Grupy LOTOS, za wsparcie finansowe i organizację tego wydarzenia w 14 miastach. Jako zawodnicy LOTOS PZT Team cieszymy się też, że możemy liczyć na pomoc i wsparcie naszych karier przez Grupę LOTOS – powiedziała Weronika Falkowska z LOTOS PZT Team.

Trwa zatem ciężka i aktywna praca, by tenis stał się jednym z polskich sportów narodowych. Przebijający się coraz liczniej do światowej czołówki polscy reprezentanci udowadniają, że działania te przynoszą spodziewane efekty.

eprasa.pl 484cb83f52

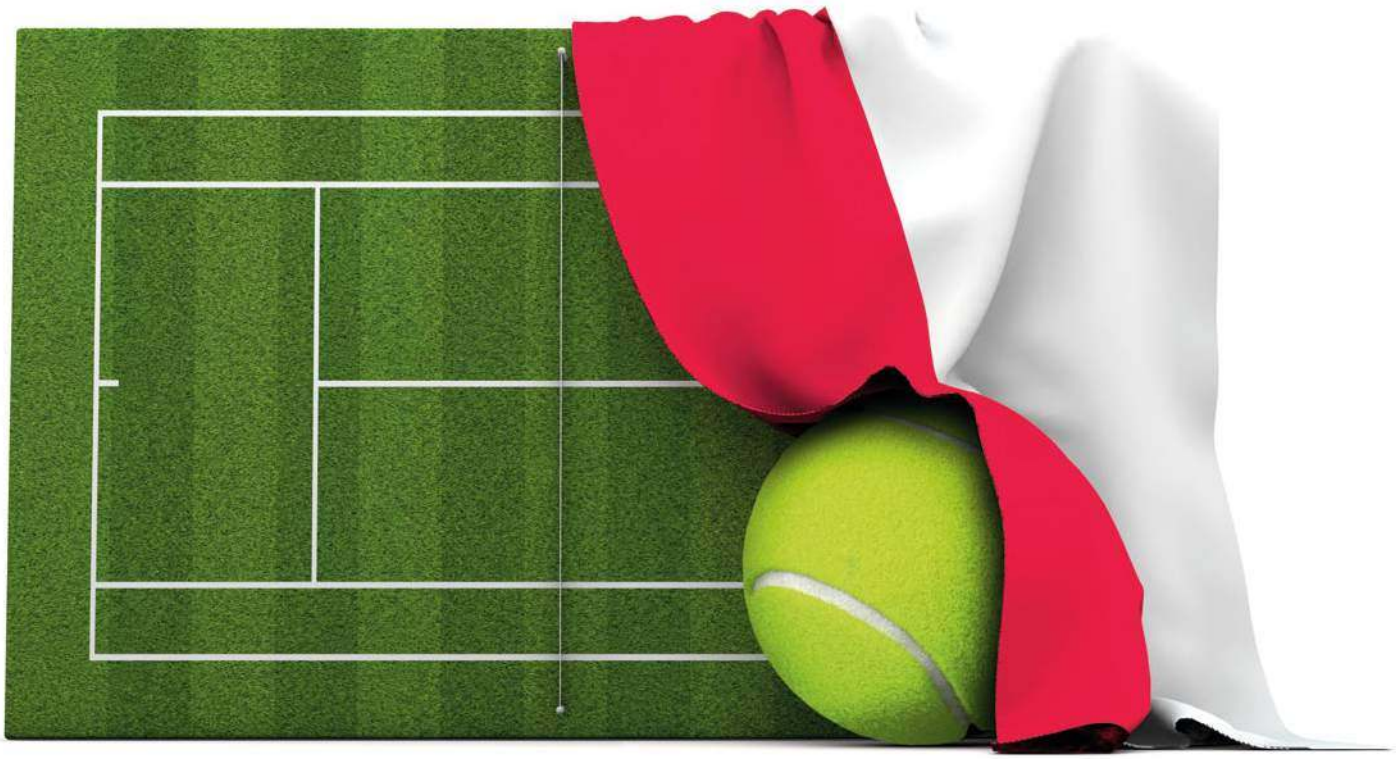

Czy tenis pomoże rozsławić Polskę?

Każda złotówka wydana na wsparcie największych polskich tenisowych talentów przyczyni się do budowy silnej marki naszego kraju w świecie. Dzięki wsparciu Grupy LOTOS możemy mieć nadzieję na poszerzanie grona sportowych ambasadorów Polski, rozpoznawalnych i uwielbianych w wymiarze globalnym!

Jednym z najbardziej zauważalnych socjologicznych fenomenów ostatnich stuleci jest światowe zainteresowaniem sportem jako dziedziną stanowiącą pokojowy sposób odbywania rywalizacji na płaszczyznach międzynarodowych, drużynowych czy indywidualnych. Ludzkość doświadczona okrutnie przez konflikty zbrojne odkryła, że sport może być wspaniałym substytutem krwawych zmagań, kreującym bohaterów równie hołubionych co najwięksi mężowie stanu czy najskuteczniejsi wojskowi dowódcy.

Dyscypliny sportowe zyskują na popularności nieprzerwanie od 1896 r., kiedy to wskrzesiciel starożytnej idei olimpijskiej – francuski baron Pierre de Coubertin – doprowadził do zorganizowania w Atenach pierwszych igrzysk olimpijskich ery nowożytnej. Na krótkiej wówczas liście dyscyplin znalazł się m.in. tenis, w którego w Atenach grano na kortach trawiastych, a pierwszym mistrzem olimpijskim został Irlandczyk John Pius Boland, który w stolicy Grecji bawił akurat w odwiedzinach u przyjaciela i początkowo wcale nie planował zgłaszania się do turnieju olimpijskiego.

MILIARDY KIBICUJĄ

Dziś, według globalnych szacunków, najpopularniejszym sportem świata jest piłka nożna, która ma ok. 3,5 mld

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 484cb83f52

fanów na całym świecie. Drugie miejsce zajmuje obcy nam w Polsce kulturowo krykiet z rzeszą 2,5 mld fanów, trzecia jest koszykówka (2,2 mld), a czwarty hokej na trawie (2 mld fanów). Pierwsza na liście dyscyplina, w której nie rywalizują drużyny, ale indywidualni sportowcy, to tenis ziemny, którym interesuje się miliard ludzi na całym świecie. Podobnie jak inne dyscypliny sportowe także tenis przez ostatni wiek rozwinął się i osiągnął poziom, w którym zwycięstwo w jakimkolwiek – nawet najbardziej prowincjonalnym turnieju – nie jest już osiągalne dla amatora pokroju Johna Piusa Bolanda.

Dzisiejsi tenisiści to globalni idole zyskujący sympatie i uznanie fanów na całym świecie. Poziom wyszkolenia technicznego i sprawności w grze został wywindowany tak wysoko, że w zasadzie niemożliwe jest odnoszenie sukcesów w tenisie bez rozpoczęcia treningów od najmłodszych lat. To wysoka cena, jaką trzeba zapłacić za uwielbienie kibiców i wysokie dochody, nagrody pieniężne za dobre wyniki osiągane na kortach są bowiem jednymi z najwyższych w świecie sportu. Tenisową elitę i najlepszych graczy można śmiało zestawić w panteonie sław z najlepszymi kierowcami Formuły 1, najlepszymi piłkarzami czy mistrzami świata w boksie wagi ciężkiej. Przykładowo dzisiejszy numer 1 w świecie tenisa – Novak Djoković – jest najbardziej rozpoznawalnym Serbem na świecie, a wieloletni hegemon światowych kortów i najwybitniejszy tenisista w historii – Roger Federer – jest bez wątpienia najsłynniejszym żyjącym Szwajcarem.

HUBERT HURKACZ MOŻE BYĆ NAJSŁYNNIEJSZYM POLAKIEM NA ŚWIECIE

Występujące w języku polskim dwuznaki „sz", „dz" czy właśnie „cz", to twardy orzech do zgryzienia dla obcokrajowców. Wygląda jednak na to, że w kolejnych latach spora część światowej populacji najszybciej pozna i nauczy się wymawiać „cz". Dlaczego? Oczywiście z powodu Huberta Hurkacza.

Sklasyfikowany aktualnie (ranking z 29 sierpnia 2021 r.) na 13. miejscu wśród singlistów na świecie wrocławianin ma wszelkie predyspozycje do tego, by się przebić do pierwszej dziesiątki i walczyć w niej o czołowe lokaty. Styl gry i warunki fizyczne Huberta idealnie wpasowują go w nowoczesny – atletyczny i silny – tenis. Polak mierzy aż 196 cm wzrostu, co sprawia, że ma ogromny zasięg ramion i bardzo mocny serwis, co skutkuje dwucyfrową liczbą asów serwisowych w jego wykonaniu niemal w każdym meczu. Dodatkowo silną bronią naszego gracza jest psychika. Hubert ma tzw. chłodną głowę, nie okazuje przesadnych emocji na korcie, w pełni kontroluje swoje reakcje. Idealnie pokazał to mecz w ćwierćfinale tegorocznego Wimbledonu, w którym Hubert pokonał swojego idola, wielkiego Rogera Federera, 3:0, wygrywając ostatniego seta do zera. Nigdy wcześniej w historii Federer nie przegrał na londyńskim korcie seta w takim stosunku.

Hubert jest młodszy od 40-letniego Federera aż o 16 lat, co oznacza, że ma przed sobą jeszcze wiele lat pięknej kariery i nadzieję na wiele znaczących zwycięstw. Do tej pory na swoim koncie Polak zanotował trzy wygrane w turniejach ATP. Co ciekawe, do każdej z nich doszło na twardej nawierzchni w turnieju rozgrywanym w USA. 24 sierpnia Hubert zwyciężył w Winston-Salem, a w bieżącym roku był najlepszy w styczniowym turnieju w Delray Beach i kwietniowym w Miami. Widać zatem, że klimat rywalizacji w Stanach Zjednoczonych pasuje naszemu najlepszemu tenisiście i równie dobrze co na trawie radzi on sobie także na twardych nawierzchniach. To dobrze wróży przed tegorocznym wielkoszlemowym US Open, który rozgrywany jest w dniach 30 sierpnia–12 września. Kiedy oddawaliśmy ten tekst do druku, rozstawiony w Nowym Jorku z „10" Hubert szykował się do swojego pierwszego meczu z Białorusinem Jegorem Gierasimowem, który w rankingu ATP zajmował 81. pozycję. Bez względu jednak na wynik, jaki Hubert osiągnie w tegorocznym US Open, nadal pozostanie on naszą największą nadzieją na dołączenie do ścisłej tenisowej czołówki światowej.

ZAWSZE POD BIAŁO-CZERWONĄ

Znakomici tenisiści i tenisistki są zatem jednymi z najlepszych ambasadorów swoich krajów w świecie sportu. Dzieje się tak z uwagi na ogromną globalną popularność dyscypliny, jaką uprawiają, a ponadto ich sukces nie jest jedynie częścią wyniku drużyny, ale osiągnięciem indywidualnym, co dodatkowo eksponuje chociażby kwestię narodowości. Łatwiej to zrozumieć, gdy uświadomimy sobie, że najbardziej popularny obecnie na świecie polski sportowiec, jakim jest Robert Lewandowski, rzeszę fanów na wszystkich kontynentach zdobywa głównie jako piłkarz Bayernu Monachium, gdyż ostatnie wyniki reprezentacji Polski w piłce nożnej pewnie nie przysporzyły jej kibiców poza naszymi granicami. Co za tym idzie, sam Lewandowski bardziej kojarzony jest jako supergwiazda klubu mistrza Niemiec niż naszej kadry narodowej. Tymczasem nasi najlepsi byli tenisiści – jak Wojciech Fibak czy Agnieszka Radwańska, a także obecni – jak Hubert Hurkacz czy Iga Świątek – zawsze występowali i występują pod flagą biało-czerwoną i każdym swoim dobrym meczem przyczyniają się do popularyzowania naszego kraju w świecie.

Analizując zatem, gdzie najrozsądniej i z największymi nadziejami kierować wsparcie finansowe na budowę rozpoznawalności naszej ojczyny poprzez sport, łatwo dojść do wniosku, że to właśnie tenis jest tą dyscypliną, w której możemy się doczekać największych polskich sukcesów w bliskiej przyszłości. Nadzieję, że tak się stanie, można czerpać także ze sprawnej organizacji i potężnego wsparcia sponsorskiego, jakie ma polski tenis. Obchodzący w 2021 r. stulecie istnienia Polski Związek Tenisowy w ostatnich dwóch latach został uznany za najlepszy związek sportowy w Polsce, a w 2019 r. strategicznym sponsorem związku została Grupa LOTOS. Z połączenia tych faktów płynie wniosek, że wielkie tenisowe talenty – a takich w naszym kraju pojawia się coraz więcej – nie zostaną niezauważone i pozbawione wsparcia finansowego. Nowy wiek tenisa w Polsce może przynieść nam sukcesy, o których dotąd jedynie skrycie marzyliśmy.

Dodatek powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 17/0821/F

eprasa.pl 484cb83f52

Wspólnie serwujemy emocje do pełna

Partner Główny
Huberta Hurkacza

Hit tygodnia

Tablet Huawei MatePad 11

MatePad 11 to najnowszy tablet firmy Huawei przeznaczony do wielozadaniowej pracy biurowej i rozrywki. To pierwszy model marki obsługujący częstotliwość odświeżania 120 Hz. Wysoka częstotliwość odświeżania umożliwia również wprowadzanie pisma odręcznego w czasie rzeczywistym. Ekran tabletu został zaprojektowany tak, aby zminimalizować niekorzystny wpływ niebieskiego światła i migotania ekranu na oczy użytkownika. Sercem urządzenia jest procesor Snapdragon 865. Tablet jest wspierany przez 6 GB pamięci operacyjnej i 128 GB pamięci wewnętrznej. Pojemność baterii wynosi 7250 mAh. Tablet ma 11-calowy wyświetlacz FullView o proporcjach 16:10, otoczony cienkimi ramkami – ekran zajmuje aż 86 proc. powierzchni panelu przedniego urządzenia. Wyświetlacz MatePad 11 obsługuje gamę barw DCI-P3 i wyświetla kolory na poziomie 16,7 mln, co pozwala na uzyskanie lepiej zdefiniowanych i realistycznych detali. MatePad 11 daje również nowe możliwości współpracy na wielu ekranach sparowanych z sobą urządzeń, m.in. tryb lustrzany, tryb rozszerzania i tryb współpracy. Jest zasilany przez autorski system operacyjny Huaweia – HarmonyOS.

Użytkownicy sprzętu mogą korzystać z przeznaczonego do jego obsługi nowego rysika M-Pencil drugiej generacji oraz magnetycznej klawiatury. Rekomendowana cena sprzedaży: M-Pencil to 399 zł, a klawiatura – 499 zł. **Premiera**

Plusy i minusy

+ solidne urządzenie do pracy i rozrywki
– w zasadzie nie ma, dla malkontentów: szkoda, że klawiatura i rysik nie są odrobinę tańsze

Rower elektryczny Jeep JE-C28L

Rower elektryczny Jeep JE-C28L ma silnik o mocy 250 W, który pozwoli na jazdę z prędkością do 25 km/h, oraz solidną, stalową ramę o tradycyjnym, miejsko-turystycznym profilu. Model JE-C28L wyposażony został również w sześciobiegowe przerzutki marki Shimano oraz błotniki. O bezpieczeństwo użytkownika pomogą zadbać z kolei hamulce typu V-break oraz oświetlenie, umieszczone z przodu i z tyłu pojazdu. E-rower ma także wyświetlacz LED, umieszczony przy kierownicy, pozwalający wygodnie kontrolować rozwijaną przez pojazd prędkość. Jeep JE-C28L ma akumulator o pojemności 10 Ah, umożliwiający wycieczki rowerowe na dystansie do 55 km. Akumulator umieszczony jest pod bagażnikiem, ale można go szybko wyjąć w celu naładowania, które trwa od 4 do 6 godzin. **Premiera**

Słuchawki Razer Hammerhead True Wireless

Razer ogłosił właśnie premierę drugiej generacji słuchawek dousznych Hammerhead True Wireless. Nowe słuchawki to oświetlenie Razer Chroma RGB, aktywna redukcja szumów, dwa mikrofony z technologią wygłuszającą dźwięki z otoczenia oraz silikonowe wkładki douszne. Słuchawki zapewniają także do 32,5 h działania na baterii. **Cena: 139,99 euro**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 484cb83f52

MAGDALENA WOLIŃSKA-RIEDI*

Między Rzymem a Zawoją

Kocham Rzym przedwieczorną porą. Kiedy zachodzące słońce pod mocnym kątem oświetla wąskie, prastare uliczki centrum Wiecznego Miasta, wydobywając z nich całą magię, dając odczuć spuściznę wieków.

Mieszkam obecnie przy samym Watykanie, vis-à-vis bramy św. Anny. Koszary papieskiej gwardii i rozświetloną nocą kopułę bazyliki św. Piotra widzę z okien domu. Ta okolica jest nadal główną osią mojego życia i to stąd wychodzę na spacery po Rzymie.

Uwielbiam chodzić piechotą, często nie mam czasu na uprawianie sportu, a długie, dość szybkie wędrówki po mieście to też sposób na odreagowanie po wielu godzinach pracy i aktywny, ale wspaniały odpoczynek.

Kocham podążać przez most św. Anioła i dalej Via dei Coronari utkaną z maleńkich antykwariatów. Przecinam Corso Rinascimento, nie wchodząc na Piazza Navona, bo nie przepadam za obleganymi przez turystów punktami miasta. Znacznie bardziej lubię nieznane i owiane tajemnicą zaułki. Skręcam więc na Via della Scrofa, często zaglądam do kościoła Sant'Agostino, a potem w lewo, do Panteonu.

Drugim ukochanym moim punktem w Rzymie jest Piazza Mattei i cudowna fontanna Delle Tartarughe. Często z rodziną lub przyjaciółmi siadam przy stoliku na zewnątrz baru, tuż przy fontannie, i chłonę atmosferę miasta.

Na krótkie, jedno- lub dwudniowe wypady, wybieramy najczęściej nadmorskie miejscowości bardzo blisko Rzymu. Można zjeść tam wspaniale ryby, pospacerować po plaży, nawet zimą! Pooddychać cudownym powietrzem i nabrać energii do dalszych działań. Kocham też wyspę Ponza, zaledwie 40 minut promem od wybrzeża w Anzio, niedaleko Wiecznego Miasta. Urokliwa, kameralna, inspirująca. Najchętniej udaję się tam wczesną wiosną albo jesienią, omijam turystów i wtapiam się w lokalną atmosferę.

A kiedy czasu jest więcej, to miejscem, w którym szczególnie mocno bije moje serce, jest bezwzględnie Lampedusa. Maleńkie skalne wypustki na środku otwartego morza, bliżej Afryki niż Europy, symbol prawdziwie włoskiej otwartości i wielkiego serca.

Poznałam Lampedusę, docierając tam kilka lat temu z misją jako reporterka, która miała relacjonować fale nielegalnej migracji. I pokochałam to miejsce bardzo, od pierwszego wejrzenia, ludzi, którzy tam żyją, rybaków, którzy w środku nocy rzucają się w morze, by wyławiać rozbitków. To też niepowtarzalna lokalna kuchnia, której podstawą są ryby, i egzotyczne plaże z krystaliczną wodą. Coś nie do opisania.

Uwielbiam Sycylię. Gdybym mogła, w ogóle żyłabym na wyspie. Czuję się do tego stworzona, a Sycylia jest magiczna. W swoim splocie fascynującej historii, architektury, tradycji, kuchni. Przepiękne miejsca, zarówno położone nad samym morzem, jak Taormina czy Cefalu, a z drugiej strony zapierające dech w piersiach zakątki w głębi lądu, jak Noto i Modica. No i zupełnie dzikie aspekty wyspy, które się poznaje, podróżując przez gaje oliwne i prawie pustynne, spalone słońcem krajobrazy, od południa wyspy do serca mafii – Corleone.

Jeśli chodzi o dalsze podróże... Znów spontanicznie i intuicyjnie powracam na wyspę. Madagaskar to miejsce, które mnie zachwyciło, kiedy dotarłam tam w 2019 r. razem z papieżem Franciszkiem. I bardzo chciałabym tam powrócić. W dniach pielgrzymki byliśmy tak naprawdę tylko w Antananarywie – stolicy wyspy, ale już tam, tuż po wylądowaniu, poczułam się jak na innej, fascynującej planecie. Czerwona, spalona gorącym afrykańskim słońcem ziemia, egzotyczna fauna i flora, słodkawy zapach powietrza. I ludzie... porażająca bieda, którą dostrzegaliśmy, przejeżdżając przez wielki targ miejski, w oczach małych dzieci, które otaczały nas wianuszkiem, prosząc, by kupić im coś do zabawy albo do jedzenia. Takie miejsca na mapie świata to okazja, by otworzyć oczy na potrzeby innych, zdać sobie sprawę, że Europa nie jest pępkiem świata. Warto podróżować, bo takie doświadczenia niesamowicie ubogacają i pozostawiają niezatarty ślad.

W Polsce jest miejsce, do którego wracam z ogromnym sentymentem i które jest moim drugim domem. Dosłownie i w przenośni. Zawoja. Pod samą Babią Górą, osławiona najdłuższa wieś w naszym kraju. To tam jeździłam z rodzicami i moim bratem od dziecka. A potem, w 1997 r., wybudowaliśmy tam piękny dom. Drewniany, z kominkiem, na skraju lasu, nad potokiem. Mamy tam przyjaciół, którzy są dla nas jak rodzeństwo. To w tym miejscu czuję się naprawdę szczęśliwa i wypoczęta, i tam od urodzenia zabieram, co roku, na cały miesiąc latem moje córki, które po powrocie do Rzymu „zaciągają" gwarą. Rozkoszne!

Jolanta Gajda-Zadworna

**Dziennikarka, korespondentka TVP z Rzymu i Watykanu*

Fot. Archiwum bohaterki

eprasa.pl 484cb83f52

SŁODKO-SŁONY

Sernik w prezencie

ANNA MONICKA

Życie towarzyskie drgnęło, zamiast spotykać się z przyjaciółmi na świeżym powietrzu, coraz częściej chodzimy w gości i gości przyjmujemy. Małe grupki, raczej rodzinne, ale za to z jaką przyjemnością. Ostatnio wpadli przyjaciele, z którymi widzieliśmy się wcześniej ponad rok temu. Czas pandemii postanowili wykorzystać na powiększenie rodziny, powitali więc na świecie synka, z którym postanowili nas poznać. Razem z bobasem przywieźli też wspaniałe ciasto. Puszysty i delikatny sernik wynaleźli gdzieś w internecie, a ponieważ „jest banalnie prosty i szybki", trenowali go, odkąd pojawiły się na bazarach pierwsze owoce jagodowe, które układać trzeba na wierzchu. Doszli do perfekcji.

Ja z sernikami, przynajmniej tymi pieczonymi, byłam dotychczas na bakier. Zawsze a to mi oklapł, a to przywarł, a to się nie dopiekł, a to rozlatywał. Jeden nawet wyjadaliśmy z tortownicy łyżką, bo inaczej się nie dało. Ten jednak był tak rewelacyjny, że następnego dnia poszłam do sklepu po ser i pozostałe ingrediencje. Pierwszy wypiek – wyglądał bosko, ale wyszedł za twardy. W oryginalnym przepisie były dwa opakowania budyniu waniliowego – pewnie dlatego. Oczywiście został zjedzony, ale postanowiłam przepis trochę zmienić. Zrezygnowałam też z kruchego spodu. Do takiego lekkiego i puszystego ciasta wydał mi się za ciężki. Po 45 min miałam już swoją wersję sernika, której się trzymam cały czas. Wychodzi za każdym razem, a gdy skończą się świeże owoce, będzie można je zastąpić warzywami i zrobić wersję na słono.

Potrzebujemy pół kilograma twarogu sernikowego, opakowania mascarpone, dwóch jajek, cukru wanilinowego, ¾ szklanki cukru trzcinowego i porządnego budyniu. Ja znalazłam bezcukrowy z wanilią burbońską. Wszystkie składniki miksujemy i masę wlewamy do średniej wielkości tortownicy wyłożonej pergaminem do pieczenia. Na wierzch wykładamy borówki amerykańskie wymieszane na przykład z porzeczkami i wstawiamy do piekarnika nagrzanego na 180 stopni. Po 40–45 min deser jest gotowy – wyjmujemy, dosypujemy jeszcze trochę świeżych owoców, studzimy i wkładamy na godzinkę do lodówki. Rodzina pałaszuje ten sernik na śniadanie. Poprawia humor przed szkołą i pracą.

Fot. Shutterstock, archiwum autorki

WILCZYM OKIEM

Płonka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W Europie, Azji i Ameryce występuje ok. 25 gatunków jabłoni, drzew z rodzaju *Malus*. W Polsce dzikim gatunkiem rodzimym jest jabłoń płonka *Malus silvestris*. To m.in. płonka, krzyżowana z jabłoniami z innych stron świata, dała niegdyś początek jabłoni domowej.

W przypadku wielu roślin uprawianych obecnie na całym świecie trudno jest wskazać dzikich protoplastów; być może po tysiącach lat hodowli i krzyżowania nie ma ich już w naturze, tak jak nie ma turów, przodków bydła, czy tarpanów, od których pochodzą konie. Tymczasem płonka wciąż istnieje. Jest jednak gatunkiem rzadkim. Odnalezienie jej nie jest łatwym zadaniem, lecz na pewno satysfakcjonującym – spotykając dziką jabłoń w środku lasu, ma się uczucie kontaktu z czymś pierwotnym.

Rzecz tym bardziej warta uwagi, że przecież jabłoń mogłaby być naszym drzewem narodowym. Polska znajduje się bowiem w ścisłej czołówce producentów jabłek, a biorąc pod uwagę, że wyprzedzają nas Chiny i USA, to zapewne w naszym kraju produkuje się najwięcej tych owoców na jednego mieszkańca.

Dziką płonkę trudno odróżnić od jabłoni domowej, tym bardziej że mogą występować ich mieszańce. Najlepszą cechą rozpoznawczą są owoce: kuliste, żółte lub zielone, o średnicy 3 cm. Pędy dzikiej jabłoni, w przeciwieństwie do jabłoni domowej, są nieowłosione, a na krótkopędach często występują ciernie. Płonka rośnie w lasach liściastych w całej Polsce, w górach do wysokości 900 m n.p.m.

A skoro mowa o drzewach owocowych. W miejscach, w których opadają owoce, gromadzą się brązowo-pomarańczowe ślimaki, śliniki luzytańskie. Gromadzą się zresztą nie tylko przy owocach. W wilgotny dzień trawnik aż roi się od tych mięczaków. Jest ich mnóstwo także na łąkach i w lasach. A najprawdopodobniej nie osiągnęły jeszcze szczytu liczebności.

Ślinik luzytański to gatunek obcy, inwazyjny. Wyrządza szkody w uprawach i dzikiej roślinności. Biorąc pod uwagę masowość i agresywność tych śliników, można oczekiwać także ich negatywnego wpływu na populację zwierząt. Śliniki atakują inne drobne zwierzęta, zwłaszcza ranne i osłabione. Pożerają też jaja – nie tylko bezkręgowców. Co stoi na przeszkodzie w zjedzeniu jaj np. zaskrońca?

Może więc, pomagając przyrodzie, w tym roku powinniśmy wybrać się nie na grzyby, lecz na zbiór śliników?

eprasa.pl 484cb83f52

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Media na wojnie hybrydowej

Redakcje prasowe i radiowo-telewizyjne każdego dnia są zalewane tysiącami informacji, dlatego klucz selekcyjny jest dziś nie mniej ważny niż same newsy. O wartości informacji w czasie redakcyjnego wyboru decyduje przede wszystkim jej aktualność. Nieaktualne wydarzenia praktycznie są bez szans na medialne zaistnienie.

NEWSY I KLUCZ SELEKCYJNY

Liczy się także czas trwania, najlepiej gdy są to wydarzenia punktowe, zamknięte. Przeważają one nad tymi rozłożonymi w czasie. Ważna jest też ciągłość informacyjna, a więc te tematy, które już zaistniały. Wtedy trwa otwartość odbiorcy na ich przyjęcie. Ważna jest też bliskość w znaczeniu przestrzennym, polityczno-ekonomicznym i kulturowym zdarzenia. Wydarzenie może odbiorcę poruszyć, także gdy doszło do niego w dużej odległości geograficznej. Tak było np. z dramatycznymi wiadomościami w 2001 r. o ataku na wieże World Trade Center w Nowym Jorku, o trzęsieniach ziemi i tsunami z Japonii w 2011 r. czy obecnie o wycofywaniu amerykańskich wojsk z Afganistanu i kryzysie na granicy polsko-białoruskiej. To ostatnie stanowi novum. Dotychczas masowy widz nie miał okazji obserwować za pośrednictwem mediów, in statu nascendi, dzień po dniu, tak jawnej wojny hybrydowej.

W przekazach zawsze liczy się status informacji, a więc ranga miejsca i uczestników. Nie bez znaczenia jest jeszcze tzw. dynamika, czyli stopień zaskoczenia informacją. Zainteresowanie rośnie, gdy struktura informacji jest prosta, ma niewielki stopień złożoności. Poziom przyciągania uwagi powoduje intensywność zdarzeń. Wtedy wzrasta identyfikacja odbiorcy z przekazem. Bardzo ważnym aspektem w mediach elektronicznych jest przetwarzalność warstwy informacyjnej na obraz. Obrazki często odtwarzane trwale się zapisują w świadomości widza. Ważne jest to nie tylko w przypadku medium telewizyjnego, lecz i drukowanego.

WALKA O ŚWIAT WYOBRAŹNI

Informacje w globalnej cywilizacji medialnej, bo chyba już w takiej żyjemy, wpływają na wyobraźnię masową i w znacznym stopniu ją kształtują. Są głównym motorem jej rozwoju i trwania. Włoski komunista, zawodowo związany z dziennikarstwem i polityką, Antonio Gramsci uważał, że aby zdobyć władzę, nie trzeba wstępować na barykady, wystarczy przejąć kontrolę nad wyobraźnią mas i nią sterować. Teorie Gramsciego zweryfikowała medialna praktyka. W medialnym świecie toczy się stała walka o świat wyobraźni. Nie tylko uczniowie Gramsciego doświadczają prawdy, że zawładnięcie masową wyobraźnią daje kontrolę nad niemal wszystkimi aspektami egzystencji społeczeństw. Widać to szczególnie w chwili hybrydowego konfliktu na pograniczu polsko-białoruskim. Ważny jego element (w tej, jak i w każdej takiej sytuacji) stanowi medialna dezinformacja, czyli jedna z technik propagandy niszczącej. To akt agresji informacyjnej, wykorzystującej takie sposoby oddziaływania na odbiorcę jak podstęp, intoksykacja (adresowana do elit, używająca kłamstwa punktowego), biała i czarna propaganda, wpływanie. Wszystkie te elementy można właśnie zaobserwować. Sytuacja jest rozwo-

eprasa.pl 484cb83f52

jowa. W chwili pisania tego tekstu rozgrywały się sceny sabotażu po polskiej stronie granicy. Grupka tzw. aktywistów usiłowała niszczyć graniczne zasieki.

Dezinformacja zawsze skierowana jest do określonego odbiorcy, czasem bardzo wąskiego, i ma na celu wywołanie u niego określonych stanów lub zachowań. W tym nastrojów paniki, zachwiania bezpieczeństwa, strachu, działań chaotycznych i nieprzewidywalnych. Jest kierowana do zbiorowości niezorganizowanych, jednostek rozproszonych, przekształcających się w tłum. Dezinformacyjne działania potrzebują czasu, m.in. dlatego, że wymagają narzędzia pośredniczącego. Idealnym środkiem są tu media. One emitują przekazy rozciągnięte w czasie. Dezinformacja subtelniejsza, wyrażająca się na poziomie języka, który jest nośnikiem myśli, dotyczy fałszowania języka, redukowania i przekształcania jego znaczeń. Często wiąże się to na dalszym etapie z zaszczepianiem języka nowego. To proces, który prowadzi często do otępiania recepcji odbiorcy. Redaktorzy mediów narzucających swoje slogany, także podczas wojny hybrydowej, największe i najbardziej złożone problemy konfliktu redukują do krótkich, skrajnie uproszczonych haseł, mających formę prawd ostatecznych. Muszą być one łatwe do zapamiętania i powtórzenia. Chodzi o wyeliminowanie niezależnego myślenia audytoriów. Kreowane slogany pozwalają rozciągać kontrolę nad językiem odbiorców, a w konsekwencji nad ich myśleniem.

TYPOLOGIA KŁAMSTW

Jak słusznie zauważył amerykański polityk Hiram Johnson, na każdej wojnie pierwszą ofiarą jest prawda. Tak dzieje się także podczas konfliktu hybrydowego wywołanego przez reżim Łukaszenki, gdzie główne role po stronie polskiej od początku odgrywali totalna opozycja i jej pomocnicy.

Podstawą dezinformacji jest zawsze mniej lub bardziej zakamuflowane kłamstwo. Wśród kłamstw istnieje kłamstwo przebiegłe, oszukujące i noszące w sobie udawanie. Współczesne media także zdają się hołdować tej typologii. W przypadku kłamstwa przebiegłego mamy do czynienia z oszustwem, które szerzy treści niezgodne z prawdą, byle odpowiadało ono celom i zamiarom mocodawcy. Mamy wtedy do czynienia z mediami kolportującymi świadome kłamstwa. Kłamstwo oszukujące polega na usuwaniu informacji trudnych, niemiłych, wmawianiu odbiorcy, że rzeczywistość jest inna, niż jest, preferowaniu treści i wartości, które zasłaniają błędy lub ich nie dostrzegają. Kłamstwo „noszące w sobie udawanie" narzucają media przyjmujące charakter umowny dla całej rzeczywistości, przedstawiające treści, kierujące uwagę odbiorcy głównie na niego samego. Ich grzech polega na egocentryzmie, zagubieniu wewnętrznej prawdy, skierowaniu uwagi na rzeczywistość pozorną, nieistotną, umowną, narzucaną przez innych.

Na każdej wojnie pierwszą ofiarą jest prawda. Tak dzieje się także podczas konfliktu hybrydowego wywołanego przez reżim Łukaszenki, gdzie główne role po stronie polskiej od początku odgrywali totalna opozycja i jej pomocnicy

Język stanowi główne narzędzie komunikacji, a zatem i kłamstwa. Kłamstwo jednak zawsze proces komunikowania zaburza, zakłóca i podważa jego istotowy sens. Jacques Derrida, znany francuski filozof, analityk języka, pisał, że kłamstwo zawsze było uważane za niezbędne i uzasadnione narzędzie nie tylko zawodu polityka czy demagoga. Tworzy także podstawowy arsenał narzędzi współczesnych mediów. Ponieważ polityka zagarnęła niemal cały ich obszar łącznie z informacją i rozrywką. Derrida, objawiający niechęć do wszystkiego co polityczne i związane z władzą, demaskował praktykę manipulacji językowej. Przypisywano mu wręcz obsesję na punkcie demaskacji języka politycznego oraz jego destrukcji przez panującą władzę w świecie teletechnologii. Był wyczulony na zniewalanie współczesnych społeczeństw, pogrążonych w masie gadżetów współczesnej telekomunikacji. Postulował m.in. rewizję problematyki kłamstwa w świecie współczesnych massmediów. Pisał o współczesnych technikach telekomunikacyjnych, które wprowadzają techniki służące modyfikacji treści źródłowych między etapem rejestracji a odtwarzaniem i rozpowszechnianiem informacji. Zwłaszcza gdy chodzi o kadrowanie i selekcję interpretacyjną, co wpływa na niszczenie rzeczywistości oryginalnej.

Podczas konfliktu na granicy polsko-białoruskiej także mamy do czynienia z tym, co Derrida opisywał jako zastępowanie na „żywo" prawdy manipulacją i pomieszaniem jej z fałszem w komunikacji nie tylko jednostek, lecz całych społeczeństw. Spotęgowanie medialnej dezinformacji może zmienić rzeczywistość w rodzaj świata z filmu Petera Weira „Truman Show". Na naszym gruncie połączonego dodatkowo z bardzo niebezpiecznym scenariuszem propagandy kreślonej za murami Kremla. W efekcie otrzymujemy odwrócenie świata na drugą stronę i pomieszanie wszystkich jego znaczeń.

Od kilku lat jesteśmy świadkami kreowania świata, w którym chce się kłamstwu wznieść pomnik z napisem „Prawda". Ciekawe jednak, że politycy totalnej opozycji, współkreujący cały ten spektakl, nie czują się komfortowo. Coraz wyraźniej widać, jak z dnia na dzień zmieniają się w coraz bardziej pobudzone, chaotyczne, niereagujące na rzeczywistość roboty.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 484cb83f52

Spojrzenie na Polskę

Alina Czerniakowska

Robert Swanenberg (mama jest Polką, ojciec Holendrem) mieszka na stałe w Holandii, tam studiuje, obserwuje rzeczywistość na zachodzie Europy i w Polsce. Napisał do mnie kilka zdań, które warto poznać, bo brzmią dla nas Polaków dość optymistycznie:

„Różnica między podziałem politycznym w Polsce i w Holandii polega na tym, że w Holandii tak naprawdę tego podziału wcale nie ma; prawie każdy »myśli« w jednakowy sposób. Upraszczając: większość osób w Polsce jest albo z opcji A, albo z opcji B. W przeciwieństwie do Holandii, gdzie nie ma »prawdziwej« partii prawicowej. Jedyną (większą) partią, która wypowiada się krytycznie wobec np. polityki imigracyjnej lub energetycznej, jest partia »PVV«, Partia Wolności Geerta Wildersa. Z tym że nawet ten »prawicowy« Wilders wspiera aborcję, eutanazję i środowiska LGBT.

W Polsce »Pisior«, przeczytawszy »Gazetę Warszawską«, może nie dogada się z »lewakiem«, który usiadł koło niego w metrze i wyciąga z torby »Gazetę Wyborczą«. Jednak gdzieś w głębi duszy łączy te dwie osoby coś: miłość do Polski. W Holandii dwóch osób nawet o zbliżonych poglądach politycznych nie łączy już nic.

Konserwatywny Holender nie ma szans w swoim kraju. Gazety nie przeczyta, telewizji nie obejrzy; mediów prawicowych tutaj po prostu nie ma. Taka osoba z łatwością może się poczuć samotną rybą w morzu politycznej poprawności; czasem nawet strach się publicznie wypowiadać. Moja koleżanka niedawno temu opowiadała, jak na uczelni kiedyś skrytykowała feminizm; następnego dnia śledziło ją po korytarzach uniwersytetu kilka osób z Antify. Warto też wspomnieć o narracji telewizji publicznej lub takich politykach jak Frans Timmermans, którzy zamiast zająć się problemami własnego kraju (a jest ich pełno), bez przerwy pouczają kraje, w których w życiu nie byli. Gdybym kiedyś spotkał mojego rodaka, spytałbym go, jaką ma koncepcję na brak mieszkań socjalnych w Niderlandach, fatalny system opieki dla osób starszych i ciągły brak pieniędzy na szkolnictwo.

W związku z powyższym w mojej ocenie lepszy jest układ w Polsce, gdzie za inne zdanie najwyżej uznają cię za idiotę, ale nie zostaniesz wyklęty ze wspólnoty. Katolik w obecnej Holandii albo wyrzeka się własnych ideałów, podporządkowując się mainstreamowej mentalności, albo godzi się z poczuciem bezsilności wobec nagonki prowadzonej przeciwko osobom, które zadają niewygodne pytania".

Tymczasem my w Polsce wiemy, że jesteśmy w trakcie naprawy państwa po 30 latach. Obecny rząd prawicowy, oparty na zasadach niepodległościowych i demokratycznych, przywraca normalne funkcjonowanie wszystkich dziedzin życia społecznego w miastach i na wsi. Mamy wielkie sprzątanie po rządach III RP od roku 1989. Nie było lustracji, majątek narodowy po okrągłym stole przejęli komuniści, ich dzieci i wnuki, rozkradali bezkarnie wszystko, co chcieli i jak chcieli, wyprzedawali kopalnie, stocznie, duże zakłady obcym i rodzimym oligarchom, takim np. jak Jan Kulczyk. Korupcja kwitła. Rosło kolejne pokolenie rozpasanych bogaczy gardzących „biednym polskim plebsem".

W małych miejscowościach, na wsiach zamykali poczty, szkoły, komisariaty, likwidowali połączenia komunikacyjne, miało miejsce „zwijanie państwa", do czego przyznał się jeden z ministrów Tuska w nagranych rozmowach restauracyjnych. Dzisiaj to wszystko jest przywracane, a najważniejsza jest pomoc biednym, wielodzietnym rodzinom – cieszą się, że nareszcie mogą kupić dzieciom najpotrzebniejsze rzeczy i normalnie żyć.

Każdy uczciwie musi przyznać, że dzisiaj ludziom żyje się po prostu lepiej, jednak nie wszyscy chcą widzieć prawdę, zbyt dużo zgarnęli, ustawili w luksusie swoje kolejne pokolenia, mówiąc wprost – ukradli i boją się, że ktoś wykryje ich przeszłość i postawi przed uczciwym, nieprzekupnym sądem.

Niestety, jest dużo ludzi niemających wiedzy historycznej, nieorientujących się, kim są główni wrogowie obecnej władzy, jakie są ich korzenie rodzinne i polityczne. O tym media nie mówią, a przecież jest to konieczny wymóg wszędzie na świecie, by wiedzieć, na kogo głosować. Trudno zrozumieć, jak można popierać ludzi cynicznych, z przeszłością uwikłaną w służbach antypolskich, niemających żadnego programu gospodarczego, których jedynym celem jest zdobycie władzy. Czy pamiętamy, kto mówił, że polskość to nienormalność, a polscy patrioci to populiści, moherowe berety, kto kpił z nas, mówiąc, że za 6 tysięcy pracuje tylko złodziej albo głupi.

Z racji wykonywanego zawodu spotykam się i rozmawiam z różnymi ludźmi, coraz częściej słyszę wypowiedzi, że nareszcie jest rząd, który zobaczył potrzeby normalnych ludzi. Podkreślają oni głośno, że Jarosław Kaczyński jest patriotą i dlatego tak jest atakowany.

„Pomóż nam uprzątnąć dom ojczysty" – prosił Jan Paweł II w 1991 r. na początku III RP, klęcząc w warszawskiej katedrze przed XV-wiecznym krucyfiksem, ocalałym z powstania warszawskiego. Minęło ponad 30 lat i dopiero teraz z trudem przeprowadzamy porządki w Ojczyźnie. Czy uda się zbudować silną, niezależną Polskę w oparciu o dekalog, zależy od nas, od naszej wiedzy, mądrości i prawości charakterów. Naprawę państwa każdy powinien zaczynać się od siebie, a wtedy wszystkim nam będzie żyło się lepiej i „Iskra z Polski zapali cały świat". Będziemy mogli powtórzyć za poetą: „Twoją Wolą i Zrządzeniem/Będziemy światu jak na pokaz/Miłością Prawdą i Sumieniem".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 484cb83f52

Panta rhei

Lech Makowiecki

Tytułowe słowa greckiego filozofa Heraklita z Efezu (540–480 r. p.n.e.) oznaczają przemijanie, zmienność, nietrwałość. Cóż, zmiany wpisane są w rozwój naszej cywilizacji. Jeśli są niespieszne, ewolucyjne – jest czas na adaptację. Jeśli jednak przemiana ma charakter nagły, rewolucyjny – jej skutki mogą być tragiczne. Nawiązując do chińskiego przekleństwa, „Przyszło nam żyć w ciekawych czasach". A to oznacza, że powiedzenie „Gorzej już być nie może" przestaje obowiązywać.

Rewolucja francuska, która była próbą obalenia „opresyjnego" chrześcijaństwa w imię hasła „Wolność, równość, braterstwo – lub śmierć", utopiła Wandeę w morzu krwi! Przez cały XIX w. carska tyrania nie unicestwiła tylu ludzi, ilu Stalin zagłodził na Ukrainie w latach 1932–1933. Podczas Wielkiego Głodu zmarło tam ok. 8 mln ludzi, a kanibalizm był chyba najbardziej przerażającym „osiągnięciem" rewolucji październikowej. Nazistowska rewolta wprowadziła obozy koncentracyjne – te nowoczesne „fabryki śmierci". Za ich pomocą Hitler chciał raz na zawsze rozwiązać wszystkie problemy stojące na drodze ku Wielkim Niemcom.

Dziś znów słychać nawoływania do burzenia starego porządku świata, do brutalnego niszczenia normalności, rodziny, wiary, do podważania przykazań dekalogu. W imię czego? W imię „wolności od wszystkiego" i „miłości wszelakich"? Dostrzegam w tym profetyczne, przerażające déjà vu. Ale nim kolejna rewolucja ponownie pożre swe własne dzieci, przez świat przetoczy się zniszczenie i śmierć w skali wprost proporcjonalnej do naszej rozbuchanej populacji. Wielbiciele chuci dla samej chuci nie wyginą (jak mamuty) z powodu braku prokreacji. To byłoby zbyt oczywiste. Otwierając obcym kulturowo przybyszom granice naszego kraju, zapraszają tu również swych przyszłych katów. W Kabulu talibowie już wyłapują i zrzucają z dachów niebinarnych osobników. Nikt nie nauczy się latać w ciągu kilku sekund! To proces ewolucyjny.

Kaczka zjadła węża...

Piotr Cywiński

„Jado goście, jado, koło mego sadu. Do mnie nie przyjado, bo nie mam posagu – toi hola hola laa, toi hola hola la...".

Trudno żeby nie zjechali. Wiadomo, jak Niemcy do czegoś się zabiorą, musi być prima i sort. Może nie sami się zabrali, tylko dołożyli, ale gdy komuś dokładają, to wiedzą za co, na co i po co. Impreza była na cztery fajerki!

Tu glosa dla młodych, bo pewnie nie wiedzą, co to takiego te fajerki. To obręcze różnej wielkości, które można zdejmować i nakładać na palenisko płyty kuchennej za pomocą pogrzebacza, albo palnik do podgrzewania dań stojących długo na stole.

Co się tam ludzi nazjeżdżało, sami promis, sami primus inter pares! „Ponad 100 wydarzeń, prawie 200 gości i 1000 uczestników", podsumowali organizatorzy. W roli zdejmującego i nakładającego te fajerki wystąpił sam pan Donald Tusk, a po nim plejada, i jakie tematy były! W ramach panelu „Społeczeństwo przyszłości i wolności" warsztaty. Cytuję po kolei: „Krew, która stygmatyzuje – o wykluczeniu menstruacyjnym", „Kroczące miasta, czyli jak zorganizować paradę równości?", „Dlaczego darczyńcy powinni wspierać swoje projekty", „Zjednoczona opozycja – sposób na zwycięstwo z władzą autorytarną" itp. bogactwo rzeczowe z udziałem. O „Wyzwaniach dla polskich miast" rozprawiali pani Dulkiewicz i pan Trzaskowski, o „Medycynie i polityce" z Grodzkim i Nitrasem, o „Teflonowej władzy" z Pomaską, o „Przeszłości dla przyszłości" i „O co warto się bić" z Balcerowiczem, „Co zrobić, aby wrócić do normalności w polskim sądownictwie" – z Gasiuk-Pihowicz, o liberalizmie z Lubnauer, „Jak skutecznie patrzeć władzy na ręce?" z Jońskim i Szczerbą, o „Opresji i solidarności – prawach kobiet w Polsce 2015–2021" z Lempart, a i pani Środa znalazła się na liście gości, i Applebaum z mężem Sikorskim, i Michnik, i Lewandowski, a i miejsce dla Stuhra młodszego się znalazło... – przekrój i rozmach wręcz imponujące! Oj się działo! I sam pan Frans Timmermans się pofatygował, który – rzuciwszy okiem na uczestników Campusu – wyznał: „Wy młodzi dajecie mi nadzieję, to wy jesteście tymi, którzy naprawią Polskę i sprawią, że wróci na właściwe tory".

A nie mówiłem? Gdy Niemcy się do czegoś dołożą, to musi pyknąć! I pykło! I niech ktoś teraz powie, że mają wrogie nastawienie do PiS!

„W zielonym gaiku kaczka zjadła węża. Zjadajcie mnie chłopcy, póki nie mam męża – toi hola hola laa, toi hola hola la"... Gdyby młodzi chcieli sobie pośpiewać, podaję chwyty na gitarę: a, E7, a...

eprasa.pl 484cb83f52

Michał Korsun prezentuje
Sławomir Nitras: Powrót mechanicznej piły

Wycinki z przeszłości

Ten numer kolorowego tygodnika „Na Szerokim Świecie" datowany jest na 3 września 1939 r., ale oddano go do druku jeszcze przed wybuchem wojny. W środku typowa kronika poważniejszych oraz lżejszych wydarzeń i doniesień ze świata, sporo dowcipów, żartów rysunkowych. Jest nawet ciekawa humoreska przedrukowana z prasy sowieckiej, pokazująca absurdy gospodarki centralnie sterowanej, w pełni upaństwowionej.

Na okładce amerykański fotos, na stronie ostatniej reportaż ze sztuki teatralnej „Trzech muszkieterów". Dużo pięknych kobiet, wiele porad, jak być jeszcze piękniejszą.

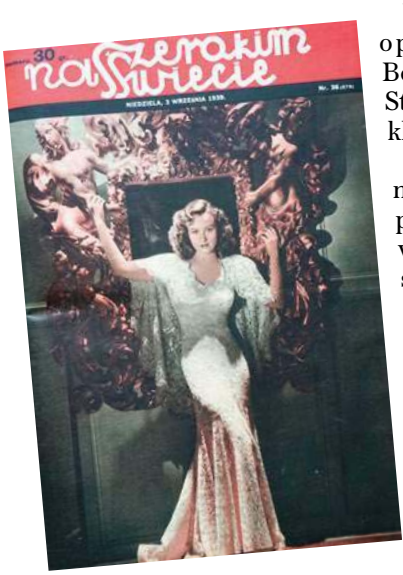

W sekcji politycznej apele o pokój: ojca św. Piusa XII, króla Belgów Leopolda, prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina D. Roosevelta.

Nikt poza Niemcami wojny nie chciał. To ich opętało przekonanie, że mogą panować nad światem. Koszt był straszliwy. Czy jednak naród niemiecki na pewno wyleczył się z takich ambicji? Z typowej dla siebie skłonności do przesady we wszystkim, do czego się zabiera?

(mk)

Preludium sierpniowe

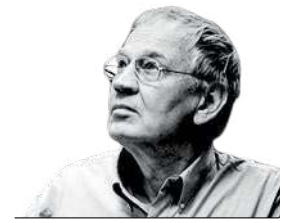

Leszek Długosz

Taki sierpniowy, z nagła pochmurny
Dawniej by się rzekło – przedwieczerz...
To prawie ratunek – utonąć na werandzie
Nad papierami
W chwili takiej
Ołowianej

Koronka lasów na horyzoncie...
Na pierwszym planie
Dalekie przeszłe
I te ledwie z wczoraj
Zaginione światy
Snują się bez chronologii
– Wierzeje czasu, dawniej by się rzekło
Stoją otworem...

I defilują sekwencje zdarzeń
Z moim dorosłym
I te, z dziecinnym jeszcze jak udziałem
– Głos dzwonu
Dał się usłyszeć zza lasu
Jak żywy znowu
– Dotkliwie żywy
Żywych zwołujący
I umarłych
– Tak się słyszało
– Tak było dawniej...

W sierpniowe z nagła zadeszczone popołudnie
Na werandzie
Stalówka pióra
Nad papierami zawieszona
Niczym jaskółka przed odlotem
Krąży
– Szuka usprawiedliwienia
Dla swojej jeszcze tu przygody?
– Albo inaczej:
– Ręka trzymająca pióro
Uporczywie odrabia ćwiczenia
Z oddawania świata
Na zawsze
– Na niepowrót

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

67/0821/F

eprasa.pl 484cb83f52

PRZEZ ŚWIETLIK

Warto porozmawiać

Wiktor Świetlik

Wczesne wypadanie włosów i zmarszczki mają jedną zaletę. Człowiek w należytym wieku przestaje udawać młodzieżowca i dostojnym krokiem wkracza w wiek średni, godząc się z jego ograniczeniami, ale i zaletami. Niestety nie wszyscy łysieją przed czterdziestką i potem zaczyna się kłopot z 60- lub nawet 70-letnimi Piotrusiami Panami, którzy są przekonani, że nie dość, że są wciąż młodzi, to mogą być trybunami młodego pokolenia.

Może zresztą to i dobrze, bo nie da się ukryć, że ze sporą satysfakcją obserwowałem kolejne gwiazdorskie popisy w trakcie imprezy, podczas której Rafał Trzaskowski i Platforma Obywatelska pozyskiwali młode pokolenie. Co prawda przemówienie Leszka Balcerowicza przytłumiło całą resztę, jak w dawnych cyrkach wystrzelenie człowieka z działa, ale i liczni inni wielcy tego świata, którzy pozwolili spijać z ust swoje słowa platformerskiej młodzieży, nie zostawali w tyle. Wcześniej w nieco innym wydaniu raper Łona, swoją drogą niemal 40-latek, urządził festiwal najprymitywniejszego hejtu, jaki można było sobie wyobrazić. Swoją drogą tego Łonę, bez względu na różnice, miałem za inteligentniejszego faceta, ale jak widać, by w owsiakowo-wojewódzkim świecie zrobić prawdziwą karierę, trzeba przebić dno i pokrzyczeć od spodu.

Tyle że nie chciałbym, by wszystkie te plusy dodatnie przyćmiły nam – cytując jednego z czołowych intelektualistów zaproszonych na Campus Polska Przyszłości, Lecha Wałęsę – plusów ujemnych. Radość, że jak PO mówi do młodzieży, to mówi głosem wypełnionych nienawiścią starców, a jak lewica – to zaczyna od plucia na rodziców dużej części tej młodzieży, nie zmienia tego, że nasz szanowny obóz rządzący po prostu w ogóle przestał z nią rozmawiać. Próbować nawiązać jakiś realny kontakt. Nie przez działaczki młodzieżówki ubrane w koszulki z logo partyjnym albo jakiś młodziaków, których gdzieś tam zatrudniono. Tylko tak naprawdę. Tak, by być słuchanym i nie odpowiadać jak Balcerowicz. Gdzie się nie błaznuje i nie udaje podlotków, ale na poważnie mierzy także z krytyką. Gdzie jest poważny kontakt, spotkania, komunikacja. Tego po prostu nie ma, jest radość, że „tamci nie potrafią". Ale dość nieporadnie próbują, lepiej więc też zacząć to robić, i to dużo lepiej od nich.

REKLAMA

eprasa.pl 484cb83f52

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Nowa godność głupoty

Rzeczywistość społeczna ma perfidną naturę. Wcale nie skarżymy się egzystencjalnie jako ludzie ani nie narzekamy jako obywatele. Perfidnej naturze rzeczywistości społecznej przyglądamy się z perspektywy socjologicznej.

Być może perfidia owa bierze się z takiego oto (niby prostego) faktu: ludzkie emocje, ambicje, nawet te najbardziej idiotyczne, są tak samo realne jak prawa fizyki. Tak samo. Niby to wiemy, ale ciągle zapominamy.

A skoro są realne, to trzeba się z nimi, podobnie jak z prawami fizyki, liczyć. Prawa grawitacji nie można zignorować, ale w pewien sposób można je przechytrzyć – przecież ludziom udało się zbudować latające statki cięższe od powietrza.

Realną, nieusuwalną częścią społecznego świat jest głupota. Tak, głupota jest rzeczywista i głupota współtworzy rzeczywistość. W działaniach społecznych, np. w polityce, można próbować głupotę przechytrzyć, ale poważnym błędem (czyli głupotą!) jest głupoty lekceważenie.

W ostatnich dekadach głupota uzyskała nową godność. Potrafiła zapracować sobie na to, aby traktowano ją z szacunkiem. To wielki sukces rewolucji cyfrowej, a dokładniej eksplozji mediów społecznościowych. Jak wiadomo, jednym z osiągnięć internetu jest ujawnienie wszem i wobec, jak wielu wśród nas jest idiotów. Przed erą tych mediów większość idiotów siedziała jak mysz pod miotłą, stamtąd przyglądając się światu. A część z idiotów, obserwując normalsów, próbowała do nich przystawać, niekiedy z powodzeniem maskując swoje ograniczenia.

Ale to się skończyło. Dzięki mediom społecznościowym, tj. w istocie odspołeczniającym, głupcy, trolle, kretyni, czuby, perwersi, szury etc. uzyskali dwie rzeczy. Po pierwsze, wyszli z izolacji, zobaczyli, że im podobni są na całym świecie i zaczęli tworzyć swoiste międzynarodówki głupot – zakładając swe jawne i ukryte (np. w darknecie) grupy, grupki, fora wymiany informacji, towarów i usług dopasowanych pod ich środowisko właśnie. Po drugie, zalew darmowych, to nic, że często żenująco niskiej jakości (każdy obywatelskim dziennikarzem!) informacji, przyczynił się do upadku mediów tradycyjnych. Nastąpiła degradacja dziennikarstwa i – przy okazji – degradacja intelektualna oraz moralna także odbiorców, konsumentów dziennikarskiej pracy.

Przed erą tych mediów większość idiotów siedziała jak mysz pod miotłą, stamtąd przyglądając się światu

Wypierając tekst przez obraz (filmiki) i dźwięk (podcasty), głupcy dzisiaj osiągnęli to, czego nie potrafili uczynić nigdy wcześniej w dziejach ludzkości: ściągnęli pozostałych w dół, w pobliże swego poziomu. Głupota, umiędzynarodawiając się, dokonała zarazem podboju jeszcze istniejącego względnie „normalnego" świata.

Ale gdy głupota tworzy jakąś rzeczywistość dość trwałą i rozległą, to w pewien sposób przestaje być głupotą, którą można sobie lekceważyć. Głupotą przecież jest bowiem ignorowanie tego, co faktyczne. Rzeczywiste bowiem na pewno jest to, o co możemy się... potknąć. To bowiem określa obiektywne warunki naszego działania. Coś, czego lekceważenie kosztuje.

Gdy nadmiarowa, nieprzemyślana, złośliwa, stronnicza, wreszcie szalona interpretacja zjawiska płciowości wchodzi w szeroki obieg, staje się kolejną, nową – poważną! – warstwą rzeczywistości. Czymś, co współwyznacza warunki społecznego bytowania. Tą drogą taka wcześniej niewątpliwa głupota przez jej społeczną faktyczność i kaliber zostaje niejako uszlachetniona. A wtedy twórcy głupoty, pomyłki, bzdury, obsesji etc. z konieczności – z wymogów pragmatycznych – „zasługują" na poważne traktowanie.

Możemy, oczywiście (zdarza się to nierzadko) odmówić tak uszlachconej głupocie powagi, możemy się na nią obrażać, odwracać do niej plecami. Jednak ryzykujemy wtedy, że nasze działania – oderwane od odmienionej już przez głupotę rzeczywistości – będą nieskuteczne. Gdy do skuteczności jesteśmy zaś zobowiązani – np. będąc politykami odpowiadającymi za bezpieczeństwo obywateli – lekceważenie głupoty będzie w istocie bardzo głupie.

Czy głupotę uda się podobnie jak grawitację przechytrzyć?

PS Na pewno zauważyliście, że to komentarz do obecnego kryzysu migracyjnego.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 484cb83f52

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz

WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

Już w poniedziałek 13 września

w tygodniku SIECI siódma część cyklu dodatków

Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

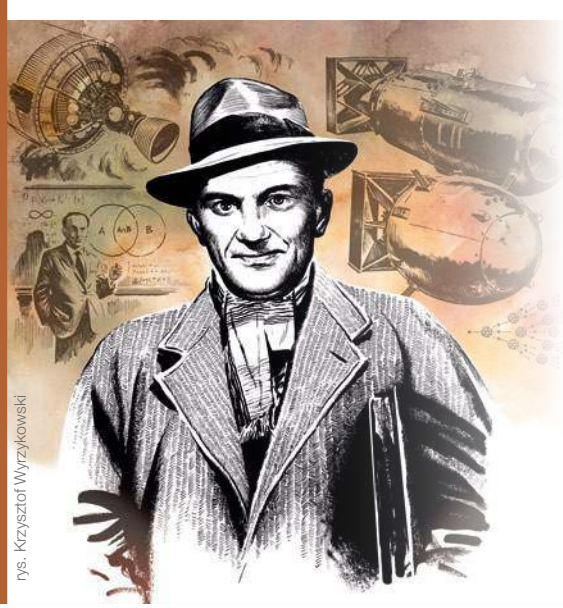

rys. Krzysztof Wyrzykowski

STANISŁAW ULAM – genialny matematyk, który współtworzył bombę atomową i miał swój udział w wysłaniu człowieka na Księżyc

Więcej o bohaterach tego i następnych dodatków z serii „Giganci nauki PL” w serwisie YouTube na kanale: IPNtv

PARTNERZY MERYTORYCZNI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN IHN

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 484cb83f52